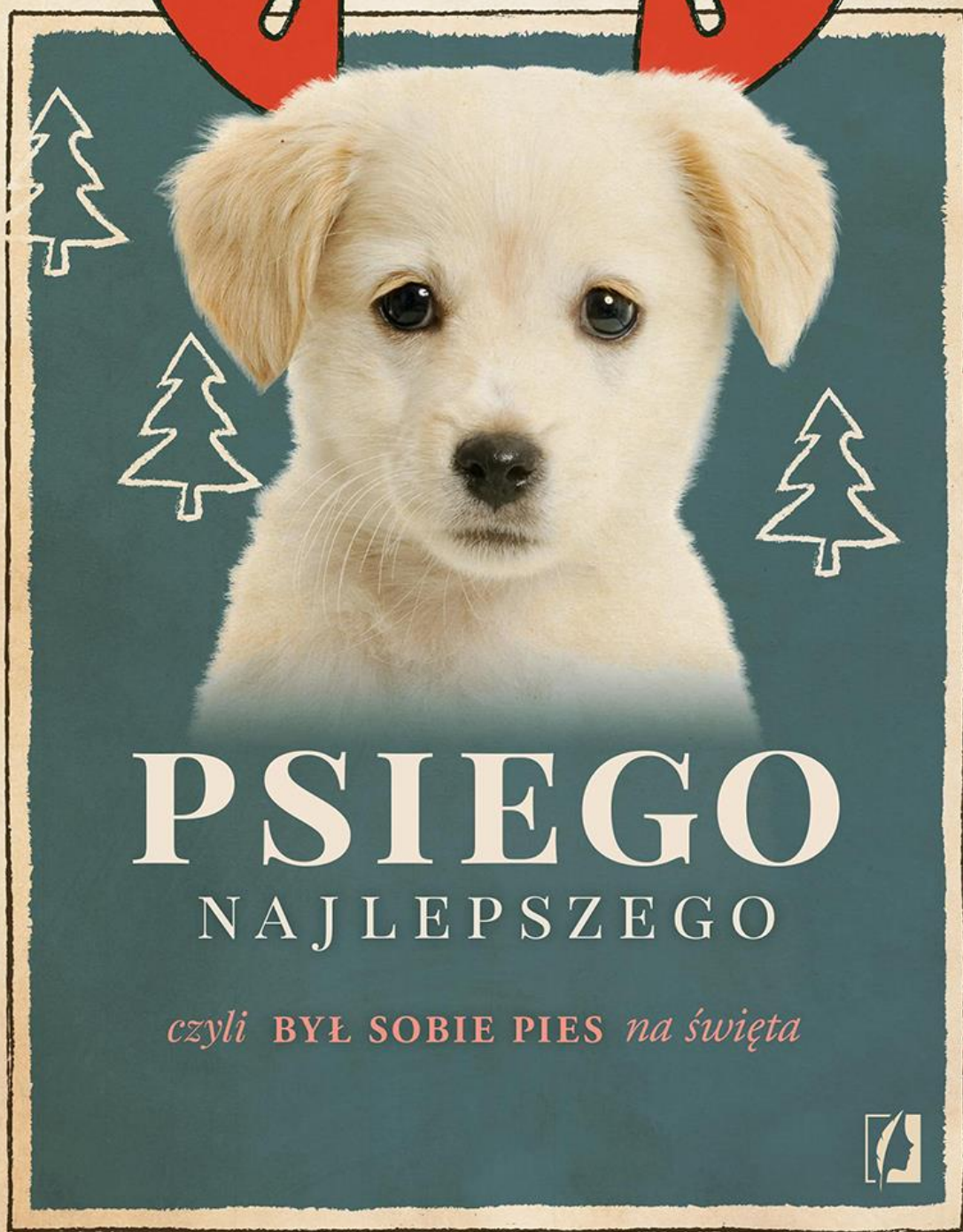
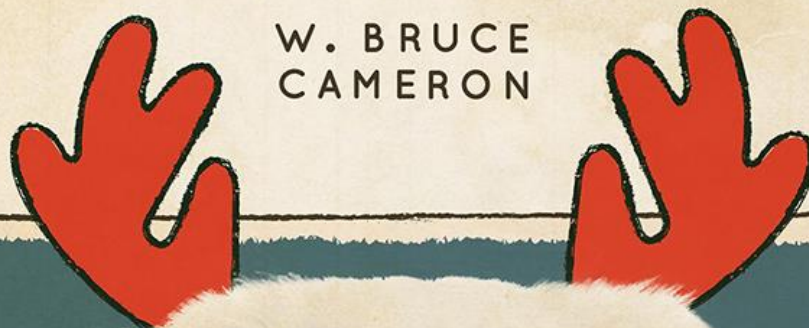


W. BRUCE
CAMERON



PSIEGO NAJLEPSZEGO

czyli **BYŁ SOBIE PIES** *na święta*



W. BRUCE
CAMERON

PSIEGO NAJLEPSZEGO

czyli BYŁ SOBIE PIES *na święta*

PRZEŁOŻYŁA
Edyta Świerczyńska





*Dedykowane wszystkim ludziom
na całym świecie, którzy otworzyli
swoje serca i drzwi dla osieroconych zwierząt*



1

Zadzwoił telefon.

Josh rzucił okiem w stronę aparatu, niepewny, czy się nie przesłyszał. Przeszedł go dreszcz. Zdławił odruch sięgnięcia po słuchawkę. Skórzany fotel zaskrzypiał, gdy się w nim poruszył. Nieświadomie opuścił książkę, tak jakby mogło mu to w jakiś sposób pomóc dostrzec, kto dzwoni.

Na kalendarzu widniała data: pierwszy października. Nie były to niczyje urodziny ani żadne święto – nie było najmniejszego powodu, by ktokolwiek miał do niego telefonować.

Sygnal rozległ się ponownie.

Powiódł wzrokiem do fotografii Amandy stojącej na stoliku obok i dzięki niej podniósł się z miejsca. Najprawdopodobniej była to pomyłka albo gorzej: konsultant próbujący nakłonić go do zakupu jakiegoś towaru, ubezpieczenia czy czegoś w tym stylu. Jednak wspomnienie jej głosu w słuchawce pchnęło go przez pokój i odebrał telefon, zanim włączyła się automatyczna sekretarka – choć naturalnie wiedział, że to nie może być Amanda.

Nie rozpoznał numeru na wyświetlaczu.

– Tak, słucham?

– Michael! Stary, nie używasz komórki? Zostawiłem ci chyba z pięć wiadomości!

Josh zmarszczył brwi, starając się dopasować skrzeczący głos w słuchawce do jakiejś twarzy.

– Potrzebuję twojej pomocy, kolego. Mam megaawarię – ciągnął wciąż bezpański głos.

– Przepraszam, kto mówi?

– Ryan. Twój sąsiad... Daj spokój, Michael, na pewno mnie pamiętasz.

– Nie jestem Michael. – Tylko taka odpowiedź przyszła mu do głowy. Ryan? Kim u licha był Ryan? – Jestem Josh. Josh Michaels.

– No właśnie. Widzisz, jak bardzo jestem zestresowany? Josh, nie pamiętasz mnie? Browarek w Niedźwiadku?

Rzeczony Niedźwiadek był barem działającym w górskim miasteczku Evergreen od zarania dziejów. Zawsze panował tam tłok, a Josh czasami odwiedzał to miejsce, ponieważ wśród tłumu ludzi czuł się popularny.

„Browarek w Niedźwiadku”. A, tak... Josh na sekundę przymknął oczy. Tak. Ryan. Zaczęli rozmowę na podstawie błędnego przekonania, że dzielą podobny los. „Jesteś szczęściarzem – stwierdził wtedy Ryan. – Mnie wyrzuciła na bruk i musiałem szukać sobie dachu nad głową, chociaż byłem bezrobotny i kompletnie splukany. Wiem, że z twojej perspektywy to brzmi okrutnie, ale przynajmniej masz gdzie mieszkać”.

Jest szczęściarzem? Że stracił Amandę?

Nie było w tym ani odrobiny szczęścia. Amanda odeszła, ale wciąż go nie opuściła: wydawało mu się, że czuje jej zapach w powietrzu, że zaraz zobaczy ją kątem oka, że w spowitym ciemnością łóżku leży jej śpiąca postać – która tak naprawdę była tylko cieniem i wspomnieniem. Tylko wyjątkowy głupiec mógł twierdzić, że to „szczęście”.

A Ryan, jak teraz sobie przypominał, odznaczał się właśnie wybitną głupotą. Wysłuchiwał opowieści Josha o złamanym sercu z niecierpliwym wyrazem twarzy dyskutanta, który czeka na swoją kolej przy mikrofonie, i zaczął tyradę, gdy tylko Josh zawiesił głos. Ryan nienawidził swojej byłej dziewczyny. Siedząc zgarbiony nad piwem i gestykulując, jakby chciał wciągnąć Josha w jakiś spisek, opowiadał o swoim rozstaniu wojowniczo i z rozżaleniem, niemalże sugerując, że Joshowi również należała się swojego rodzaju sprawiedliwość, a jeśli nie sprawiedliwość, to zemsta. Jak miała na imię? A zresztą, to nieważne. Josh przypomniał sobie, jak Ryan zaczął powoli znikać z jego pola widzenia: najpierw dzielił ich stół, potem długość sali, aż w końcu jego postać majaczyła tylko gdzieś daleko.

Czy on naprawdę dał temu człowiekowi swój numer telefonu?

– Mówiłeś, żebym dzwonił, jeśli będę potrzebował jakiegokolwiek pomocy – przypomniał mu Ryan, odpowiadając na niezadane pytanie.

– I zadzwoniłeś z informacją, że zadymiło się w całym domu, gdy próbowałeś rozpaścić ogień w kominku. – Spalenie drewnianej chaty przez jakiegoś idiotę było ostatnią rzeczą, za jaką tęskniono w okolicy położonej na wysokości dwóch i pół tysiąca metrów, porośniętej wysuszonymi przez spragnione chrząszcze sosnami wydmowymi. Jak sobie przypominał, pomoc, którą zaoferował wtedy Ryanowi, ograniczała się do sprawdzenia, czy nie puści z dymem całego stoku.

– No właśnie, teraz jest jak wtedy, tylko tysiąc razy gorzej. Nie uwierzysz, ale mój brat został aresztowany. We **Francji**. – Ostatnie słowo Ryan wyrecytował z triumfalną emfazą.

Josh odczekał chwilę, dając Ryanowi czas na wyjaśnienie, co to ma z nim wspólnego.

– No i...? – zachęcił w końcu.

– No i potrzebuję twojej pomocy, bracie. Mam u siebie psa Sereny. Ktoś musi się nim zająć.

Tak właśnie miała na imię była dziewczyna Ryana. Serena.

– Cóż, ja nie mogę – odpowiedział Josh.

– Stary, ja muszę lecieć do Europy! Nie mogę zabrać ze sobą psa! Zresztą to nawet nie jest mój pies... Zaraz muszę wychodzić, bo za jakieś cztery godziny mam samolot. Słyszysz, jaki jestem zestresowany? Luzak i ja zaraz u ciebie będziemy. Powiem ci co i jak.

– Luzak?

– Co poradzę, tak ma na imię...

Josh wziął głęboki oddech, ale stanowcze i ostateczne oświadczenie, które chciał wygłosić w tej sprawie, zostało zduszone w zarodku przez ciągły sygnał w słuchawce oznajmujący, że Ryan zdążył się już rozłączyć.

Josh podszedł do okna przy drzwiach wejściowych. Przez ścianę szklanych paneli ciągnących się od sufitu aż po podłogę miał widok na taras, podwórkę i podjazd. Tego październikowego popołudnia powietrze było suche i przejrzyste, a przez korony drzew przelewało się słońce. Takie soboty Amanda uwielbiała spędzać na pieszych wycieczkach. Wybierali szlak i niestrudzenie wędrowali. Zawsze była gotowa do dalszego marszu. Jak na ironię przypomniało mu się, że wciąż namawiała go na psa. Wyobrażając sobie cały ten dodatkowy wysiłek związany z opieką nad zwierzęciem, Josh nigdy się na to nie zgodził. Był zbyt zajęty, by opiekować się czworonogiem.

Teraz myślał, że gdyby zdecydowali inaczej, psiak byłby dla niego pociechą w żałobie po jej stracie. Czyż nie to właśnie mówi się o psach? Że wiernie trwają u boku człowieka bez względu na wszystko? A w każdym razie właśnie tak widział to Josh.

Ich domy stojące na rzadko zabudowanym stoku dzieliło mniej niż sto metrów, ale Ryan przyjechał samochodem. Najwidoczniej należał do ludzi, którzy na pełny etat wykorzystują swoje samochody z napędem na cztery koła, ponieważ mieszkają w górach i myślą, że tak trzeba. Josh patrzył, jak wszystkie cztery przerośnięte opony wbijają się w piach, gdy SUV Ryana sunął serpentyną ku jego domowi. W końcu samochód zajechał na podwórkę i kołyszac się, zazgrzytał hamulcami, a ze środka wyłonił się jego właściciel.

Ubrał się tak, jak i Josh mógłby się ubrać na czas lotu: miał na sobie spodnie khaki, sweter i cienką kurtkę. Lekko zamachał stojącemu za oknem Joshowi, a ten przesunął się w kierunku drzwi wejściowych, zdecydowany, by zakazać wstępu zarówno Ryanowi, jak i Luzakowi. Wyszedł na taras, uderzając głośno butami o deski.

– Cześć, Josh! – zawołał Ryan, zupełnie jakby byli najlepszymi kumplami.

Tuż po stracie Amandy Josh zapuścił włosy i brodę i przez jakiś czas wyglądał dokładnie tak, jak Ryan: baczki nie były bardzo bujne, ale utrzymywał je w ryzach dzięki przycinaniu regularnie co dziesięć dni, długie ciemne włosy sięgały aż do kołnierza. Podczas telekonferencji zauważył, że klienci dziwnie mu

się przyglądają, i oświeciło go, że skłania ludzi do wyciągania wniosku, który i bez tego zapewne przychodził im do głowy: że był jakimś stukniętym samotnikiem mieszkającym w górskiej chacie, za dnia kodującym aplikacje, a nocą... – no właśnie, co robił nocą? Biegał z wilkami? Konstruował bomby z kawałków drewna? Josh wrócił więc do gładko ogolonej twarzy i krótkiej fryzury, a teraz, widząc niechlujny wygląd Ryana i jego strąkowate włosy zasłaniające uszy, tylko utwierdził się w słuszności swojej decyzji. Wyglądał, jakby dołączył do sekty przeciwników higieny.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo to doceniam, stary – wyraził wdzięczność Ryan.

– Ale ja nie mogę... Nigdy nie opiekowałem się psem. Nie mam najmniejszego pojęcia, jak się nim zająć.

Ryan przyłożył dłonie do głowy i skrzywił się, jakby dostał migreny.

– Czy mogę ci coś wyjaśnić? Rzecz jest poważna. Zdajesz sobie w ogóle sprawę, jakie w Europie mają prawo? Tysiąc razy gorsze niż w Kanadzie. Muszę wynająć prawnika z francuskim i angielskim. Gdzie ja takiego znajdę? Aresztowali mi brata, totalna masakra.

Josh precedzał ten potok słów, szukając między nimi wyjaśnienia, dlaczego powinien zająć się psem byłej dziewczyny Ryana. Ale go nie znalazł.

– A ona nie może po prostu zabrać go z powrotem?

Na tyle SUV-a uniosła się brązowo-czarna psia mordka i zaczęła przyglądać się im przez samochodową szybę, wysuwając różowy język.

– Kto, Serena? Jest w podróży. A poza tym porzuciła psa jak mnie wcześniej, mówiłem ci, jaka ona jest. Słuchaj... To tylko parę dni. Zadzwońię z Francji, gdy ogarnę swoje sprawy i załatwię kogoś, żeby go od ciebie zgarnął, okej? A teraz muszę lecieć.

Josh uderzył w surowy ton.

– Posłuchaj, Ryan, to nie mój problem. Przykro mi z powodu twojego brata, ale nie mogę zająć się psem. To niemożliwe.

– To co mam zrobić? – zapytał Ryan. Uniósł ręce, po czym opuścił je i oparł na biodrach. – Podobno idzie śnieżycą. Jeśli po prostu go wypuszczę, zamarznie. I tyle. Pies umrze.

– Nie dramatyzuj.

– Wyjeżdżam do Europy! – krzyknął sfrustrowany Ryan. – Pomożesz mi czy nie?

„Nie”. Taką odpowiedź przygotowywał Josh. „Nie, nie pomogę ci. Wypad z mojego podwórka”. Jednak zanim otworzył usta, mimowolnie spojrzął na psiaka, a przez to, co dostrzegł w jego oczach, zaczął się wahać. Nagle zobaczył wszystko z perspektywy Luzaka. Właścicielka go opuściła, a to było coś, czego nie dało się objąć psim rozumem. Mieszkał z Ryanem, człowiekiem, który uważał, że lot do

Francji (tej w Europie) przebija wszystkie inne troski, zarówno ludzkie, jak i psie, i najprawdopodobniej po prostu porzuciłby zwierzę, tak jak się odgrażał. Luzak zostałby sam, zdezorientowany i opuszczony. I rzeczywiście najpewniej by umarł.

– Ja... – wydukał bezradnie Josh.

Ryan ujrzał wahanie w jego spojrzeniu i natychmiast to podchwycił.

– Dzięki, stary, jestem twoim dłużnikiem! – Już podchodził na tył SUV-a. – Obiecuję, że zadzwonię, gdy tylko ogarnę sprawy. Maks dwa–trzy dni. Tu masz jego karmę.

Ryan uniósł klapę i po chwili na ziemię ciężko skoczył duży pies podobny do owczarka, ale z domieszką jakiejś innej rasy. Otrzepał się, uniósł głowę w kierunku Ryana z prośbą o pieśczoć – jednak nadaremnie – a następnie potruchtał do Josha z opuszczonym łbem i ogonem zamiatającym ziemię w geście uległości.

Josh oniemiał. Wyciągnął do psa dłoń i zaraz poczuł na niej wilgotny nos, ale z zaskoczenia nie mógł wydusić z siebie ani słowa.

– Mam też jego miskę – oznajmił Ryan, rzucając na taras duży worek karmy i kładąc przy nim metalowe naczynie, które z brzękiem uderzyło o deski.

– Mówiłeś, że to samiec – powiedział Josh z pretensją w głosie – o imieniu Luzak.

– Hmm... – Ryan rzucił sąsiadowi szybkie spojrzenie, gdy ten przebiegał palcem po literach wyszytych na obroży.

– „Lucy”. Nie Luzak. Lucy.

Ryan wzruszył ramionami.

– Serena zawsze mówiła na niego Luzak. Zresztą, kto ją tam wie...

– Nie na „niego”, Ryan, tylko na „nią”. Na Lucy. To suczka – poprawił go zdecydowanie Josh.

– W porządku. – Ryan rozłożył dłonie w geście mówiącym: „Co za różnica”.

– Nie w porządku. To nie tylko suczka. To ewidentnie suczka w ciąży, nie widzisz? Lucy to **ciężarny** pies płci żeńskiej.



2

Jesteś pewien? – zapytał po chwili Ryan, uciekając wzrokiem z wyraźnym poczuciem winy.

Josh zerknął na suczkę, która teraz przysiadła z podniesionymi uszami. Miała przejrzyste brązowe oczy.

– Czy jestem pewien?! Spójrz tylko na nią! Spójrz na jej sutki. Myślałeś, że jest po prostu otyła?

– No dobra... Wiedziałem, że jeśli wspomnę o ciąży Luzaka, to jej nie weźmiesz. Sam mówiłeś, że nie jesteś żadnym psim ekspertem – uzasadniał Ryan.

– To mówisz na swoją „obronę”?! – wycedził przez zęby Josh.

Ryan odwrócił się i zaczął powoli odchodzić. Pies patrzył na niego niepewnie, stanąwszy na łapy, ale nie ruszył się ani na krok od nogi Josha.

– Dokąd idziesz?

– Muszę się spieszyć! – warknął niecierpliwie Ryan, z hukiem zamykając bagażnik. – Muszę jechać.

– Słuchaj, przykro mi z powodu twojego brata, ale w sprawie Lucy będziesz musiał wymyślić coś innego. Nie mogę przygarnąć ciężarnej suczki.

– Najpierw mówiłeś, że w ogóle nie możesz zająć się psem, ale zmieniłeś zdanie.

Josh przyglądał się z niedowierzaniem, jak Ryan otwiera drzwi od strony kierowcy.

– Co ty wyprawiasz? – zawołał surowo. – Nie skończyliśmy rozmowy. Nie możesz ot tak sobie odjechać. Hej!

Josh uzmysłowił sobie, że Ryan właśnie to ma zamiar zrobić, gdy zatrzasnął za sobą drzwi. Szybkim krokiem przemierzył swoje podwórko, by zapukać w szybę kierowcy, a jeśli to by nic nie dało – zamierzał samemu otworzyć drzwi. Wyobrażał sobie nawet, jak wyciąga Ryana z samochodu i rzuca go na ziemię. Nie pozwoli, by obrócił się na pięcie i zniknął w trakcie rozmowy, zwłaszcza jeśli jej temat brzmi: „Nie możesz zostawić tu swojego psa”.

Psiak dreptał za Joshem, nerwowo ziewając. Ryan uruchomił silnik i, ku zdumieniu gospodarza, także skrzynię biegów. Po chwili spod czterech grubych opon jego SUV-a zaczął sypać się piach.

– Stój! Nie możesz tego zrobić! – krzyknął.

SUV oczywiście odjechał, a pokonany Josh zwolnił i po chwili przystanął.

– Świetnie – bąknął pod nosem, gdy samochód sąsiada zjechał serpentyną w dół wzgórza i zniknął mu z oczu. Kluczyki do furgonetki leżały na kuchennym stole. Mógł po nie pobiec, chwycić psa i udać się w iście filmowy pościg za Ryanem. Ale co by to dało? Z takim opóźnieniem Josh miał małe szanse zobaczyć go na drodze, więc musiałby pojechać aż na lotnisko. Port lotniczy w Denver był ogromny, a Josh nie miał pojęcia, którymi liniami leciał Ryan. No i czy władze nie pozwoliłyby mu na wylot do Francji z powodu porzucenia psa?... Ostrożnie przyjrzał się Lucy, która przestała za nim podążać, gdy ruszył sprintem za samochodem zbiega – być może sama już tego wcześniej próbowała i doszła do wniosku, że nic to nie da. Przysiadła na szczycie podjazdu, obserwując go i być może oczekując wyjaśnień.

Siedzenie było teraz pewnie jej głównym zajęciem – jej brzuch pełen szczeniactków był bardzo wydęty, sutki wyraźnie widoczne, a całe ciało ocieżałe. Wyglądała, jakby była w dziewiątym miesiącu ciąży, czy ile to tam trwa u psów... Przyglądała mu się uważnie, gdy wracał pod dom, a pod jego stopami chrząścił żwir.

– Więc zrobimy tak... – odezwał się zdecydowanym głosem. Na te słowa pies uniósł lekko uszy, najwidoczniej zadowolony, że pojawił się jakiś plan działania. – Zadzwonimy do kogoś. To znaczy do weterynarza, dobrze? Absolutnie nie mogę się tobą zająć. Nie mam zielonego pojęcia, jak się przyjmuje psi poród.

Lucy patrzyła na niego swoimi ciepłymi, ciemnymi oczami. Nie mógł znieść widocznego w nich zaufania – właśnie oznajmił jej, że podrzuci ją komuś innemu... Wyglądało na to, że ostatnio często spotykał ją taki los. Gdzie w ogóle podziewała się ta cała Serena? Kto zostawia ciężarną suczkę z kimś takim jak Ryan?

Josh westchnął i rozejrzał się po posesji. Kiedy jego ojciec budował dom, chude sosny wydmowe porastające zbocze musiały odsunąć się o nieco ponad dwadzieścia metrów, by zrobić miejsce dla trawnika i kwiatów posadzonych przez pełną optymizmu matkę Josha. Z czasem jednak napływowe listowie udusiło się w tutejszym rozrzedzonym suchym powietrzu, a teraz pod nogami Josha ponownie leżała zmatowiała i szorstka ziemia, której kolor ożywiał się jedynie w czerwcu. Z lasu powoli wyłaniał się drzewostan topoli przypominających szeregi osiemnastowiecznych żołnierzy. Liście tych drzew zawsze wcześniej zmieniały barwę: niektóre z nich były już w pełni złociste, a promienie słońca odbijały się od nich ognistą żółtą poświatą, która w kontraście z sąsiednimi wiecznie zielonymi roślinami niemalże oślepiła.

Cała ta piękna sceneria wywołała w nim niepokój, jakby spędzał dzień z nosem w książce, zamiast wędrować leśnymi szlakami i cieszyć się pogodnym popołudniem. Jednak teraz nigdzie nie pójdzie – Lucy z żadnej strony nie

wyglądała na gotową do pieszych wycieczek.

– Dobrze się czujesz? – Poglaskał ją niepewnie po głowie, na co ona uderzyła ogonem o ziemię i lekko przymknęła oczy. Zasadniczo na tym kończyła się jego wiedza o zachowaniu psów: głaskało się je, a one merdały wtedy ogonami.

– Chcesz się położyć? Jesteś głodna? Chodźmy do środka. Umiesz zachować czystość w domu, prawda? Czy ciąża ma na to jakiś wpływ?

To było szaleństwo. Niemożliwe, że opiekował się **psem**.

Przeszedł przez drzwi wejściowe, a Lucy zatrzymała się w progu. Dopiero gdy klepnął się w udo, przywołując ją, ostrożnie, z nosem przy ziemi weszła do środka.

Skoczył do sypialni i po zaledwie chwili wahania chwycił poduszkę, którą zawsze uważał za należącą do Amandy. Ciężarne zwierzę nie mogło przecież leżeć na twardej drewnianej podłodze.

– Proszę – powiedział, kładąc poduszkę na dywanie. Lucy obwąchała zdobycz. – Chcesz koc?

W szafie miał pikowaną kołdrę. Wyjął ją i umościł pod poduszką.

– Proszę bardzo.

Lucy rzuciła mu beznamiętne spojrzenie.

– Ach! Przysunę ci łóżko do słońca! – zawołał Josh. Wpasował legowisko w kwadrat światła słonecznego padającego na podłogę przez frontowe okno. Gdy tym razem poklepał poduszkę, Lucy przydreptała do niego i z jękiem położyła się na miękkim pościeliu.

– Wow, jesteś naprawdę duża. Ale nie gruba, nie to miałem na myśli. No, może trochę. Chociaż to głównie grubość ciążowa. Jesteś bardzo, bardzo ciężarna... Ale to już pewnie wiesz.

Rzuciła mu pogardliwe spojrzenie, a Josh uświadomił sobie, że plecie bzdury i że jest o krok od ataku paniki. Nie było jeszcze drugiej po południu – normalnie już od pół godziny leżałby zwinięty pod kocem z jakąś powieścią, ale teraz miał pod opieką tę biedną suczkę, a jedyne, co do tej pory przyszło mu do głowy, to obrażać ją z powodu nadwagi. Co robić?

– Czy mogę rozmawiać z weterynarzem? – zapytał, usłyszawszy w słuchawce głos recepcjonistki. – Mój sąsiad właśnie podrzucił mi psa i wyleciał do Francji. Suczka jest w dość zaawansowanej ciąży, a ja chcę się upewnić, że robię, co trzeba, i tak dalej. Chciałem też przywieźć ją do państwa, żeby tam urodziła.

– Chce pan ją do nas przywieźć? Już rodzi? – zapytała kobieta.

– Nie wiem. To znaczy, nie wiem, jak to się objawia, czy one wtedy... Co wtedy robią psy? Szczekają?

Kobieta zaśmiała się.

– Nie, zazwyczaj nie. Czy suczka jest niespokojna, dyszy, skamle albo

wymiotuje?

- Nie. – „Ale ja jestem bliski tego stanu”.
- Pojawiły się jakieś płyny ustrojowe?
- Nic takiego nie widzę. – „Ohyda”.

Recepcjonistka kazała mu poczekać, a kilka minut później do telefonu podszedł mężczyzna, który przedstawił się jako doktor Becker. Josh opowiedział mu całą historię i wyjaśnił, po co dzwoni.

– Suczki generalnie rodzą w domu. Proszę ją do nas przywieźć tylko w razie jakichś komplikacji – wyjaśnił doktor Becker.

– Jasne, ale wie pan, ja nigdy nie miałem psa, nawet w dzieciństwie. Ojciec miał alergię.

– Pan też ma alergię?

– Nie – odparł Josh. – Po prostu jeśli człowiek nigdy wcześniej nie miał psa, nie myśli, żeby sobie go sprawić – dodał na swoją obronę.

– Czy zdoła pan sprawdzić jej temperaturę?

– Nie wiem. Czy nie pogryzie termometru?

Doktor Becker roześmiał się.

– Raczej nie. Niech pan do tego podejdzie... od drugiej strony – powiedział, wyjaśniając, że można użyć margaryny jako lubrykantu. Josh przełknął ślinę, a Lucy uniosła głowę, jakby czytała w jego myślach. I to ma być sposób na zapoznanie się z psem? „Cześć, jesteś gruba. Odwróć się, mam coś dla ciebie”.

– Muszę kupić termometr – myślał głośno Josh.

– Dobrze. Jeśli temperatura jej ciała spadnie poniżej trzydziestu ośmiu stopni, powinna urodzić w ciągu dwudziestu czterech godzin.

„Urodzić”. Josh potrząsnął głową.

– Może jednak po prostu przywiozę ją do państwa, doktorze? Przykro mi, ale chyba raczej nie nadają się do takich operacji.

– Pomyślmy... Zaraz zamykamy, a w niedzielę jest nieczynne. Może przywiezie ją pan w poniedziałek rano na badanie?

– W porządku. Rano mam telekonferencję, ale będę u państwa około południa.

– Dobrze. Ale proszę pamiętać, że nie przyjmujemy pańskiego psa, jeśli nie będzie żadnych komplikacji. Mamy w tej sprawie jasność?

– Ale...

– Zbadam Lucy i możemy jeszcze porozmawiać o porodzie, ale to pan musi wziąć odpowiedzialność za swojego psa.

– Okej – ustąpił słabym głosem Josh. Rozłączył się i odwrócił od telefonu. – Ale to nie mój pies – powiedział głośno.

Lucy odprowadzała go wzrokiem, gdy niósł do kuchni worek z karmą. Wsypał trochę do metalowej miski, a suczka wstała, podeszła do niej i zatopiła nos

w kolacji. Josh przyglądał się, jak bierze w pysk porcję nieapetycznych małych kulek, kładzie je na podłogę i zjada po kolei.

– Smakuje ci, Lucy? Dobra psia kolacja?

Miał co do tego wątpliwości – gdy powąchał zawartość worka, nie wyczuł nic, co przypominałoby jedzenie.

Zjadła trochę, napiła się wody, którą przed nią postawił, po czym usiadła i spojrzała na niego.

– Co jest? Potrzebujesz czegoś? Wszystko w porządku? Chyba nie masz skurczy, prawda?

Przykucnął i zajrzał jej w oczy.

– Wszystko będzie dobrze.

Josh wybrał numer Ryana i zadzwonił. Od razu przełączyło go na pocztę głosową.

– Hej, tu Josh. Pewnie wciąż jesteś w samolocie. Proszę, zadzwoń do mnie, gdy już wylądujesz, dobrze? Rozmawiałem z weterynarzem, w poniedziałek zabieram do niego Lucy. Będę oczywiście oczekiwał zwrotu wydatków za tę wizytę. I daj mi też proszę znać, kiedy załatwisz dla niej stałego opiekuna, jak uzgodniliśmy. Na razie, bezpiecznej podróży.

Skrzywił się, kończąc połączenie. Bezpiecznej podróży? Powinien był raczej powiedzieć: „Słuchaj, albo to załatwisz, albo stłukę cię na kwaśne jabłko”.

Josh nigdy nie stłukł nikogo na kwaśne jabłko, ale Ryan w żaden sposób nie mógł tego wiedzieć.

Z perspektywy tego sobotniego popołudnia poniedziałkowy ranek wydawał się bardzo odległy. Co robić do tego czasu?

Mimo że do porodu Lucy prawdopodobnie zostało jeszcze kilka dni, jeśli nie tygodni, Josh postanowił przenieść jej postanie do swojej sypialni, żeby w nocy móc monitorować jej stan. Nie chcąc jej przeszkadzać w odpoczynku, poczekał, aż wstanie i pójdzie obwąchiwać kuchnię.

– Wszystko będzie dobrze – powtarzał, mając nadzieję, że skutecznie zaklina rzeczywistość. Wyglądała na taką **smutną**. Bała się? Tęskniła za domem? Josh właśnie tak czułby się na jej miejscu.

– Biedny piesek – uspokajał. – Tak mi przykro, Lucy.

Tej nocy za każdym razem gdy się poruszyła, od razu budził się i przewracał na bok, by na nią spojrzeć.

– Wszystko dobrze?

Lucy zmęczyło merdanie ogonem za każdym razem, gdy słyszała to pytanie, i tylko wzdychała w odpowiedzi.

W niedzielę suczka nie była zbyt aktywna – przez większość czasu leżała w salonie na swojej poduszce. Josh odmroził w mikrofalce trochę mielonego mięsa bizona, żeby urozmaicić jej dietę składającą się wyłącznie z taniej karmy

w kształcie kulek. Znalazł piłkę tenisową i położył ją obok Lucy, ale nie wyglądała na zainteresowaną zabawą. Podsunął jej miseczkę z wodą i okrył ją małym kocem. Gdzieś kiedyś słyszał, że kobiety w ciąży lubią masaże, więc zaczął rozcierać suczce grzbiet.

Czuł się rozpaczliwie nie na siłach, by wykonać stojące przed nim zadanie. Co jeszcze powinien zrobić? W internecie znalazł rozczarowująco mało informacji na temat tego, jak sprawić, by ciężarna suczka poczuła się lepiej po tym, jak została porzucona na rzecz Francji. Dowiedział się, jak sprawić, by ciężarna **kobieta** poczuła się lepiej, ale nie wydało mu się to odpowiednie do zaaplikowania psu. Na przykład: masaż stóp. Czy można zrobić masaż stóp psim łapom?

Nawet przez myśl mu nie przeszło, żeby zostawić ją samą w niedzielę późnym popołudniem, ale bezsensu było ciągać ją ze sobą do sklepu na zakupy. Lucy odprowadzała go wzrokiem przez wielkie frontowe okno, gdy odjeżdżał swoim pick-upem, a jej zboląła (jak mu się zdawało) mina prawie złamała mu serce. „Nie porzucam cię. Nie jestem jak Ryan. I jak Serena”. W miasteczku kupił termometr, karmę wysokiej jakości, prasowaną kość ze skóry i piszczącą zabawkę na sznurku. Nabył również frisbee, paski kurczaka, zabawkę ze sznurka, zabawkę małpkę oraz zabawkę tygrysa.

Gdy objuczony szeleszczącymi pakunkami otworzył drzwi, w progu powitała go Lucy i jej merdający ogon. Usiadł przy niej na podłodze i zaprezentował jej wszystkie zabawki po kolei; obwąchując każdą z nich, merdała ogonem, a skórzaną kość nawet nieco pomęczyła w zębach, choć Josh był pewny, że zrobiła to tylko po to, by sprawić mu przyjemność. Wydawało się, że chce po prostu skoncentrować się na byciu w ciąży.

Już leżąc w łóżku, przypomniał sobie o termometrze, który wciąż leżał nierozpakowany na kuchennym blacie.

– Zajmiemy się tym rano – poinformował Lucy. – Nie sądzę, żeby ci się do tego spieszyło. – A już na pewno nie spieszyło się do tego jemu samemu.

Jej posłanie leżało w tym samym miejscu, co poprzedniej nocy. Około czwartej nad ranem obudził się, zastanawiając się, co przerwało mu sen. Przekręcił się na łokciu, żeby sprawdzić, co u suni.

Otworzył szeroko oczy ze zdumienia. Lucy nie było na posłaniu. Nigdzie jej nie było.



Lucy? – Josh usiadł na łóżku, przechylając głowę. Ruszył po omacku do salonu, czując pod stopami chłód podłogi. Przez okna wlewała się księżycowa poświata. Rzuciła na domowe barwy swoje śnieżnobiałe światło. Lucy stała w kuchni przy piecyku, dysząc i lekko drżąc.

– Hej, mała – wyszeptał zaniepokojony Josh. – Wszystko gra?

Lucy oblizwała się. Minęła Josha, ocierając się o jego nogę, wkroczyła „na salony” i pokręciła się trochę po dywanie, na którym się w końcu położyła. Nie minęła sekunda, a już była z powrotem na łapach, drepcząc niespokojnie przed drzwiami.

– Musisz wyjść? – zapytał Josh. Podszedł do drzwi i je otworzył, a Lucy wybiegła na podwórko. Zatrzymała się, przykucnęła i wydalila wilgotny kał, który w świetle księżycy wyglądał na czarny.

– To bizonie mięso nie było chyba najlepszym pomysłem, co? – zastanawiał się na głos, uspokojony, że chodziło tylko o to. – Tak, nagła i drastyczna zmiana diety to chyba niezbyt mądre posunięcie... Podrażniło ci to żołądek, Lucy?

Po powrocie do domu wyglądała lepiej.

– Już dobrze, grzeczny piesek. Przepraszam cię.

Ułożyła się na posłaniu obok jego łóżka i ponownie zasnęła, ale gdy o 7:30 zadzwonił budzik, znowu jej nie było. Josh znalazł ją w drugiej sypialni wciśniętą w kąt między łóżkiem a ścianą.

– Lucy, co tu robisz? – zapytał.

W odpowiedzi zamerdała ogonem i poszła za nim do kuchni, ale gdy postawił przed nią mieszankę trocinowych kulek i bardziej wartościowej karmy o nazwie Nature's Variety, tylko ją powąchała, po czym spojrzała na niego zbolalym wzrokiem.

– Brzuszek wciąż boli? Bardzo, bardzo mi przykro – przeproszał ją. Pies nie był u niego jeszcze nawet czterdzieści osiem godzin, a on już zdążył go prawie zatruć surowym mięsem bizona. – Wkrótce jedziesz do weterynarza, Lucy. Oni wiedzą, jak się o ciebie zatroszczyć, ja nie. Uwierz mi, tam będzie ci lepiej. – Mówiąc to, unikał jej wzroku z powodu poczucia winy. Ale czy nie taka była prawda? Nawet jeśli kolejna zmiana miejsca może być dla niej dezorientująca, ostatecznie kiedy przyjdzie czas porodu, wyjdzie jej to na dobre.

Jego własne śniadanie składało się z muffinka z mikrofali i kawy. Wziął prysznic, sprawdził skrzynkę mailową, a potem popracował trochę nad wykresem, który chciał zaprezentować podczas telekonferencji, zapominając o Lucy, która wróciła na swoje posłanie, a przynajmniej na korytarz wiodący do sypialni. Dopiero nalewając sobie kolejną kawę, rzucił okiem na termometr i z ukłuciem wyrzutów sumienia przypomniał sobie o czekającym go nieprzyjemnym obowiązku.

– Och, Lucy... – mruknął pod nosem.
„Coraz lepiej”.

Wypuścił suczkę na podwórko, na wypadek gdyby musiała jeszcze raz skorzystać z „toalety”, myśląc sobie, że nie chciałby stać za nią wtedy z termometrem w dłoni. Lucy tylko wyszła i stała na podwórku, patrząc na niego, więc przywołał ją gestem. Wróciła, obdarzając go spojrzeniem mówiącym: „I po co to było?”.

Smarując termometr margaryną, zauważył w lustrze swoje odbicie. Miał zmrużone oczy i otwarte z przerażenia usta. Zmusił się, by przybrać normalny wyraz twarzy.

– Do dzieła, Lucy – wychrypiał. – Musimy to zrobić.

Mierzenie temperatury było dokładnie tak przyjemne, jak to sobie wyobrażał. Jednak dopiero to, co zobaczył na termometrze, zmroziło mu krew w żyłach. Trzydzieści sześć stopni. Temperatura jej ciała wynosiła trzydzieści sześć stopni! A spadek poniżej trzydziestu ośmiu oznacza, że w ciągu dwudziestu czterech godzin...

Nie, to nie mogła być prawda. Jeszcze wczoraj prowadził całkowicie normalne życie – przynajmniej na tyle normalne, na ile było to możliwe po odejściu Amandy – a dziś miał mieć szczeniaki!

– Ryan – z walącym sercem przemawiał surowo do poczty głosowej sąsiada – musisz do mnie oddzwonić. Temperatura ciała Lucy spadła poniżej trzydziestu ośmiu stopni, co oznacza, że zacnie rodzić, nim się obejrzymy. Musisz natychmiast zająć się sprawą. Przypominam, że porzucenie zwierzęcia jest przestępstwem. – „Choć pewnie niedostatecznym do ekstradycji z Francji”. – Zabiorę ją do weterynarza, ale ten, kto ma się nią zająć, musi się szybko pojawić i przygotować na jutrzejsze przyjęcie szceniaków. Rozumiesz? Oddzwoń!

Lucy wróciła do sypialni, najprawdopodobniej przysięgając sobie, że po tym całym incydencie z termometrem już nigdy więcej się do niego nie odezwie.

Zbliżała się pora telekonferencji, musiał się do niej przygotować. Założył czystą koszulę i zalogował się jako pierwszy. Poprawił kamerę, odchrząknął, a w wirtualnej sali konferencyjnej na ekranie jeden po drugim zaczęli pojawiać się pozostali uczestnicy.

Kierownik projektu nazywał się Gordon Blascoe. Był łysym mężczyzną

w okularach słynącym ze zwięzłych i mrukliwych e-maili, które wszyscy nazywali „sucharami Blascoe”.

– Widzę, że plan projektu znowu przesunął się na drugi kwartał – zaczął narzekać na wejściu, włączając się w dyskusję bez słowa powitania czy wstępu. – Nie pojmuję, jak to się stało, skoro ostateczny termin jego zamknięcia to piętnasty lutego.

– To przez nowe zadania – wtrącił ktoś. – Dodawanie zależności, rzeczy, które trzeba zrobić, zanim uzna się zadanie za wykonane, przesuwają cały plan.

Zdawało się, że Blascoe nigdy nie zrozumie, jak działa jego program do zarządzania projektami. Nie mógł pojąć, że dodawanie zadań automatycznie przesuwają projekt. Temat powracał mniej więcej co dwa tygodnie. Josh starał się wyglądać, jakby zachowywał przytomność umysłu, podczas gdy wszyscy jeszcze raz cierpliwie wyjaśniali Blascoe działanie narzędzia, uprzejmie nie wytykając mu, że to wszystko jego wina.

Lucy wróciła do pokoju i zaczęła przechadzać się pod biurkiem Josha, dotykając jego nóg. Nakazał sobie surowo, że na nią nie spojrzy – zdążył zauważyć, że rozkojarzonym członkom zespołu, którzy zawsze kręcili się i bładzili wzrokiem, nie przedłużano umów.

Blascoe lubił tych, którzy patrzyli prosto przed siebie jak prezenterzy telewizyjni.

Lucy zakwiliła.

Tym razem Josh spojrzał w dół. Trochę dyszała, a nawet nieco się śliniła, patrząc na niego błagalnym wzrokiem.

Och, nie! **To** nie mogło się zacząć teraz, to niemożliwe! Spotkanie miało trwać około półtorej godziny. Lucy na pewno zdoła tyle wytrzymać. Opuścił dłoń. Polizała ją – jej język był szorstki i suchy.

– Idźmy dalej – zaperzył się Blascoe, jak zawsze gdy pojął, że coś spartaczył. – Josh?

Lucy wstała spod biurka i zaczęła kręcić się przy drzwiach wejściowych. Josh wziął głęboki wdech, kiwając głową.

– Mamy już pierwsze wyniki testów interfejsu – oznajmił obojętnie. – Wskaźniki użyteczności są niższe, niż oczekiwaliśmy. – „Tak naprawdę to bardzo nie podobała im się stylistyka, a to z powodu tego wszystkiego, czego tam nawrzucałeś, Blascoe”. – Ale chyba potrafisz to wyjaśnić.

Zrozpaczona Lucy zaskowytała. Josh odwrócił się i spojrzał na nią. Przy jej łapach zobaczył kałużę płynu.

– Jak to się mogło stać? – dopytywał Blascoe.

– Problem tkwi... Mam wykres... Czy możecie chwilę poczekać?

– Co?! – odparł Blascoe z oburzeniem w głosie. Wszyscy na ekranie poruszyli się nerwowo, gdy Josh wstał, znikając z pola widzenia kamery. – Josh? –

zawołał Blascoe.

Lucy spojrzała na niego błagalnym wzrokiem, w którym było widać cierpienie.

– Już dobrze, Lucy, już dobrze – uspokajał ją Josh, starając się ukryć strach w głosie.

Lucy zajęczała, zaczęły jej drżeć łapy.

Josh z powrotem dopadł do komputera.

– Mam nagły wypadek, muszę iść – powiedział szybko, opuszczając konferencję jednym kliknięciem myszy. Nawet w tej panice poczuł przebłysk satysfakcji, że mógł zgasić Blascoe jak żarówkę.

Lucy dyszała i dreptała tam i z powrotem, podczas gdy Josh szukał kluczyków i portfela. **Nie.** To absolutnie nie będzie poród w domu!

– Chodź, Lucy! – ponaglił.

Nie poszła za nim. Położyła się na drewnianej podłodze. Jej pierś unosiła się ciężko przy każdym oddechu. „O, Boże”.

– Wszystko będzie dobrze – zapewniał ją. Pobiegł do swojego pick-upa i drżącymi rękami otworzył drzwi od strony pasażera, a następnie popędził z powrotem do domu. Uniósł ją ostrożnie, chwając się nieco pod jej ciężarem. Język wystawał jej z pyska.

– Lucy! W porządku? Lucy! – wysapał. Proszę, Lucy. **Proszę.**

Z suczką na rękach siłował się z drzwiami wejściowymi, chcąc zamknąć je stopą, ale dał za wygraną. Pobiegł z nią do furgonetki i najdelikatniej, jak mógł, ułożył na przednim siedzeniu. Silnik odpalił natychmiast. Wyjeżdżając z podjazdu, rzucił dzikie spojrzenie na otwarte drzwi domu, ale stwierdził, że to bez znaczenia – i tak nikt nigdy go nie odwiedzał, nawet włamywacze.

– Grzeczna sunia, grzeczna. – Głaskał ją po głowie, a ona, nawet cierpiąc, zdołała polizać go po dłoni. Ten gest momentalnie uciszył cały jego niepokój. Poczuł, jak serce unosi mu się w piersi. Jej ciepłe uczucia w takich okolicznościach uzbroiły go w zacieklą determinację, żeby nie dopuścić, by stało się coś złego. Nie Lucy. Nie dzisiaj.

Suczka dyszała i jęczała, gdy samochód toczył się wyboistą drogą.

Przyszło mu do głowy, że powinien był zadzwonić i dać znać weterynarzowi, ale było już za późno – zostawił komórkę w szufladzie, w której spędzała większość czasu. Zaciskał dłonie na kierownicy, aż zaczęły mu drżeć przedramiona. „Błagam, błagam” – powtarzał wciąż szeptem. Co rusz rzucał okiem na swoją towarzyszkę w poszukiwaniu... No właśnie, czego? Szczeniaków? A co, jeśli się pojawiają? Nie wiedział, co robić. Jeszcze nigdy nie czuł się taki bezradny.

W końcu stanął przed przychodnią weterynaryjną, niewielkim budynkiem tuż przy North Turkey Creek Road. Podniósł Lucy i zostawiwszy otwartą furgonetkę, pobiegł z nią do drzwi wejściowych, waląc i kopiąc w nie jak szeryf

z nakazem aresztowania. Otworzyła mu krępa pięćdziesięcioletnia kobieta, patrząc na niego jak na wariata.

– Rodzi, ale coś jest nie tak! Płacze i płacze!

– Zaraz, chwileczkę – uspokajała kobieta.

– Wszystko było dobrze. Zmierzyłem jej temperaturę, spadła poniżej trzydziestu ośmiu stopni, a potem odeszły jej wody, to znaczy pojawił się jakiś płyn. Byłem w trakcie telekonferencji, a ona podeszła do drzwi wejściowych i zrobiła się kałuża... – Josh starał się brzmieć mniej histerycznie, wydymając policzki w serii szybkich oddechów.

– Czemu pan tak sapie?

– Słucham?

– Oddycha pan techniką Lamaze'a?

– Oczywiście, że nie – zaperzył się Josh, zdając sobie sprawę, że to właśnie robi. Świadomie zwolnił oddech i zaczął ostrożnie dobierać słowa, choć tak naprawdę chciało mu się krzyczeć na tę kobietę. Jakie znaczenie miał teraz jego sposób oddychania, powinna patrzeć na psa!

– Chcę powiedzieć, że chyba coś jest nie tak. Suczka wydaje się niespokojna. Proszę tylko na nią spojrzeć – wyartykułował starannie.

Lucy miała zwężone źrenice, a z pyska dalej zwisał język.

Kobieta przestała w końcu skupiać się na reakcjach Josha i przeniosła uwagę na Lucy. Zmienił się jej wyraz twarzy.

– Chodźmy do środka i pokażmy ją doktorowi Beckerowi – zdecydowała.

Weterynarz był tak miły, spokojny i uprzejmy, że Josh miał ochotę go uderzyć. Jego zdaniem wszyscy w klinice powinni trząść się ze strachu ze względu na sytuację Lucy. Becker zbadał ją swoimi delikatnymi dłońmi, gdy drżała, leżąc na stole.

– Pojawił się płyn? – zapytał, spoglądając na mokrą sierść na jej łapach.

– Tak, proszę pana. Na podłodze – odpowiedział Josh.

– Czy pamięta pan może jego barwę?

– Barwę? – Josh zmarszczył brwi, starając się ją sobie przypomnieć i prosząc w duchu, by wszyscy przestali wreszcie gadać i w końcu zrobili coś dla biednej Lucy. – Nie wiem... zielona?

– Zielona? – Doktor Becker posłał mu zza okularów gwałtowne spojrzenie. – Jest pan tego pewien?

– Nie... Nie wiem, nie znam się...

– Nie ma sprawy. Wygląda pan na dość poruszonego – zauważył weterynarz.

– Pewnie, że jestem poruszony! Kto by nie był? – krzyknął Josh.

– W porządku, rozumiem. Myślę tylko, że skoro mam zrobić to, co zamierzam, może najlepiej będzie, jeśli pan zaczeka na zewnątrz, dobrze? Możliwy poród pośladkowy – doktor Becker założył gumowe rękawiczki, kiwając głową

w stronę recepcjonistki, która magicznym sposobem pojawiła się natychmiast po tym, jak Josh podniósł głos.

– Zapraszam ze mną – zachęciła cichym tonem mówiącym: „Tak uspokajamy wariatów”.

Na widok rękawiczek Joshowi z jakiegoś powodu zebrało się na mdłości. Potulnie wytoczył się za kobietą. Wskazała mu poczekalnię, ale nie wyobrażał sobie, że usiądzie i zacznie czytać czasopismo „Szczek”, a przynajmniej jeszcze nie teraz. Potrzebował powietrza.

– Zostawiłem otwarty samochód – powiedział i wskazał na drzwi wyjściowe.
– Czy mogę...

– Tak, oczywiście.

Pchnął drzwi i na miękkich nogach podszedł do furgonetki. Dopiero teraz zauważył, że powietrze zrobiło się dużo zimniejsze niż jeszcze kilka godzin wcześniej – czuł jego chłód na języku, a oddech zamienił się w parę. Zamknął drzwi i oparł się o samochód, starając się uspokoić szalone bicie serca. Suczki ciągle się szczenią. Gdyby tego nie robiły, nie byłoby psów. Lucy znalazła się teraz w dobrych rękach i wszystko będzie w porządku. Jest u weterynarza. Wszystko będzie dobrze.

Za nic nie był w stanie zapomnieć widoku Lucy liżącej jego dłoni na przednim siedzeniu w drodze do przychodni. Pół godziny bezskutecznie próbował się uspokoić, po czym wrócił do środka, a recepcjonistka podniosła wzrok i posłała mu współczujący uśmiech.

– Będzie padać? – zapytała.

– Nie wiem. Dziwna pogoda. Powietrze jest naprawdę zimne i wilgotne.

– Ochładzało się cały poranek – odparła.

Tak, o tym właśnie chciał rozmawiać. **O temperaturze.**

– Doktor Becker jest najlepszy w swoim fachu – zapewniła Josha, zdając się rozumieć, w jakim jest nastroju. – Pańskiemu psu nic nie będzie.

„To nie jest mój pies” – nie powiedział Josh.



4

W ciągu następnej godziny w oczach Josha kobieta w recepcji zmieniała się z wachmistrza marines w miłą ciotuchnę. Za każdym razem gdy podnosił na nią wzrok, uśmiechała się do niego współczująco. „Prawie każdy byłby trochę surowy dla nieznajomego, który próbował wyważyć drzwi”, myślał sobie. A przy tym on sam był zdecydowanie niemiły.

– Kiedy będzie coś wiadomo? – zapytał. Jeszcze ani razu nie zniecierpliwiła się, słysząc od niego kolejną wariację na temat tego pytania.

– Doktor Becker na pewno nas poinformuje, kiedy tylko będzie mógł – zapewniła.

W poczekalni pojawiła się kobieta z kotem w miękkim kontenerku i usiadła daleko od Josha.

– Przykro mi, ale doktor Becker ma opóźnienie. Dziś rano przyjął nagły wypadek – poinformowała ją recepcjonistka.

Właścicielka kota odwróciła się i otaksowała Josha.

– Przepraszam – powiedział. Uciekła wzrokiem.

Drzwi na korytarz otworzyły się, a Josh skoczył na równe nogi, jakby właśnie nastąpił jakiś wybuch.

– Proszę do gabinetu – rzekł doktor Becker. Coś w jego głosie sprawiło, że Josh powędrował wzrokiem do współczujących oczu recepcjonistki, po czym udał się w głąb korytarza.

– Z Lucy wszystko w porządku – uspokoił go weterynarz. – Proszę usiąść.

To nie była sala badań. Znajdowali się w małym pokoju z biurkiem i dwoma krzesłami. Biblioteczkę za plecami doktora, który zajął miejsce przy biurku, zdobiły zdjęcia kilkorga dzieci i jakieś pięćset fotografii różnych zwierzaków.

– Teraz jest pod narkozą, ale za chwilę ją pan zobaczy.

Josh znieruchomiał. Zauważył, że weterynarz omija temat szczeniaków i zaczął mieć złe przeczucia. Doktor Becker odczytał to w jego spojrzeniu i skinął głową.

– Niestety wszystkie szczenięta urodziły się martwe.

– Och... – Josh zrobił wdech i wydech, nie wiedząc nawet, jak w związku z tym się czuje. Zdał sobie sprawę, że to o Lucy się martwił, jej potomstwo przez cały czas było dla niego czystą abstrakcją. Nawet teraz niepokoił się głównie o nią.

Jak zareaguje, kiedy po całym tym cierpieniu i panice nie będzie mogła zabrać dzieci do domu?

– Czy wiadomo, dlaczego tak się stało?

Doktor Becker przyglądał się twarzy Josha.

– Muszę spytać: czym karmił pan swojego psa?

– Czym? Ekhm... – Josh zdał sobie sprawę, że musi wyjaśnić, jak Lucy się u niego znalazła i pokrótce opisał całą sytuację. Spojrzenie weterynarza złagodniało.

– Ostatnie dni musiały być dla pana dość interesujące – powiedział sucho. – Nie znam tego Ryana, a Lucy nigdy wcześniej u nas nie było. Sprawdziliśmy, nie ma chipa. A więc co się tyczy jej diety?...

– Kupiłem karmę, która ponoć jest naprawdę dobra, Nature's Variety, ale je ją dopiero od początku pobytu u mnie. Mieszam ją z karmą, którą zostawił mi Ryan.

– No cóż, do śmierci płodu może prowadzić wiele czynników, ale na początku zawsze dopatruję się przyczyn w nieodpowiednim żywieniu. Karma, którą przywiózł panu sąsiad, ma piękne opakowanie, ale szczerze mówiąc, gdyby je pan opróżnił i dał suczce do zjedzenia pustą torbę, lepiej by się to przysłużyło jej zdrowiu. Wiem, co napisano na opakowaniu o wartościach odżywczych, ale gdyby wziął pan parę skórzanych roboczych butów, dodał do nich kwartę oleju napędowego i dużą garść słomy, a potem wszystko zmielił, to analiza wartości odżywczych takiej mieszanki pokazałaby sensowną ilość białka, tłuszczów i węglowodanów. Tylko że wszystkie byłyby nieprzyswajalne. Tym w skrócie karmiono Lucy. Proszę wyrzucić tamtą karmę. Ta, którą pan kupił, jest znakomita i pomoże jej szybciej wrócić do pełni sił.

Josh wyobraził sobie biedną Lucy przetykającą z trudem śmieciowe jedzenie, które serwował jej Ryan, a następnie płynnie przeszedł do fantazji, w której staje w progu domu sąsiada i dzieli go obuchem w głowę. Wziął głęboki oddech.

– Dobrze – skinął głową.

Doktor Becker wyjaśnił mu, jak zajmować się Lucy. Josh słuchał uważnie.

– Przez następny tydzień proszę zapewnić jej jak najwięcej spokoju. Niech nie biega luzem, tylko na smyczy. Najprawdopodobniej przez jakieś trzy–cztery tygodnie będzie miała upławy z pochwy. Będą przypominały nieświeżą krew, czyli nie będą barwy jaskrawoczerwonej, tylko ciemniejszej. Zielonkawe mogą oznaczać zatrzymanie łożyska i w takim wypadku proszę do mnie natychmiast dzwonić. Może produkować mleko. Zauważy je pan, jeśli zacznie sączyć się z jej sutków, wtedy również proszę do mnie dzwonić. Wszystko jasne? Po powrocie do domu proszę podać jej trochę wody, a po półgodzinie, jeśli nie pojawią się nudności, dać jej odrobinę karmy. Po dwunastu godzinach jej dieta może wrócić do normy.

Proszę dzwonić, jeśli pojawią się wymioty lub brak apetytu.

Josh z wysiłkiem rozluźnił dłonie, które zacisnął w pięści, gdy powoli wzbierało w nim napięcie. „Nie podołam temu. Zawiodę”.

– Nie wiem... – wybełkotał.

Weterynarz uniósł brwi.

– Czego pan nie wie? Jeśli będzie jakiś problem, po prostu proszę do mnie zadzwonić.

– Chodzi o to, że ja nigdy... – Josh uniósł ramiona.

– Poradzi pan sobie. A teraz chodźmy do pańskiego psa.

Lucy spała w przestronnej klatce na końcu sali. Gdy Josh wsunął palce przez kratki, suczka otworzyła mokre, nieprzytomne oko.

– Przykro mi z powodu szczeniaków – powiedziała recepcjonistka, gdy wrócił na swoje miejsce w poczekalni. Kobiety z kotem już nie było.

– Tak, no cóż... – odparł Josh.

– Lucy może przez pewien czas być przygnębiona. Czasami pomaga pluszowa zabawka albo dwie, do noszenia i spania w ich towarzystwie – doradziła, oglądając się za siebie, jakby mówiła coś, czego nie powinna. – Proszy na zewnątrz?

– Jeszcze nie – odpowiedział Josh, wyglądając przez okno.

– Jest trzeci października – bąknęła pod nosem – a jeszcze w piątek było dwadzieścia jeden stopni! To chyba oznacza białe Boże Narodzenie. Pan jest stąd?

– Tak, dorastałem w Evergreen – potwierdził Josh.

– Szalona pogoda. My przeprowadziliśmy się z Detroit, to nasza pierwsza jesień tutaj. Wiedziałam, że będzie zimno, ale nie przypuszczałam, że warunki zmieniają się tak szybko.

– No cóż, to dość nietypowe, ale wkrótce pewnie się ociepli. Śnieg pada i topnieje, pada i topnieje. W Wigilię może być go po kolana, a następnego dnia wcale. Nawet w lutym ciągle świeci słońce.

– Słońce? – W jej oczach przywykłych do szarego zimowego nieba Michigan widać było niedowierzanie.

Recepcjonistka najwyraźniej spodziewała się, że Josh poprowadzi Lucy do furgonetki, ale on wziął suczkę na ręce, przytulił do siebie tak blisko, że jej sierść aż omiatała mu twarz, zaniósł ją do samochodu i ułożył na przednim siedzeniu.

– Biedna Lucy – wyszeptał łagodnie. Suczka natychmiast ponownie zasnęła.

Josh uruchomił silnik i pozwolił mu cicho pracować, odkręcając ogrzewanie na cały regulator. Potarł o siebie dłonie, by je rozgrzać – ależ było zimno!

Zaczął mżyć lekki, drobny deszcz, tu i ówdzie zmieniając się w maleńkie ziarenka lodu, które odbijały się od przedniej szyby furgonetki. Josh włączył światła, a potem wycieraczki, które zamiast wycierać wodę, rozmazywały ją na szybie.

– Burza lodowa – powiedział głośno. Skierował strumień ciepłego powietrza na szyby i czekał z niecierpliwością, aż ciepłe powietrze stopi lód. Furgonetka przegrywała tę bitwę przez dobre trzy minuty, zanim wycieraczki nie zaczęły wreszcie pracować, jak należy. Gdy w końcu dostrzegł maskę samochodu, zauważył, że jest pokryta przejrzystą, lekko chropowatą warstwą szronu.

Włączył napęd na cztery koła i wjechał na szosę.

W Kolorado od razu widać, kto mieszka w górach od dawna, a kto się dopiero przeprowadził – nowo przybyli to ci, którzy lądują w rowie. Josh jechał dwadzieścia mil na godzinę, kręcąc z dezaprobatą głową, gdy kierowcy przemykali obok z ponad dwukrotną prędkością. To, że napęd na cztery koła pozwalał na bezpieczniejsze przyspieszanie, nie znaczyło jeszcze, że dzięki niemu hamowało się szybciej od innych. Niebo nad szosą oświetlała feeria szaleńczo powykrzywianych świateł reflektorów pojazdów, które ześlizgnęły się z drogi, zupełnie jak na jakiejś hollywoodzkiej premierze.

W istocie łatwiej było jechać połą drogą – gruzłowate opony furgonetki przebijały się przez lód, tocząc się bezpośrednio po leżącej pod nim ziemi. Lucy uniosła głowę, gdy zatrzymał się w zatoczce u szczytu podjazdu. W świetle reflektorów zobaczył, że niektóre krople deszczu starały się zamienić w śnieg, a osiki, z których wiele błyszczało jeszcze złotymi liśćmi, ugiwały się pod ciężarem zamarznętej wody oblepiającej ich konary.

Otworzył drzwi od strony kierowcy, Lucy z trudem przysiadła. Josh wyszedł z samochodu i o mało się nie przewrócił. Na jego podjeździe można było grać w hokeja – tak był oblodzony. Drzwi od strony Lucy zatrzeszczały jak pękające drewno, gdy je otworzył, a na ziemię spadły drobinki lodu.

– Dasz radę iść sama? Wybacz, ale boję się, że przewrócę się z tobą na rękach – wyjaśniał suczce.

Lucy ostrożnie wyszła z samochodu, obwąchując ziemię. Josh równie ostrożnie przeszedł przez lodowisko, w jakie zamieniło się jego podwórko. Suczka wchodziła za nim po schodkach z całkowicie obnażonymi pazurami. Drzwi wejściowe były otwarte na oścież. W myślach odegrał scenę z nimi w roli głównej: widział, jak siłuje się z drewnianym skrzydłem, ostatecznie dając za wygraną i zostawiając je otwarte. W środku było naprawdę zimno. Grzejnik pracował jak szalony, ale nie miał żadnych szans w starciu z podmuchami mroźnego powietrza, które przez cały dzień wdzierały się do domu.

Wyciągnął posłanie Lucy z sypialni i umieścił je obok kominka. Na wysuszonej podpalce, która przeleżała tu całe lato, ogień rozpałił się już po pięciu minutach.

– To cię rozgrzeje. Chcesz kocyk? – zapytał niezręcznie. Widział, jak jego oddech zamienia się w parę we wnętrzu domu. Sunia zamerdała ogonem, dwukrotnie nim uderzyła, a następnie rozciągnęła się z westchnięciem na poduszce.

Rzeczywiście wyglądała na przygnębioną. Może chce którąś ze swoich zabawek? Czy to głupi pomysł? Nie miał niczego, co choćby w najmniejszym stopniu mogło służyć za substytut szczeniaka. Jutro pojedzie do miasteczka i kupi kilka pluszowych zwierzątek. Ale czy ułożenie przy jej sutkach rządka sztucznych piesków wystarczy, by oszukać ją, że jednak urodziła żywe młode?

Josh nie był w stanie wyobrazić sobie, co musiało dziać się w głowie tej biednej suni. Jeszcze czterdzieści osiem godzin temu mieszkała z Ryanem, którego „opieka” graniczyła z przestępstwem. Karmić ciężarną suczkę takim świństwem! Potem została podrzucona człowiekowi, który nigdy wcześniej nie miał psa, a po kilku godzinach zaczął się bolesny poród, po którym nie został jej ani jeden szczeniak.

Josh przyklęknął na jej posłaniu i zaczął głaskać ją po głowie.

– Wszystko będzie dobrze, Lucy. Obiecuję. – Te słowa zabrzmiały pusto w jego uszach. Skąd mógł wiedzieć, że wszystko na pewno będzie dobrze? Jak dotąd tak nie było.

Gdy przyszło mu na myśl, by zostawić Ryanowi kolejną wiadomość, zdławił ten impuls, choć nie wiedział dlaczego. Po prostu nie chciał do niego dzwonić.

Skrzynka z drewnem przy kominku nie była taka znowu pełna. Odnawianie jej zapasów należało do zimowych obowiązków, a na początku października Josh nie był jeszcze gotowy, by ogłosić przybycie zimy. Sterta opału znajdowała się na zewnątrz, nieopodal furgonetki. Josh mógł albo iść po niego teraz, albo zmierzyć się z mokrym drewnem rano. Rzucił okiem na śpiącego psa. Czy poczuje się porzucona, jeśli zostawi ją teraz, by napełnić skrzynkę? Na tę myśl lekko ścisnęło go w gardle. Wyobraził sobie, jak suczka unosi głowę, gdy on wychodzi, myśląc, że już nigdy do niej nie wróci. Jak Serena i Ryan.

Jednak musiał iść po drewno. W tak wychłodzonym domu sam grzejnik nie podoła zadaniu. Josh wychodził, ale wróci – oto różnica. Wzdychając, włączył światła na tarasie. Nocą zawładnęła zawierucha wirującego lodu, śniegu i deszczu. Ledwie widział stertę opału na zewnątrz.

Włożył na siebie ciepły płaszcz przeciwdeszczowy. Lucy usłyszała hałas i spojrzała na niego pytająco.

– Poczekaj tu, Lucy. Zaraz wracam. Przysięgam, że cię nie opuszczę. Z ręką na sercu.

Na schodkach leżało trochę śniegu, ale były tak samo zdradliwe, jakby pokrywał je sam lód. Josh prześlizgnął się do sterty drewna, zaśmiewając się ze swoich niepewnych kroków. Złapał naręczę małych polan i już bez uśmiechu zaczął przedzierać się z powrotem do drzwi wejściowych, rzucając okiem na furgonetkę.

Zobaczył pudło, ale nie dotarło do niego, co właściwie widzi. Na pace pick-upa stało bowiem kartonowe pudło, które nie on tam położył.

Gdy już dotarł bezpiecznie do domu, wypuścił ciężkie brzemię, z łoskotem uderzając nim o podłogę.

– Uff!

Wszystkie polana były z jednej strony pokryte grubą warstwą lodu. Wyciągnął dłonie do ognia. Ciepło płomieni zaczynało już powoli wygrywać z zimnem panującym w pomieszczeniu. Reszta domu była wciąż wychłodzona.

– Zimno ci? Dobrze się czujesz? Nic cię nie boli?

Spojrzenie Lucy sugerowało, że męczą ją wszystkie te irytujące pytania, ale Josh nie mógł się powstrzymać. Potrzebował potwierdzenia, że nie wyrządził temu biednemu stworzeniu jeszcze więcej krzywdy.

Ogień zaczął trzeszczeć w kominku. Josh szturchnął pogrzebaczem rozpalone polana, jak to zawsze miał w zwyczaju.

– Jesteś głodna, Lucy? A nie, na razie tylko woda.

Wtedy zdał sobie sprawę, że sam umiera z głodu. Podszedł do wejścia, by wyłączyć światło na tarasie, a potem przyrządzić sobie w kuchni coś do jedzenia, ale nagle znieruchomiał, ściągając brwi.

To pudło.

Co to za karton? W świetle lamp wydawał się dwukrotnie większy od mikrofalówki, w której chciał podgrzać sobie kolację. I czy z boku nie było jakiegoś napisu?...

Nachylił się, mrużąc oczy. Czarnym markerem ktoś niezgrabnie napisał kilka liter. Kurtyna deszczu i śniegu przysłaniała mu widok, ale podmuch wiatru rozrzedził ją na tyle, że Josh był w stanie przeczytać: „Dla weterynarza”.

Dla weterynarza? Furgonetka Josha stała zaparkowana tuż przed wejściem do kliniki doktora Beckera. Czy jakiś leniwy listonosz uznał, że to jego samochód?

Josh zaczął się zastanawiać, kiedy dokładnie pudło zostało tu położone. Czy stało już na pace, gdy wyszedł zamknąć drzwi? Nie, był całkowicie pewien, że nie. Ktokolwiek je tu umieścił, musiał to zrobić później.

Zupełnie nie miał ochoty wychodzić na ziąb, ale był zbyt ciekawy, by poczekać do rana. Zerknął na Lucy, która ponownie zasnęła, po czym raz jeszcze wymknął się na zewnątrz i ostrożnie podszedł do furgonetki. Pudło zdawało się ważyć nie więcej niż pięć kilogramów i było cięższe na spodzie. Boki kartonu szklily się od lodowej powłoki.

Josh dotarł do domu i zamknął za sobą drzwi. Na jego widok Lucy uderzyła ogonem.

– Zobaczmy, co my tu mamy, Lucy.

Postawił pudło na podłodze przy kominku i włączył stojącą obok fotela lampę. Wieko pudła nie chciało odpuścić – jego boki były dosłownie do siebie przymarznięte. Uderzył w nie kilka razy, aż w końcu otworzyło się, a on nachylił się, by zajrzeć do środka.

Z początku nie był pewien, na co patrzy, ale kiedy już to sobie uświadomił, westchnął przerażony.

Na dnie pudełka leżało pięć malutkich, wtulonych w siebie cętkowanych ciałek. Szczeniaczki. Wciśnięte w siebie, nieruchome, nowo narodzone szczeniaczki.

– Mój Boże – wyszeptał.

I wtedy nagle zgasły wszystkie światła.



Po tym, jak zabrakło prądu, jedynym światłem w domu była tańcząca złota łuna ognia w kominku. Dno pudła tonęło w ciemności, a jego zawartość była ledwie dostrzegalna. Czyżby mylił go wzrok?

Josh sięgnął do środka i delikatnie dotknął jednej z puchatych kulek. Pod palcami poczuł chłód. Wciągnął powietrze przez zęby. To było dla niego za wiele. Jak można w taką pogodę podrzucać pudło pełne maleńkich szczeniąt, by zamarzyły na pace furgonetki? Jakim trzeba być człowiekiem, żeby coś takiego zrobić? Jak to mogło się stać?

„Dlaczego ja?”

Czy powąchanie martwych szczeniąt sprawi Lucy ból? Josh zerknął w jej stronę, ale suczka głęboko spała. Dotknął innego szczeniaka, który był równie zimny i równie nieruchomy. „Po prostu świetnie...”

I nagle poczuł pod palcami coś niesamowitego: szczeniak lekko się poruszył. Był żywy.

Josh w sekundę porzucił użalanie się nad sobą i wszedł w stan podwyższonej gotowości.

– O Matko Boska! – zawołał. Podniósł szczeniaka. Tak, mały żył, ale był bardzo, bardzo wychłodzony. To ledwie ruszające się stworzonko potrzebowało ciepła, ale dom był zimny jak lodówka. Może jeszcze któryś przeżył? Musiał je rozgrzać, musiał uratować te szczenięta!

Jedną ręką delikatnie przyciskając do piersi malutkie zawiniątko, drugą sięgnął po podpałkę i dorzucił do ognia. Najmniejsze gałązki rozpały się natychmiast, wzniecając płomień, z którego uderzyło ciepło. To nie wystarczyło, ale ten ogień był wszystkim, co miał do dyspozycji.

W pudełku poruszyło się następne szczenię. I następne. Nie wahając się ani chwili, Josh włożył je sobie pod sweter, przyciskając do gołej skóry. Czuł, jakby dotykał małych śnieżek. Wciąż dokładając gałązek do ognia, był w stanie trzymać tylko trzy szczeniaczki. Poszedł po stertę gazet, które jedną ręką miał w kulki i wrzucał do kominka. Każdy zwitek papieru po spłonięciu zamieniał się w czarny popiół, ale przedtem cała jego energia rozbłyskiwała jasnym płomieniem.

Był tak blisko ognia, że twarz mu ogorzała, a sweter pachniał tak, jakby miał się zaraz zapalić. Trzy schowane pod nim szczeniaki nie poruszały się za wiele

i nie wydawały żadnych dźwięków, a przecież w pudle czekały jeszcze dwa.

– Już, już – powiedział. Szybkimi i drżącymi ruchami położył trzy szczeniaki na podłodze przy swoich kolanach i ściągnął sweter. Delikatnie je nim owinał, przyciskając jego rozgrzaną stronę do ich wychłodzonych ciałek. Zrobione. Sięgnął po pozostałe dwa. Były żywe! Przycisnął je do gołej skóry. Robił tak na zmianę: przytulał dwa, następnie trzy, znowu dwa i powrót do trzech. Były takie maleńkie! Nachylił się do roztańczonego ognia, pozwalając jego żarowi piec skórę. Dwa pozostałe szczeniaki były tak samo wychłodzone i nieruchome jak pierwsze trzy, ale po ich ledwie zauważalnych ruchach poznał, że oddychają. Co jeśli umrą teraz, w jego ramionach?

Więcej gazet. Ogień trzaskał w kominku, ale kończyło mu się paliwo, a sterta gałązek kurczyła się. Niechętnie wrzucił do kominka mokre od roztopionego lodu polano, które w ogniu aż zaskwierczało.

Jedno z maleństw wciśnięte w jego prawy łokieć poruszyło główką, na co Josh zrobił gwałtowny wdech.

– Nie umieraj – wyszeptał. – Błagam, nie umieraj, nie umieraj...

Usłyszał ciche piśnięcie i zaskoczony spojrzął na sweter. Leżał płasko na podłodze i był pusty – szczeniaczki zniknęły.

Rozejrzał się gwałtownie, zatrzymując wzrok na Lucy, która obserwowała go ze swojego miękkiego posłania. Trójka zaginionych leżała przyciśnięta do jej boku i to właśnie one były źródłem cichego dźwięku, który usłyszał. Szczeniaczki ruszyły na żer. A w zasadzie to Lucy jakimś sposobem przeniosła je ze swetra na swoją poduszkę. Teraz karmiła je, przywracając szczenięta do życia.

– Nie wierzę – wyszeptał Josh.

W „stołówce” było nieco chłodniej niż tuż przy ogniu, ale mleko Lucy rozgrzewało niemowlaki od środka.

Po krótkiej chwili wstał i podszedł do gromadki. Przykładał puchate kulki do wolnych sutków, aż ich małe mordki instynktownie przysysały się do życiodajnego źródła. Nawet przy trzaskającym ogniu słyszał odgłosy ssania, a popiskiwanie szceniąt cieszących się swoim pierwszym posiłkiem w życiu stawało się coraz głośniejsze.

Lucy nachyliła się w ich stronę, od czasu do czasu liżąc je swoim długim, różowym językiem.

Josh przez kilka minut rozkoszował się widokiem tego cudu, po czym wrócił do kominka. Na zewnątrz huczał wiatr, łamiąc niejednen konar, który z łoskotem zwał się na ziemię, ale Josh był tak skoncentrowany na ogrzewaniu domu, że szalejąca zawierucha była dla niego jedynie hałasem w tle.

Przez całą noc dokładał do ognia, co godzina budząc się i wstając z kanapy, by dorzucić kolejną polaną. Było na tyle ciepło, że około północy zdjął skarpetki i rzucił z siebie koc, ale niewystarczająco, by zagrzać lazanie z zamrażarki, którą

pełen nadziei wstawił na ruszt tuż po tym, jak Lucy zajęła się karmieniem małych. Winszował sobie przedsiębiorczości, gdy znalazł garnek z metalowym uchwytem. Włożył do niego lazanie i zawiesił nad ogniem na szczypcach do węgla, ale skończyło się na tym, że jadł włoską potrawę spaloną na węgiel na spodzie, ale z chrupiącymi kryształkami lodu w środku.

Świt był nieznośnie jasny, Josh wstał razem ze słońcem. Prądu wciąż nie było. Na zewnątrz wszystko pokrywała lśniąca warstwa lodu. Liście i gałązki pobłyskiwały tysiącem lustreczek. Ogromna sosna żółta – najprawdopodobniej najwyższe drzewo na jego działce – złamała się pod ciężarem grubej zmarzliny i teraz leżała na podjeździe, blokując drogę. Nie żeby gdzieś się w najbliższym czasie wybierał. Drogi będą nieprzejezdne, dopóki nie poprawi się pogoda, a termometr na tarasie mówił, że słońce będzie musiało wykazać się nie lada ambicją, jeśli chce doprowadzić do wzrostu temperatury: obecnie wynosiła minus dwadzieścia stopni. Nadciągnęło arktyczne powietrze.

Szczenięta były ciepłe i suche. Wszystkie żyły i spały. Gdy Josh wyciągnął ku nim dłoń, Lucy trąciła go swoim wilgotnym nosem. Przekaz był jasny: „Wszystko gra, nie budź dzieciarni”.

Bateria jego laptopa jeszcze się nie wyczerpała, ale bez internetu i tak nie mógł pracować. Przyszło mu do głowy, żeby z komórki napisać e-mail do Gordona Blascoe z wyjaśnieniami i przeprosinami za swoje zniknięcie, ale zamknięty w szufladzie telefon zdążył się rozładować. „Stary, nie używasz komórki? – przypomniał sobie pytanie Ryana.

Tu, w górach, Josh łapał zasięg tylko na skalistym zboczu na skraju działki. A więc nie, nie używał komórki, bo dzwoniła tylko, gdy był w miasteczku. W razie potrzeby wysyłał wiadomości z komputera.

Podłączył telefon do ładowarki, żeby bateria zaczęła się regenerować, gdy tylko przywróca dostawy prądu. Potem wyciągnął żelazny garnek, nalał do niego wody i wstawił na ogień. Tym sposobem ugotował dwanaście jajek na twardo, które wraz z płatkami kukurydzianymi i mlekiem miały stanowić jego dietę do czasu, aż nie przywróca dostaw elektryczności. Nigdy wcześniej nie zastanawiał się, jak wiele w jego życiu zależy od mikrofalówki.

Po ugotowaniu jajek zalał wodą fusy z kawy w misce, po czym przepuścił miksturę przez papierowy ręcznik, dzięki czemu smakowała całkiem znośnie. Przesunął kanapę bliżej ognia, usiadł i popijając prawie-kawę, przyglądał się szczeniakom. Trochę się wierciły, ale oprócz tego nie wykonywały żadnych bardziej zdecydowanych ruchów.

Mimo to zakwiliły, gdy Lucy nagle wstała i podeszła do drzwi wejściowych. Josh wypuścił ją na rześkie powietrze, czując podmuch arktycznego wiatru wirującego mu u stóp na poziomie szczeniaków. Lucy ostrożnie przemierzała podwórko, obwąchując ziemię, więc zamknął drzwi i poszedł do dzieciaków.

– Nie martwcie się, wróci – uspokajał towarzystwo. Zdjął z kanapy koc i okrył nim szczeniaki, ale to nie uciszyło ich nerwowego popiskiwania. Przez duże frontowe okno widział, jak Lucy kuca na cienkiej skorupie śniegu. Odwzajemniła jego spojrzenie. Gdy skończyła, spotkali się przy drzwiach. Suczka pobiegła prosto do maluchów, zerknęła na niego z politowaniem, po czym zębami ściągnęła z nich koc i położyła się ciężko. Joshowi zdawało się, że przygniotła któreś ze szceniąt, ale tylko powierciła się i wkrótce wszystkie znowu ssały jej sutki. Pochyliła głowę i ciężko westchnęła, dzięki czemu w oczach Josha dołączyła do grona wszystkich matek, które kiedykolwiek chodziły po ziemi.

Lucy dokonała cudu, uratowała szczeniaki. On jedynie przyniósł pudło do domu.

Przyszła noc. Zdawało się, że to nie ciemność zapada, ale ogień tańczący w kominku nabiera siły. Josh czytał książkę i przyglądał się Lucy, która zjadła porządną posiłek i dwa razy napiła się wody, zanim on przykrył się i zasnął.

Obudził go dźwięk kapiących kropli, ale to nie był deszcz – na dworze było mgliście i dużo cieplej, a lód błyskawicznie topniał. Drzewa otrząsnęły się z szadzi i znowu stały wyprostowane w kaskadzie diamentowych kropli. Wiele osikowych liści zostało pozbawionych szansy zaprezentowania się w swoich jesiennych barwach – leżały na ziemi strącone przez burzę.

Oto pogoda typowa dla Kolorado – wystarczy kilka godzin, by całkowicie się zmieniła.

Szczenięta wciąż były żywe i jak dotąd nic nie świadczyło o tym, by Lucy mogła je odtrącić. Gdy Josh spojrzał jej głęboko w oczy, zdawało mu się, że widzi w nich zadowolenie.

Mogła odzyskać to, co zostawiła w gabinecie weterynarza.

– Jesteś dobrą sunią – zapewnił ją.

Wciąż nie było prądu. Sypialnie z tyłu domu stały się zbiornikami zimnego powietrza – gdy Josh otworzył drzwi jednej z nich, powiało lodowatym chłodem. Na całe szczęście kanapa była wygodna.

Przerwa w dostawie prądu mogła trwać jeszcze wiele dni. Potrzebował jedzenia, które nie wymagało gotowania ani chłodzenia. „Nachosy i puszka sosu fasolowego” – napisał w notatniku. „Masło orzechowe”. Co jeszcze? „Chipsy ziemniaczane”.

Jeśli chce w ogóle myśleć o wyprawie do miasteczka, musi usunąć z podjazdu zwałoną w czasie burzy sosnę.

– Dasz sobie radę sama, Lucy – zapewnił ją, zakładając gumki. Zajęta niemowlakami suczka nie wyglądała na zbyt przejętą.

Piła łańcuchowa z szopy tylko słabo się zakrzusiła po tym, jak Josh nieomal wyrwał sobie rękę ze stawu, próbując ją uruchomić, ale w końcu zaczęła pracować, gotowa wgrzyźć się w wielkie drzewo blokujące podjazd. Jednak tuż przed

zatopieniem jej zębów w pniu, Josh zawahał się.

Przez większość życia był zbyt mały, by objąć tę sosnę ramionami. Przetrwiała wiele burz, a na jej pniu wciąż była widoczna ciemna blizna – pamiątka po tym, jak siostra Josha, Janice, uderzyła w nią tylnym zderzakiem samochodu tuż po otrzymaniu tymczasowego prawa jazdy. To o tę sosnę opierał się w poszukiwaniu dosłownego wsparcia, gdy patrzył, jak matka i siostra odjeżdżają za ciężarówką firmy przeprowadzkowej, znikając z jego życia. Teraz drzewo leżało przewrócone, za stare i zbyt dumne, by ugiąć się pod prężerem ciężkiej lodowej czapy. Gdy tylko wbije w nią piłę, sosna przestanie być drzewem. Wycięte z niej polana znajdą się na stercie opału na następną zimę.

Czuł się tak, jakby umarł jego stary przyjaciel.

W Boże Narodzenie ojciec Josha okręcał jej pień łańcuchem niebieskich światełek jak ozdobny wiosenny słup, dając początek tradycji, którą Josh chętnie kontynuował. Świąteczka czekały w torbie, którą niecierpliwy gospodarz wyjął już tydzień wcześniej – tak jak matka szybko zaczynał dekorować dom na Boże Narodzenie. Gwoździe do podtrzymania łańcucha, wbite przez jego ojca w sosnowy pień, teraz jeżyły się jak kolce w drucie kolczastym – Josh uważał, by nie zaczepić o nie piłą.

Gdy skończył ciąć drzewo na kawałki, otarł z oczu łzy, ciesząc się, że nikt nie widzi, jak płacze. No, może z wyjątkiem Lucy, która przyglądała mu się z okna. Wypuścił ją z domu, a ona szybko przykucnęła za potrzebą i pobiegła z powrotem do środka.

Cóż za wspaniały pies! Jej obecność w jakiś tajemniczy sposób sprawiała, że czuł się lepiej, mniej samotnie.

Przypomniawszy sobie, że weterynarz zabronił wypuszczać ją samopas, ale jak dotąd osieroczone szczenięta okazywały się najlepszą smyczą.

Sosnowe polana były ciężkie – aż stękał z wysiłku, przenosząc je przez podmokłe podwórko na stertę opału. Za rok na jesieni rozłupie je siekierą.

Skończył zmęczony i obolały, ale pod jego nieobecność włączyli prąd i po kolacji w postaci odgrzewanej w mikrofalach wołowiny mógł wziąć gorący, kojący prysznic. Potem przeszedł się po domu, gasząc światła, które nie wiadomo po co pozapalał, gdy nie było prądu.

Łącze internetowe i telefon stacjonarny jeszcze nie działały, ale bateria komórki wkrótce podładowała się na tyle, że mógł zadzwonić. Założył gumki i poszedł na wzniesienie, gdzie kruszące się skały wystawały z ziemi, tworząc zaokrąglony i wysuszony kopiec, który przypominał łokieć starszego człowieka. Zostawił wiadomość Gordonowi, wyjaśniając, gdzie się podziewał przez ostatnie dni, z nadzieją, że dziwny martwy dźwięk w słuchawce nie oznaczał, że wiadomość się nie nagrywała. Zerknął na wyświetlacz i zobaczył, że sygnał jest nikły, po czym zadzwonił do Ryana.

„Abonent czasowo niedostępny”, poinformował go trzeszczący męski głos w przerwach między zakłóceniami. Josh nie mógł się zdecydować, czy czuje irytację, czy ulgę. Przerwany sygnał na linii przychodni weterynaryjnej oznaczał, że ich telefon też jeszcze nie działa. Nie sposób było przewidzieć, kiedy zostanie naprawiona.

Wrócił do domu i spojrzał na Lucy. Nie leżała przy swoich szczeniakach.

– Lucy, podejdiesz? – zapytał, klepiąc poduszkę, na której małe leżały w równym rzędku, jakby czekały w kolejce na stołowiec. Lucy posłała mu tylko spojrzenie mówiące: „Jeśli myślisz, że to taka fajna zabawa, to sam tam trochę poleż. Wtedy pogadamy”.

Spełniły się obawy Josha: naszyły ją wątpliwości w sprawie adopcji.

Wrócił na skalisty pagórek. Wziął głęboki oddech, zadzwonił na informację i został połączony z oddziałem Animal Rescue w Evergreen.

– Mówi Kerri, Animal Rescue – odebrała kobieta.

– Cześć, Kerri, nazywam się Josh Michaels – przedstawił się, odchrząkując.

– Mamy dość kiepskie połączenie – zauważyła.

– Tak, przykro mi... Dzwonię, bo mam problem i potrzebuję pomocy.

– Tak?... – odrzekła powoli Kerri. – Słucham.

Josh szybko wyjaśnił sytuację: opowiedział o tym, jak Ryan podrzucił mu psa swojej byłej i jak on sam wszedł w posiadanie cudzych szceniąt.

– Wow, niesamowita historia – zdumiała się Kerri. – Jak mogę ci pomóc, Josh?

– No więc... Chyba powinienem je oddać.

– Słucham?

– No wiesz... Przywieźć szczeniaki do was. Podrzucić.



6

Nie rozumiem, o czym mówisz – odpowiedziała Kerri nagle oziębłym głosem.

– Eeee... – Josh szukał słów, by wyrazić się jaśniej.

– Chcesz przywieźć do naszego schroniska nowo narodzone szczenięta?

– Tak.

– Nie rozumiem – powtórzyła, ewidentnie rozgniewana. – A może oszczędź sobie wyprawy do miasteczka i lepiej od razu je zabij?

– Słucham? – Joshowi opadła szczeka. – Jak to „zabij”? O czym ty mówisz?

– Chyba zdajesz sobie sprawę, że będziemy musieli od razu je uśpić? Nie mamy możliwości, żeby przez całą dobę karmić ręcznie pięcioro psich niemowląt. Ty masz takie środki, ale najwidoczniej uruchomienie ich to dla ciebie zbyt wielka fatyga.

– Mam środki...? – wyszeptał bezmyślnie Josh.

– Potrzeba do tego karmiącej suczki, która zgodzi się je przygarnąć, a przed chwilą powiedziałeś mi, że masz taką na podorędziu.

– Ale czy w końcu nie zorientuje się, że to nie jej szczeniaki? – zapytał.

– I co w związku z tym?

– Widziałem raz taką sytuację u wilków. Gdy dorosłe zorientowały się, że małe nie mają ich DNA, zabiły je.

– I dlatego chcesz przywieźć do nas szczenięta.

– Tak. Ponadto pomyślałem, że muszę to zrobić, mając na uwadze względy prawne. Wiem, że posiadanie sześciu psów jest nielegalne, jeśli nie jest się hodowcą. Myślałem, że w przypadku tych porzuconych należy skontaktować się ze schroniskiem. Zadzwoiłbym z tym do przychodni weterynaryjnej, ale ich telefon wciąż nie działa.

– Martwisz się o szczeniaki i dlatego chcesz je do nas przywieźć. Nie dlatego, że jesteś największą mendą w Ameryce. – W głosie Kerri było słychać ulgę.

– Czy suczka ich nie porzuci, jeśli zorientuje się, że nie jest ich matką? – martwił się Josh.

– To pewnie możliwe, ale nigdy nie słyszałam o takim przypadku. Mieliśmy tu kiedyś suczkę, która wykarmiła nam dwa kociaki.

- Nie wierzę.
- Naprawdę. Nie wiem, wilk alfa może i zabija małe, których nie splodził, ale twoja suczka na pewno nie skrzywdzi tych szczeniaków.
- Zaczęła się zachowywać, jakby je odrzucała. – Josh opisał, jak chwilę wcześniej Lucy odmówiła powrotu na poduszkę.
- A może po prostu jest zmęczona opieką nad nimi? Ty byś nie potrzebował przerwy?
- Myślałem, że one to lubią. Ciągłe się słyszy, że matki dostają zastrzyk endorfin, karmiąc swoje niemowlęta.
- W liczbie pięciu sztuk? – odparowała ze śmiechem Kerri.
- Josh miał czas, by zastanowić się nad odpowiedzią, gdy na linii pojawiły się chwilowe zakłócenia. Niestety, jedyną ripostą, jaka przyszła mu do głowy, było: „Och”.
- I możesz mieć pod opieką miot szceniąt. To prawda, prawo hrabstwa pozwala na posiadanie najwyżej trzech psów, ale masz jakieś pół roku na znalezienie dzieciakom domów.
- Hmm...
- Nie brzmisz na szczęśliwego – zauważyła Kerri, a w jej głosie ponownie było słychać chłód.
- Chodzi po prostu o to, że... Nigdy w życiu nie miałem psa, nie wiem, jak się nimi opiekować, a teraz mam ich pół tuzina. Weterynarz mówi, że tamte szczenięta urodziły się martwe, bo suczka dostawała śmieciową karmę. Kupiłem dobry pokarm... Co jeszcze robię źle? Wciąż nie mam internetu i nawet nie mogę o tym poczytać. Na przykład wydaje mi się, że Lucy dosłownie leży na szczeniakach – wyjaśnił, dotykając tematu, który najbardziej go niepokoił. – Czy mam je przy niej układać albo coś?
- Kerri znowu się roześmiała.
- Nic im nie będzie. Ale cieszę się, że martwisz się, że robisz coś źle. To znaczy, że będziesz się nimi dobrze opiekował. Dzwoń do nas o każdej porze, odpowiemy na wszystkie pytania i powiemy, kiedy powinieneś skontaktować się z weterynarzem. A jeśli zechcesz sprawować opiekę zastępczą nad szczeniakami, my znajdziemy im stałe domy.
- Kerri spisała jego adres i powiedziała, że za kilka dni ktoś się u niego pojawi.
- Czy twojej okolicy drogi są przejezdne? Podobno wszędzie wciąż trzeba manewrować między kamieniami i pniami zwalonych drzew.
- Jeszcze nie miałem okazji wyjechać na szosę – odpowiedział Josh. – Ale niedługo wybieram się do miasteczka.
- Lepiej poczekać do jutra, bo możesz utknąć na drodze, kiedy służby będą usuwały kamienną lawinę – doradziła Kerri.

Gdy się rozstali, Josh przekonał się, że miała rację. Stojąc na wzniesieniu i surfując po internecie, dowiedział się, że służby są wszędzie, usuwają skały i samochody po wypadkach, a ludziom zalecano nie wyjeżdżać w trasę, chyba że było to absolutnie konieczne. Josh spędził dzień na obserwowaniu szczeniaków. Teraz, gdy wiedział, że Lucy ich nie odrzuci, łatwo było mu rozluźnić się i po prostu przyglądać małym pieskom, które popiskiwały i trącały noskami swoją mamę i siebie nawzajem.

Kiedy nie spały, znajdowały się w stanie ciągłej kotłowniny, bez żadnego widocznego powodu rozpychając się na oślep albo z zapalem ssąc mleko, podczas gdy Lucy spoglądała na nie z góry jak urzeczona. Spały nieruchomo w chmarze, wtulone w siebie, by czuć się raźniej.

Internet powrócił następnego ranka. Przeglądając nowe e-maile, począwszy od od najstarszego, przeczytał wiadomość od Gordona z pytaniem, dlaczego zniknął, a potem wymianę zdań członków zespołu, którzy połapali się w sytuacji i stwierdzili, że Josh nie pojawi się online jeszcze przez kilka dni. Kilka osób wyraziło nadzieję, że nic mu się nie stało. Blascoe do nich nie należał.

Josh westchnął ciężko, gdy zobaczył, w jakim kierunku zmierza projekt. Nie był w stanie załadować raportu, co oznaczało, że Blascoe nie mógł skorzystać z jego analizy problemów, które ujawniły się podczas testów nowego interfejsu. Nie w pełni zrozumiał sprawę, zespół skupił się na złym rozwiązaniu. Ludzie chcieli prostoty, a Blascoe należał do tych maniaków komputerowych, którzy uważali, że najwygodniejszym ulepszeniem wszystkiego jest zwiększanie funkcjonalności – do momentu aż produkt staje się tak skomplikowany, że nikt nie chce go używać.

Co teraz robić? Jeśli wyśle swój raport, zaoszczędzi klientom dużo czasu i energii, ale będzie to również oznaczało, że skłonność Blascoe do podejmowania pochopnych decyzji pokierowała ich w złą stronę. Wytykanie błędów kierownikowi projektu nie jest chyba najlepszym pomysłem. Choć w raporcie nie znalazło się nic, co mówiłoby o tym bezpośrednio. Tylko bardzo uważny czytelnik mógł to wyłowić, a Blascoe nie słynął z uważnego czytania.

Ostatecznie wysłał swój raport, a wraz z nim starannie sformułowany e-mail z przeprosinami i zapewnieniem, że analiza nie ma na celu unaocznienia Blascoe jego błędu – choć tak naprawdę właśnie tego miała dokonać.

Zanim zdążył nacisnąć „wyślij”, usłyszał podjeżdżający pod dom samochód. Wyjrzał i zobaczył, jak obok jego furgonetki zatrzymuje się zabłocone subaru kombi.

Wysiadła z niego kobieta na oko kilka lat młodsza od Josha z falującymi długimi brązowymi włosami. Miała na sobie dżinsy i koszulę w kratę i poruszała się w sposób, który Josh uznał za bardzo atrakcyjny. Głośno tupiąc, weszła na taras.

Josh słyszał jej pukanie z łazienki – dokąd pobiegł w mgnieniu oka i gorączkowo zaczął myć zęby.

– Chwileczkę! – zawołał, pospiesznie wkładając czystą koszulę. Lucy obserwowała go czujnie, gdy otwierał drzwi.

– Josh? – zapytała kobieta, posyłając mu tak szeroki uśmiech, że widział go nawet w jej głębokich niebieskich oczach.

– Taa... Tak. Josh Michaels – odpowiedział.

Podowała mu dłoń, a on ją uściśnął – miała ciepłe palce.

– Jestem Kerri ze schroniska. Wiem, mówiłam o kilku dniach, ale po prostu nie mogłam się doczekać, by je zobaczyć.

Zaprosił ją do środka, a ona natychmiast podeszła do legowiska Lucy.

– Szczeniaczki! – zawołała wesoło.

Lucy zamerdała ogonem, a Kerri pogłaskała ją po głowie.

– Grzeczna, dobra sunia. Czy mogę dotknąć twoich dzieci, mamusiu?

– To Lucy – przedstawił suczkę Josh. Zamrugał z zaskoczenia, gdy podniosła brązowo-czarno-białego szczeniaka. – Wow! – wyrwało mu się.

– Och, jakie słodkie, kochane maleństwo! – zachwyciła się Kerri. – Wow? – powtórzyła, zerkając na Josha.

– Nie wiedziałem, że można je podnosić. Myślałem, że jeśli zostawię na nich swój zapach, Lucy może... – uniósł ramiona.

– Wyrzucić je z gniazda? Odmówić robaków? – droczyła się dziewczyna. Posłała mu szeroki uśmiech, a Josh złapał się na tym, że go odwzajemnia, aż poczuł rozciągnięte mięśnie policzków.

– Cóż, mówiłem, że nigdy nie miałem psa – powtórzył przepraszająco.

– Lucy, dobra mamusia – pochwaliła suczkę Kerri, odkładając szczeniaka na miejsce. – Zauważyłeś, że ten jest mniejszy od reszty? – zapytała, wskazując na brązowo-czarnego pieska. – Musisz dopilnować, żeby codziennie ssała dwa różne sutki. W ten sposób – Kerri zademonstrowała, jak ma to robić, przykładając maleństwo do wolnego sutka, który szczeniaczek zaczął posłusznie ssać. – Zobacz, jak wystawia języczek. To znaczy, że dobrze ssie.

– To dziewczynka?

– Tak. Sprawdźmy pozostałe. – Kerri sięgnęła po kolejne szczeniaki, unosząc je wysoko. Lucy bacznie ją obserwowała, ale zdawała się nie zgłaszać żadnych zastrzeżeń.

– Trzech chłopców i dwie dziewczynki – oznajmiła.

Josh uświadomił sobie, że z przyjemnością patrzy, jak dziewczyna się pochyla, a gdy odwróciła się do niego, szybko podniósł wzrok – choć niewystarczająco szybko, by mu się upiekło. W jej spojrzeniu pojawił się jakiś błysk. Zaintrygowania? Josh poczuł, że zalewa go fala czerwieni.

– Masz tu chyba mieszankę boksera z labradorem. Mają umaszczenie

boksera, brąz z czernią i bielą, ale sierść jest nieco dłuższa, a z pyszczków przypominają właśnie labradory. Będziemy wiedzieć więcej, gdy trochę podrosną. – Pocałowała w noskę szczeniaka, którego trzymała w dłoniach. – Prawda? Dowiemy się więcej, gdy będziesz już dużym szczeniorkiem – zagruchała słodko do pieska. – Okej, wracamy teraz do mamusi.

Kerri uzmysłowiła Joshowi, że trzymanie piesków na poduszce z kocem przy kominku nie było idealnym rozwiązaniem.

– Będziesz potrzebował małego kojca, czegoś, z czego ich mama będzie mogła wychodzić. Jak twoja zręczność?

– Zręczność? Chodzi o przeciwieństwo niezręczności?

– Nie – zaśmiała się. – Chodzi mi o to, czy umiesz budować różne rzeczy. Większość facetów mieszkających w górach ma smykałkę albo do stolarki, albo do strzelania. – Rzuciła okiem na samotną strzelbę pozostawioną w stojaku na broń.

– To na wypadek niedźwiedzich odwiedzin. Nabita nabojami z solą – wyjaśnił pospiesznie. Stwierdził, że kobieta pracująca w schronisku dla zwierząt nie polubi myśliwego. Josh nigdy nie strzelił do żywego stworzenia.

– A więc nie strzelasz. A stolarka?

– Taa. – Josh wyprostował się, prężąc lekko pierś. – Umiem robić różne rzeczy.

Kerri naszkicowała idealny kojec z osobnymi „bawialnią” i „sypialnią”.

– Te małe urwisy nie będą harcować jeszcze przez jakieś trzy tygodnie, ale później ni z tego, ni z owego zaczną się rozłazić. Czy mamusi zaczęła wypadać już sierść?

– Sierść?

– Wkrótce zaczniesz. Czasami całe kępki, czasami tak niewiele, że nawet nie zauważysz. Nie ma powodu do niepokoju. Przywiozłam informator i witaminy. Dodawaj jej do posiłków. Czym się zajmujesz?

– Och. – Josh zerknął na komputer. – Projektowaniem i wdrażaniem interfejsów, jestem na kontrakcie.

– Ślepa komenda. Coś z komputerami?

– Zgadza się.

– To będzie dla ciebie zupełnie nowe doświadczenie, prawda?

Josh skinął głową.

– Dokładnie tak.

– Nie brzmisz na podekscytowanego.

– Po prostu martwię się, że coś spartaczę.

– Nie, świetnie sobie poradzisz. A poza tym pomogę ci – posłała mu kolejny pogodny uśmiech. Josh wyobraził sobie, że Kerri odwiedza go kilka razy w tygodniu. Będą się śmiać, bawić ze szczeniakami, zabierać Lucy na spacer. Wyobraził sobie, jak siedzą przy kominku, pijąc wino. Ona będzie się do niego

właśnie tak uśmiechać i odrzucać włosy jak wtedy, gdy ujrzał ją po raz pierwszy, on wyciągnie do niej dłoń...

Kerri przerwała jego fantazje, podchodząc do kominka. Wzięła do ręki stojącą na nim ramkę ze zdjęciem Amandy i zapytała:

– Kto to?



7

Przygotowanie odpowiedzi na to pytanie zajęło Joshowi o wiele za długo, a to dlatego, że jego umysł zastygł w panikopodobnym stanie. Wreszcie odchrząknął.

– Amanda – powiedział cicho.

– Amanda – powtórzyła Kerri. Spojrzała na fotografię, a potem z powrotem na Josha. – Żona?

– Och, nie, nigdy nie miałem żony.

– A więc dziewczyna.

Skinął głową w milczeniu.

Kerri odstawiła zdjęcie i zaczęła oglądać inne. Josh uświadomił sobie, jak wiele z nich przedstawiało Amandę, i poczuł się niezręcznie.

– Ta blondynka z mężczyzną i dziećmi to pewnie twoja siostra z rodziną?

– Tak, Janice.

– Josh i Janice.

– Jest ode mnie młodsza.

– Miła rodzinka.

– Dzięki. Chłopcy nie są jej dziećmi – dodał, krzywiąc się w duchu, że tak to ujął. Chciał wyjaśnić, dlaczego jego młodsza siostra miała trzech synów, którzy skończyli dziesięć lat, ale źle zaczęli. – To drugie małżeństwo jej męża. Ale jest dobrą matką – zakończył niezręcznie.

– To miłe – skinęła głową Kerri, uśmiechając się do niego.

Josh ponownie zerknął na fotografię Amandy, zastanawiając się, czy nie powinien jeszcze czegoś wyjaśnić.

– Czym karmisz Lucy? – zapytała Kerri.

– Nature's Variety. Ta z psem na opakowaniu.

Roześmiała się.

– Wszystkie mają psa na opakowaniu.

– To znaczy... – zaczął wyjaśniać, ale powstrzymał się. „To znaczy ze zdrowo wyglądającym psem”, miał na końcu języka. W odróżnieniu od worków karmy przedstawiających chore psy?

– Za około trzy tygodnie zacznij podawać szczeniakom stały pokarm. Zostań przy Nature's Variety, jest znakomita. Do karmy z puszki dolewaj nieco wody,

żeby ją rozrzedzić. Na ogół odradza się krowie mleko, unikałabym go. Przez krótki czas pozwól im ssać jedzenie z palców, a potem wystawiaj im miseczkę. Staraj się pilnować, żeby każde zjadło. W razie pytań – dzwoń.

– Pewnie, zaraz zapiszę twój numer. – Josh podszedł do laptopa i otworzył książkę adresową. Gdy znowu spojrzął na Kerri, taksowała go wzrokiem ze skrzyżowanymi ramionami. – O co chodzi?

– Już masz numer do schroniska. Dzwoniłeś, pamiętasz?

– Och, racja. – Starał się ukryć rozczarowanie. Spojrzął na ekran i zobaczył, że w skrzynce pojawiła się nowa wiadomość od Gordona. Jej temat brzmiał: „Twój kontrakt”.

Z ciężkim sercem kliknął „otwórz”. Był to typowy „Suchar Blascoe”: „Przygotuj, proszę, ostatnią fakturę za tydzień do siódmego października. Rozwiązujemy z Tobą umowę”.

– Co się stało? – zapytała Kerri.

Spojrzał na nią, mrugając.

– Och, nic. Prawie nic. Właśnie mnie wylali.

– Wylali? – powtórzyła zszokowana. – Przez e-mail? Nawet nie zadzwonili?

– dopytywała z niedowierzaniem.

– Tak to z reguły załatwiają.

– To okropne! – policzki Kerri zaczerwieniły się. Zmrużyła oczy, tak jakby sprawa dotyczyła jej samej. – Co za ludzie zwalniają pracowników przez e-mail?

– Jestem tylko pracownikiem kontraktowym.

– To nie ma znaczenia. Nie można ot tak kogoś zwolnić. Coś przeszkrobałeś?

– Wysłałem raport, z którego wynika, że mój szef popełnił błąd.

– I zwalniają cię za coś takiego. Wygląda na to, że po prostu wykonywałeś swoją pracę. Nie mogą wywalić cię za to, że robiłeś, co do ciebie należy. Możesz złożyć jakieś zażalenie?

Josh zdał sobie sprawę, że podoba mu się, jak bardzo rozgniewała ją jego krzywdą. Wyjaśnił Kerri, że w jego świecie tak to działa.

– Właściwie zaczęło się od psa. Lucy zaczęła rodzić w środku mojej telekonferencji – powiedział, może nieco pyszałkowato.

– Wiedzą o tym?

– Nie obeszloby ich to.

– Okropność. A więc zostałeś bez pracy.

– Na to wygląda.

– Znajdziesz coś innego? Za dwa miesiące Boże Narodzenie, pewnie niewiele firm szuka pracowników w okresie świątecznym... – zapytała Kerri, zmieniając ton z rozgniewanego na zatroskany.

– Jasne, znajdę. Może nie od razu, ale dam sobie radę.

Zatrzymała na nim wzrok wystarczająco długo, by poczuł, że znowu się

czerwieni. Może powinien zaproponować jej, by została na kolację. Chyba znajdzie się coś smacznego do odgrzania. Odwróciła się nagle.

– Muszę się zbierać. – Podeszła do drzwi i otworzyła je, zanim zdążył ją w tym wyręczyć. – Powiedziałeś weterynarzowi o szczeniakach?

– Tak, zadzwoniłem do niego, a on powiedział mniej więcej to samo, co ty: wszystko wskazuje na to, że ten układ działa.

– Cieszę się – odparła.

Odprowadził ją do samochodu.

– Może moglibyśmy... – zaczął. Kerri wślizgnęła się do samochodu, zamykając drzwi. Uruchomiwszy silnik, opuściła szybę.

– Wiesz, gdzie jest nasze schronisko, prawda?

– Pewnie, przejeżdżałem obok.

– Świetnie! Na razie! – Odjechała z piaszczystego podjazdu. Odprowadził ją wzrokiem, machając ręką, na wypadek gdyby się odwróciła, ale nie zrobiła tego.

„Wiesz, gdzie jest nasze schronisko, prawda?” – w jego uszach brzmiało to jak zaproszenie do odwiedzin. „Już masz numer do schroniska. Dzwoniłeś, pamiętasz?” – to z kolei brzmiało tak, jakby nie chciała, żeby dzwonił na jej prywatny numer, a tylko „w interesach”.

Zainteresowanie czy jego brak? W tę czy we w tę?

Kerri postawiła fotografię Amandy w niewłaściwym miejscu, więc ją przesunął. Została zrobiona w dniu, w którym uświadomił sobie, że zakochał się w Amandzie. Na zdjęciu siedzi na kamieniu przy Bear Creek, a w słońcu jej blond włosy wydają się niemalże białe.

„Jesteś takim dzieciakiem”, droczyła się z nim tuż przed zapozowaniem do tej fotki. Miała ciepły i łagodny śmiech. Właśnie skończył jej wyjaśniać, dlaczego przed wyrzuceniem skarpetek wiąże je razem w supeł: „Zawsze były parą, więc wiąże je, żeby już na wieki pozostały razem. Nie mogę znieść myśli, że jedna znajdzie się gdzieś w koszu na śmieci, zastanawiając się, gdzie jest ta druga”.

Wtedy słowo „dzieciak” brzmiało w jej ustach tak słodko. Później jednak przerodziło się w swego rodzaju skargę. Jak coś, co na początku uważała za urocze, mogło się zmienić w coś złego, jak owoc, który skwaśniał?

Josh westchnął. Kerri obudziła w nim coś, co długo pozostawało w uśpieniu, a ta pobudka była miła i ożywcza. Tak więc powinien był wyjaśnić jej, jak to było z Amandą. Tyle tylko, że całkowicie go zaskoczyła.

Lucy taksowała go wzrokiem.

– Co? Musiałem pozwolić jej odejść – powiedział obronnym tonem.

Suczka wyjrzała za okno, po czym znowu spojrzała na niego, według Josha dając jasny wyraz swojemu rozczarowaniu.

– Pewnie – przytaknął. Gdyby to przewidział, przygotowałby zawnazaw jakiś lunch albo zaprosiłby ją do kawiarni, ale trzeba przyznać, że w ogóle się jej nie

spodziewał. W ogóle nie spodziewał się jej, nie spodziewał się, że głos, który słyszał w słuchawce, należy do tak ślicznej osóбки.

Konstruując kojec dla szczeniaków, myślał o Kerri z nadzieją, że zaimponuje jej swoimi ciesielskimi umiejętnościami. Chciał nawet zastosować połączenie na pióro i wpust, ale ostatecznie zrezygnował z tego pomysłu, bo nie bardzo wiedział, jak się do tego zabrać. Skończone „mieszkanie” dla psiej rodziny było dużą, niewysoką skrzynią o ośmiocalowych bokach, podzieloną na dwie osobne komory za pomocą częściowo składanego przepierzenia wysokiego również na osiem cali. Mniejszy „pokój” usłał miękką kołdrą, którą znalazł na strychu, a większy wyścielił gazetami. Uśmiechnął się, wyobrażając sobie, jak uchyla przepierzenie i wypuszcza szczeniaki, żeby sobie pobiegały i pobawiły się w większej komorze, choć w tamtej chwili ani nie biegały, ani się nie bawiły i generalnie nie przejawiały zbyt dużej aktywności.

Kojec nie zrobił na Lucy najmniejszego wrażenia, ale zdawała się rozumieć jego przeznaczenie, gdy Josh przeniósł tam szczeniaki i ułożył je na kołdrze.

– Teraz tu będziesz je karmiła, Lucy. Nie mogą stąd wyjść, aż nie urosną.

Zrobił zdjęcie kojca, żeby pokazać je Kerri.

Po usunięciu z projektu Blascoe czuł się dziwnie nieswojo. Często łapał się na tym, że myśli o liście zadań, że zastanawia się nad znalezieniem rozwiązania dla problemów, które już go nie dotyczyły.

„Znajdziesz coś innego? Za dwa miesiące Boże Narodzenie” – pytała Kerri. Raczej za dwa i pół miesiąca, ale miała rację. Musiał znaleźć pracę, zanim świat informatyków przywdzieje zabawne czapki i zacznie chodzić na świąteczne imprezy.

Otworzył książkę adresową, uruchomił kontakty z mediów społecznościowych i zaczął rozsyłać wici. Czy ktoś szuka pracownika? Zaczyna nowy projekt? Potrzebuje nowego interfejsu?

Wyglądało na to, że odpowiedzią jest przygnębiające „nie”, ale próbował dalej. Zaktualizował swoje CV – wyglądało nieźle. Niedługo coś się pojawi.

Dwa dni później siedział za kierownicą swojego pick-upa ze wzrokiem wbitym w drzwi wejściowe schroniska. Górskie miasteczka były z reguły wciśnięte w wąskie doliny wyżłobione przez rzeki przedzierające się w stronę równin, a Evergreen nie było tu wyjątkiem. Jego główna ulica była z obu stron obramowana budynkami, które po lewej opierały się o ścianę skalną, a po prawej o strumień. Jednak już poza centrum, gdzie znajdowało się schronisko, wzgórze były łagodniejsze i bardziej przyjazne, zostawiając na tyłach budynku wystarczająco dużo przestrzeni na wybieg dla psów. Witrynę ozdabiały ręcznie malowane wizerunki psów i kotów. „Już wkrótce – oznajmiał zawieszony w niej baner – psy na gwiazdkę”.

Josh wyobraził sobie, jak wchodzi do środka i pyta o Kerri. Powie jej, że

przyszedł, żeby zobaczyła jego kojec dla szczeniaków. Pokaże jej zdjęcie na komórce, a ona zachwyci się jego zdolnościami. Potem on jakoś poprowadzi rozmowę w kierunku zaproszenia na lunch. Może w podzięce za naszkicowanie projektu kojca – to byłby dobry pretekst. Albo spojrzy na zegarek, udając zaskoczonego, że to już pora obiadowa, i zaproponuje jej swoje towarzystwo. Mógłby jej powiedzieć, że ma jeszcze kilka pytań odnośnie do szczeniaków i mogliby omówić te kwestie przy wspólnym posiłku. Musi szybko wymyślić jakieś pytania... Albo może powiedzieć: „Mamy taki ładny dzień, może skoczmy na lunch do klubu golfowego?”.

Gdy otwierał drzwi wejściowe, zadzwonił dzwonek.

– Cześć! – przywitała go Kerri, wychodząc z zaplecza. Miała na sobie jasnoszary wełniany sweter i rozpiętą czerwoną polarową kurtkę, gęste włosy związała z tyłu w coś, co w mniemaniu Josha wciąż nazywało się „kucyk”. Generalnie nie lubił kucyków, ale tym razem postanowił zrobić wyjątek.

On z kolei założył czyste dżinsy i wyprasowaną koszulę z kołnierzykiem, które wybrał po przymierzeniu całej szafy ubrań.

– Cześć, Kerri.

– Przyszedłeś, żeby zabrać mnie na lunch? – W jej niebieskich oczach pojawiły się wesołe ogniki.

Niemal jęknął na myśl o tym, jakie to okazało się oczywiste.

– Zgadłaś!

Poszli razem do furgonetki.

Josh odchrząknął.

– Dzień jest taki ładny, może skoczmy na lunch do klubu golfowego?

– Dobry pomysł.

Zajęli miejsca przy stoliku na balkonie. Josh zamówił burgera, tak jak Kerri – poczuł, że wiele ich łączy. Osiki wyszły zwycięsko z burzowej próby i na nowo zajaśniały bladożółtą barwą, więc pogoda wróciła do jesiennej normy, a dzień był ciepły i pogodny.

– Podobno ma tak być do końca tygodnia – odezwała się Kerri, czytając w jego myślach. Spodobało mu się to. – A więc, wciąż jesteś bezrobotny? Żadnej apelacji od wyroku?

– Żadnej. Ale wkrótce znajdę kolejną robotę – oświadczył zdecydowanie. Nie chciał wyjść na jakiegoś nieudacznika, który nie może zapłacić za obiad.

– Tak spokojnie do tego podchodzisz... Nie jesteś zbyt uczuciowym facetem – zauważyła Kerri.

– Ja? – Nie chciał, żeby wzięła go za bezdusznego robota. – Wręcz przeciwnie. Podchodzę emocjonalnie do wielu rzeczy.

– Naprawdę? Na przykład jakich?

– No wiesz – odpowiedział niezręcznie – uczuciowych.

Kerri roześmiała się, błyskając śnieżnobiałymi zębami.

– Podaj przykład.

– Przykład czego?

– Momentu, w którym podszedłeś do czegoś emocjonalnie. Na przykład...

Nie, sam wybierz.

Zastanawiał się, co chciała mu przez to powiedzieć. Czekala, a on próbował coś z siebie wydusić. Czy chciał jej wyznać, że na widok Lucy opiekującej się szczeniakami robiło mu się ciepło na sercu i potrafił to oglądać całymi godzinami jak program telewizyjny? Ale to nie było uczucie... Uczuciem był gniew, ale nawet on wiedział, że kobiety nie ceniły u mężczyzn umiejętności jego odczuwania. Smutek był uczuciem – mógł się założyć, że chodziło jej o właśnie taki rodzaj emocjonalności. Kerri przyglądała mu się, a on poczuł, jak narasta w nim panika. Smuciło go wiele rzeczy, takich jak... takich jak...

– Drzewo – wyrwało mu się.

Skinęła życzliwie głową.

– Może powiedz mi o tym nieco więcej – zachęcała.

Opowiedział jej o dumnej starej sośnie powalonej przez burzę lodową. Opowiedział, jak na każde Boże Narodzenie obwieszał ją niebieskimi światełkami. Jak pocięcie jej na kawałki do głębi nim wstrząsnęło. Nie wspomniał, że płakał, ale wyznał jej, że był bardzo smutny. To się liczy jako uczuciowość, prawda?

– Znałem to drzewo od małego. A teraz go nie ma.

– Czekaj, a więc dorastałeś w tym domu?

– Taa.

– Odziedziczyłeś go po rodzicach?

– Nie, oboje żyją. Tato mieszka w Anglii z nową rodziną. Mój przyrodni brat jest ode mnie o dwanaście lat młodszy, niedawno były jego szesnaste urodziny. Tata ma jeszcze trzy córki, dziesięciolatkę i ośmioletnie bliźniaczki. Nie widuję się z nimi zbyt często. Ostatnio tuż po narodzinach bliźniaczek. Anglia jest daleko. – „A to nie jest tak naprawdę moja rodzina”, dodał w myślach.

– Wow. – Kerri uniosła wzrok, uśmiechając się, gdy kelnerka postawiła przed nimi talerze. Josh mógłby patrzeć na ten uśmiech przez cały dzień.

– Mama mieszka na Florydzie i tu jest na odwrót – ciągnął. – Jej mąż jest na emeryturze, a jego syn jest prawie dwa razy starszy ode mnie. Nie ruszają się ze swojego kondominium, więc jeśli chcę się z nimi zobaczyć, muszę wybrać się z wizytą.

– To jak dom trafił w twoje ręce?

– Na początku tata nie chciał się z nim rozstać – zawsze powtarzał, że ciągle będzie tu przyjeżdżał, do mnie i do siostry. Ale Londyn jest tak daleko... Okazało się to trudniejsze, niż myślał. Potem oddaliśmy większość rzeczy na przechowanie do magazynu i próbowaliśmy wynająć dom, ale zgłaszali się ludzie z przypadku.

Miałem opiekować się domem za „udziały” w czynszu, choć byłem wtedy na uczelni, więc ten plan też nie wypalił. Ale po studiach dostałem pracę programisty w Golden.

– Rzut kamieniem stąd – wtrąciła Kerri.
– Dokładnie tak. Wartość ziemi spadła, a tato powiedział, że jeśli zajmę się płatnościami, to mogę zatrzymać działkę, więc... – Uniósł ramiona.

– Kiedy to było?
– Przepisanie aktu własności? Jakies cztery lata temu.
– A twoja siostra...
– Janice mieszka w Maine, w Portland. Ma męża i dwóch synów. Kiedy rozmawiamy, zawsze jest w drodze na jakiś mecz piłki nożnej albo hokeja. Jeżdżę tam jeszcze rzadziej. W dzieciństwie nie byliśmy zbyt blisko.

– To po prostu bardzo ciekawe, że kupiłeś dom, w którym się wychowałeś. Chyba nigdy nie słyszałam takiej historii.

– Hmm... – Josh uniósł ramiona, czując, że powinien wyjaśnić jej, jak potoczyło się jego życie, choć tak naprawdę nie potrafił zrobić tego przed samym sobą. Zmienił temat. – Ty też tu dorastałaś?

– Tu, w górach? Nie, ale niedaleko, w Denver. Zawsze chciałam tu zamieszkać i któregoś dnia po prostu to zrobiłam. Moja mama jest teraz na odwyku i wszyscy mamy nadzieję, że tym razem się uda. Byłam małą niespodzianką, która jej się przydarzyła, kiedy **nie była** na odwyku, więc nie bardzo wie, kto jest moim ojcem.

Kerri zerknęła na niego z ukosa, jakby zapraszała go do osądzenia jej przez pryzmat pochodzenia. Ale on nie był w stanie przestać wpatrywać się w te jej niebieskie oczy, więc po chwili zaczęła się lekko rumienić.

– O co chodzi? – zapytała.
– Nic, nic. Przykro mi z powodu twojej mamy. Musi być ci trudno.
– Pewnie. Ale takie jest życie, prawda? Każdemu zdarza się cierpieć. Nie ma przed tym ucieczki, to część ludzkiego losu. *À propos...* – powiedziała powoli. Zaczęła obracać łyżeczkę w mrożonej herbacie, przyglądając się dzwoniącym kostkom lodu, po czym uniosła wzrok i spojrzała mu w oczy.

– Tak?
– Amanda – powiedziała delikatnie. W jej ciepłych oczach dostrzegł współczucie.

„Okej, już czas”. Skinął głową, gotowy do rozmowy na ten temat.

– Jak umarła?



8

Dziwnie było usłyszeć od Kerri pytanie o śmierć Amandy. Josh poczuł, jakby właśnie dowiedział się, że Amanda **naprawdę** umarła. Ścisnęło go w żołądku i zrobiło mu się zimno w środku.

Jak to się stało, że Kerri doszła do takiego wniosku? Próbował przypomnieć sobie, które jego słowa mogły jej to zasugerować. Czy wyglądał na tak bardzo zasmuconego, gdy zapytała go o blondynkę ze zdjęcia?

Przypomniał mu się niezręczny i nieznośny wieczór w Niedźwiadku, kiedy dał Ryanowi swój numer telefonu. Czy i on myślał, że Amanda nie żyje? Czy właśnie dlatego powiedział, że Josh jest „szczęściarzem”?

Kerri bacznie mu się przyglądała. Poczuł, że zaraz dotknie jego dłoni.

– Eee... nie.

Z wyrazu twarzy Kerri odczytał, że go nie zrozumiała.

– Nie umarła – rozwinął. – Amanda nie umarła.

Dziewczyna zamrugła.

– Och – wyprostowała się, rozważając to, co przed chwilą usłyszała, po czym posłała mu ostre spojrzenie. – A więc wraca?

O Boże, co za pytanie.

– To znaczy... – zaczął, porządkując myśli. – Ona bardziej... – Bezradnie uniósł ramiona.

– Powiedziałeś, że to twoja dziewczyna. – Kerri brzmiała jak prokurator podczas procesu. – **Jest** twoją dziewczyną?

– Byliśmy razem cztery lata.

– Rozstaliście się? Kiedy?

– Rano dziesiątego kwietnia.

W wybuchu śmiechu Kerri nie było wesołości.

– Rano dziesiątego kwietnia? Godzinę też pamiętasz? – Uniosła dłoń. – Nie odpowiadaj.

– Oczywiście, że nie pamiętam o której – odpowiedział z naciskiem.

– Mieszkaliście razem? U ciebie?

Josh skinął głową.

– Ona się wyprowadziła, a ty zachowałeś cały ten ołtarzyk? Kto tak robi?

– To nie ołtarzyk. Słuchaj, czy nie byłoby dziecinne wyrzucić wszystkich jej

zdjęć tylko dlatego, że się rozstaliśmy? Wciąż jesteśmy przyjaciółmi.

– Ona tu mieszka?

– W Evergreen? Nie, przeprowadziła się do Fort Collins.

– Czyli jakieś dwie godziny jazdy stąd, tak? Jak często ją odwiedzasz?

– Nie odwiedzam jej. – Josh wyjrzał na pole golfowe, spoglądając niewidzącym wzrokiem na dwóch mężczyzn niosących kije.

– Pojechała tam z powodu mężczyzny? – Głos Kerri złagodniał.

Josh skinął głową, przetykając ślinę.

– A więc nie, Josh, to nie jest dziecinne. Rozstałeś się z dziewczyną, która teraz jest z kimś innym. Odkładasz jej zdjęcia do pudła, bo to koniec. Nie rozstawiasz ich po domu, nie trzymasz jej perfum w szafce w łazience, nie sypiasz w innym pokoju, bo nie jesteś w stanie spać w sypialni, którą dzieliliście. Zamykasz ten rozdział.

Josh wrócił do niej spojrzeniem. Z jakiegoś powodu miała zarumienioną twarz i rozszerzone oczy, jakby właśnie się pokłócili.

– Zaglądałaś do mojej szafki w łazience?

Dotknęła przelotnie usta dłonią.

– Och – spuściła oczy, wbijając wzrok w talerz. – Tak, przepraszam. Ja tylko... Okej, posłuchaj, mam talent do znajdowania mężczyzn, którzy mają problemy z używkami. Może przez sytuację z mamą. A potem poznaję ciebie i myślę sobie: nareszcie normalny chłopak zamiast emocjonalnego kaleki, narkomana albo ich krzyżówki. Ale musiałam to sprawdzić, bo zawsze dowiaduję się o uzależnieniu dopiero wtedy, gdy przypadkiem znajduję wszystkie te tabletki, oczywiście przepisane przez lekarza. One zawsze są przepisane przez lekarza. – Uśmiechnęła się gorzko na to wspomnienie. – Więc po prostu pomyślałam sobie, że od razu cię sprawdzę. Wiem, że źle zrobiłam.

Josh lekko uniósł kąciki ust. Powiedziała: „Talent do znajdowania mężczyzn”. Podobał mu się sposób, w jaki to ujęła. Jakby był mężczyzną, którego znalazła.

– Przepraszam. Wiem, że wściubiłam nos w nie swoje sprawy – kajała się.

Spodobało mu się, jak potoczyła się ich rozmowa. Do wyjaśnienia pozostało jeszcze tylko jedno nieporozumienie.

– A nie śpię w sypialni rodziców dlatego, że lubię swój pokój z dzieciństwa – wytłumaczył. – Lubię budzić się rano i widzieć wgniecenie w suficie, które zrobiłem swoim mieczem świetlnym, lubię wyglądać przez okno i widzieć te same drzewa. – Joshowi wydawało się to całkowicie naturalne, ale Kerri patrzyła na niego dziwnie.

– Zwyczajnie nie jestem w stanie sobie wyobrazić, że chciałabym po latach w jakiegokolwiek części ożywić moje dzieciństwo – odparła prostolinijnie.

Teraz to on zapragnął dotknąć jej dłoni. Zanim zdążył wcielić ten odruch

w życie, Kerri cofnęła rękę i spojrzała na zegarek.

– Muszę już iść. – Dała znak kelnerce.

– Eee... – Josh nie chciał się jeszcze z nią rozstawać. – Masz ochotę na spacer wokół jeziora? Jest taka ładna pogoda. Krótki spacer, tylko kilka minut – zaproponował rozpaczliwie.

– Yhm – zgodziła się, wzruszając ramionami, jakby to nie było nic takiego.

Kelnerka położyła przed Kerri rachunek, który Josh szybko przejął, jakby zabierał broń z zasięgu ręki dziecka.

– Dzięki – uśmiechnęła się dziewczyna.

Jezioro Evergreen w prawie każdym innym stanie byłoby uznane za staw, ale w spragnionym wody Kolorado jeziorem był każdy zbiornik wodny, którego nie dało się opróżnić wiadrem. Entuzjaści wędkowania i kajaków z zamiłowaniem przemierzali te czterdzieści akrów zimnej wody i jedynie rozporządzenie lokalnych władz powstrzymywało ludzi od pływania tu motorówkami. Wystarczył lekki wietrzyk, by tafla jeziora rozbłysła od tańczących na wodzie promieni słonecznych, gdy spacerowali ścieżką wokół jego zielonych wód. Josh narzucił wolne tempo, by jak najbardziej wydłużyć spotkanie. Rozmawiali o szczeniakach, co było dla niego o wiele lepszym tematem niż Amanda, ale nawet w przybliżeniu nie tak interesującym, jak myśl o tym, że Kerri miała talent do trafiania na nieodpowiednich mężczyzn, a o nim pomyślała inaczej.

Spotkanie z Amandą było zaaranżowane przez przyjaciół Josha, Wayne'a i Leigh, a więc należało do gatunku tych pod tytułem „mam idealną dziewczynę dla ciebie”. Josh pamiętał, jak jechał do nich pełen obaw, przekonany, że to będzie najgorszy wieczór w jego życiu.

Leigh uznała, że skoro ona uszczęśliwiła Wayne'a, również Joshowi do pełni szczęścia brakowało tylko dziewczyny. Puściła mimo uszu jego zapewnienia, że jest już w pełni szczęśliwy: nie miał pary, a więc w przekonaniu Leigh na pewno bardzo cierpiał z tego powodu.

Leigh wydawała się dysponować nieskończoną liczbą koleżanek, dla których Josh byłby idealny (i *vice versa*), choć wszystkie dotychczasowe próby spaliły na panewce.

Amanda stała w małym salonie przy kominku i rozmawiała z Wayneem z wymuszonym luzem, jakby w ogóle nie czekali w napięciu na przyjazd Josha. Josh wszedł z butelką wina i właśnie częstował Leigh groźnym spojrzeniem, by ostudzić dziki entuzjazm malujący się na jej twarzy, gdy nagle Amanda się odwróciła, a serce Josha zamarło.

Właśnie tak poznawał dziewczyny: Leigh je wynajdywała, a Wayne zapraszał go na kolację, mówiąc, że żona doprowadza go do szału i Josh musi ich odwiedzić, żeby przestała suszyć mu głowę. Rzeczona dziewczyna zawsze stała przy kominku i zawsze była idealną połówką dla Josha.

Jednak on nigdy nie umiał zmienić cudownego wieczoru w coś więcej. W oczach Kerri musiał wyglądać na niezłego słabeusza, gdy wysłuchiwała jego opowieści o porzuceniu przez kolejną kobietę i żalobie po powalonym drzewie. Jak teraz naprawić szkody i przejść do „punktu randkowego”?

– Naprawdę muszę już wracać do schroniska – oznajmiła w końcu jego towarzyszką.

Josh ukrył rozczarowanie. „Okej, przy furgonetce” – postanowił. Otworzy jej drzwi, więc będą stali blisko siebie, i wtedy zaprosi ją na kolację. Albo na kawę, może kolacja to za dużo na początek?... Co prawda byli już razem na lunchu, ale teraz, gdy dawała mu rady dotyczące szczeniaków, ich wspólne wyjście przypominało bardziej spotkanie w interesach niż randkę.

– Nie, nie kąp ich, Lucy dba o ich czystość, bez obaw – mówiła Kerri, gdy zbliżali się do samochodu. Dlaczego przychodziły mu do głowy tylko „psie” pytania?

– Piękny dzień – zauważył, nie po raz pierwszy tego popołudnia. No i proszę, znowu to samo: psy i pogoda. Tylko na tyle było go stać. Już do końca życia nie będzie miał dziewczyny. Po co iść na randkę z Joshem Michaelsem? Wystarczy zostać w domu z psem i obejrzeć prognozę pogody, wyjdzie na to samo.

Zaparkował trochę zbyt blisko słupa telegraficznego – bał się, że może to pokrzyżować jego plany. Jeśli stanie między nią a słupem, naruszy jej przestrzeń osobistą, ale jeśli stanie za nim, zablokuje całą rozmowę, która i bez tego będzie trudna, bo **wciąż nie miał pojęcia**, co powiedzieć.

– Hej, drzwi od strony pasażera trochę się zacinają, otworzę ci – rzucił, gdy przechodzili przez parking. Planował, że to zaproponuje, ale za bardzo się z tym pośpieszył: od furgonetki wciąż dzieliło ich jakieś czterdzieści stóp. Kawałek o zacinających się drzwiach nawet nie był prawdą, zupełnie nie wiedział, po co to dodał.

– W porządku – powiedziała pogodnie Kerri, nieświadoma targającego nim konfliktu wewnętrznego.

Josh milczał, czekając na swój moment. Wyjął kluczyki i skierował je w stronę furgonetki, jakby były latarką. Potem skoczył do przodu i otworzył drzwi. Kerri posłała mu uśmiech. Dobrze. **Teraz.**

Zerknął za słup, a kiedy zobaczył, kto stoi obok parkowej ławki, doznał takiego szoku, jakby spadł na niego jeden z drutów telegraficznych, częstując go tysiącem voltów. Gdy zdał sobie sprawę, że Kerri może zauważyć, jak się zagapił, odwrócił wzrok.

– Dobrze się czujesz? – zapytała zaciekawiona.

Nie dowierzając swojej zdolności mowy, skinął tylko głową. Czuł, jak krew pulsuje mu mocno w żyłach, gdy zamknął za nią drzwi, przeszedł na drugą stronę samochodu i sam wsiadł do środka. „To nie może być prawda. To po prostu nie

może być prawda”.

Ale naturalnie to **była** prawda.

W drodze powrotnej do schroniska nie rozmawiali dużo, choć gdy koncentrował się na drodze, czuł na sobie taksujące spojrzenie ciepłych oczu Kerri. Starał się zachować kamienną twarz, żeby nie zauważyła, jak bardzo jest zdenerwowany. Nie było już mowy o zaproszeniu jej na randkę ani o czymkolwiek innym poza odwiezieniem jej do schroniska i powrotem do domu, do piesków.

Nie zebrał się wystarczająco szybko, by otworzyć jej drzwi. Ubiegła go, wyślizgując się z furgonetki z przelotnym uśmiechem.

– Dzięki za lunch! – powtórzyła wesoło, stojąc przy otwartych drzwiach samochodu.

Wciąż oszołomiony Josh skinął lekko głową, czując, że serce wali mu jak młotem.

– Okej, lecę – powiedziała, wciąż się uśmiechając, choć na ułamek sekundy w jej oczach pojawiło się coś, co przypominało cień wątpliwości.

Począł, aż Kerri zniknie za drzwiami schroniska, po czym wykręcił i pojechał z powrotem w stronę parkingu. To było jak drapanie świerzbącego miejsca – wiedział, że nie powinien tego robić, ale musiał spojrzeć raz jeszcze. Przejechał obok wolno, z chorą desperacją w oczach. Jest. Stał przy ławeczce, rozmawiając z innym mężczyzną. Blond włosy, zmierzwiona broda.

Ryan.

Josh przejechał obok budynku klubu, wjechał w kanion, a gdy zdał sobie sprawę, że nie ma sensu jechać dalej w złym kierunku, zawrócił w stronę domu. Kiedy raz jeszcze przejeżdżał obok parkingu, Ryana i tego drugiego już nie było.

W drodze powrotnej zbierało mu się na wymioty.

– Cześć, psiarnio! – zawołał w progu z udawaną wesołością. Idąc korytarzem, słyszał popiskiwanie szczeniąt, a na jego widok Lucy uderzyła ogonem, choć nie wstała, bo właśnie karmiła. – Jak tam, Lucy? Wszystko dobrze? – Josh przyklęknął obok niej i pogłaskał ją po głowie, a ona oszczędnie polizowała jego dłoń. Jej sierść za uszami była taka miękka... Uwielbiał głaskać ją w tym miejscu.

– Jesteś taką dobrą mamusią, grzeczną, dobrą sunią, Lucy. Lucy, dobra sunia – gruchał Josh. Trzymając ją w objęciach, poczuł się lepiej.

Przez kilka minut przyglądał się, jak karmi swoje małe, ślepe szczeniaczki, i zdawało mu się, że czuje więź między matką a młodymi obecną w przepływie mleka, miłości i życia.

Dlaczego nikt nigdy mu o tym nie powiedział? Dlaczego nikt nie powiedział mu, jak to jest mieć psa? Że dzięki temu każda chwila staje się ważniejsza, że w jakiś tajemniczy sposób można czerpać z każdego dnia to, co najlepsze?

Josh westchnął i wstał. Poszedł do salonu i zerknął przez szybę na

termometr, po czym ruszył do kuchni, wyjął z zamrażarki coś na kolację, wyniósł śmieci – wszystko, żeby tylko nie myśleć o najnowszym zwrocie akcji.

Ryan wrócił. Wrócił z Francji.

Co teraz?



Szczeniaki nie miały nawet jeszcze otwartych oczu. Były bezradne, dosłownie unieruchomione i całkowicie zależne od pokarmu Lucy. Potrzebowały swojej mamusi. Jeśli Ryan przyjdzie po sunię, maluchy umrą. Na ile go znał, jakkolwiek przelotna była ta znajomość, wydawało mu się, że tak właśnie zrobi: zabierze Lucy, nie interesując się, co to będzie oznaczało dla maluchów.

Tego wieczoru w sąsiednim domu paliły się światła – Josh widział je za drzewami. U siebie wszystkie powyłączał i siedział tylko przy świetle kominka, tak jak pierwszego wieczoru z Lucy.

„Nie ma mnie w domu”.

Cały następny dzień czekał na pukanie Ryana. Lucy wyczuła jego niepokój i gdy chodził nerwowo w tę i z powrotem, dosłownie dreptała mu po piętach.

– Psiuniu – wybąkał – nie wiem, co robić.

O zmroku pod koniec drugiego dnia tego osobliwego aresztu domowego Josh wymknął się tylnymi drzwiami, zamykając je suczce przed nosem. Ostrożnie przeszedł przez lasek, przeklinając się w myślach za hałas, jaki robił pośród milczących drzew, i krzywiąc się za każdym razem, gdy pod jego stopami łamała się jakaś gałązka.

Jego ukradkowy rekonesans nie przyniósł żadnych rezultatów.

Na podjeździe nie było SUV-a Ryana, ale drzwi garażu były zamknięte. W środku paliły się jakieś światła, a na blacie stała na wpół opróżniona butelka burbona. Samego Ryana nie dostrzegł.

Następnego wieczoru znowu się tam zakradł i znowu nie zauważył sąsiada. Odczuwał takie napięcie, jakby spał obok grzechotnika – tyle że nie zaznawał teraz dużo snu.

– Czy powinienem tam pójść, Lucy? I mieć to już za sobą?

Spojrzała na niego, a w jej oczach było widać wsparcie.

– Dobra, pójdę tam – postanowił. – Ale nie dzisiaj.

Gdy wreszcie zebrał się na odwagę, tuż przez zapukaniem do drzwi sąsiada wziął głęboki oddech. Ryan nie otwierał. Zajrzawszy przez okno, Josh nie dostrzegł żadnego śladu życia. Butelka burbona zniknęła.

Tego wieczoru światła się paliły, ale pukanie Josha ponownie nie doczekało się odpowiedzi. Ośmielony pojawił się przed drzwiami sąsiada następnego dnia

rano – i znowu nic. W jakiś sposób przeciągająca się nieobecność Ryana sprawiała, że przestał wydawać się Joshowi taki groźny. Pętla ściskająca jego gardło nieco się rozluźniła.

Gdy szczenięta otworzyły oczy, Josh uznał to za dobry pretekst, by zadzwonić do Kerri. Ale czy nie przesadzał? „Pieski otworzyły oczy” – powie. – „A, i wszystkie są niebieskie”, co musi być dość niezwykle, prawda? Ale co potem? Co jeśli będzie czekała, aż Josh powie coś więcej – a on nie miał nic więcej do powiedzenia. „Dużo częściej popiskują. Ładna pogoda, co nie?”

„Masz najładniejszy uśmiech, jaki w życiu widziałem”. Pewnie wszyscy jej tak mówili. A w każdym razie wszyscy faceci.

Tego popołudnia, idąc pod dom Ryana, zabrał ze sobą Lucy. Dobrze było mieć ją u boku, ale gdy suczka uświadomiła sobie, dokąd ją prowadzi, została w tyle, a w jej oczach zaczęła malować się niepewność. Zwiesiła łeb i przysiadła u wejścia na podjazd, odmawiając dalszego towarzyszenia Joshowi.

– Masz rację, Lucy. Już więcej tu nie przyjdziemy – zapewnił ją. „Niech Ryan sam się do nas pofatyguje”, zdecydował. Był już zmęczony życiem w ciągłym napięciu.

Gdy szukał w internecie pomysłów na imiona dla szczeniaków, wyczytał, że psie niemowlaki na samym początku często mają niebieskie oczy. Zrobiłby z siebie idiotę, dzwoniąc z tym do Kerri. Spędził dwa dni na wybieraniu imion dla swojej wesołej gromadki, wpisując je w arkusz, który następnie wydrukował i przyczepił do lodówki magnesami ze zdjęciem Amandy.

Imię

Płeć

Opis

Lola

Przytulanka

Samiczka

Najmniejsza z miotu, najkrótsze uszy, cała brązowo-czarna. Codziennie musi być karmiona z dwóch różnych suteków! Uwielbia się przytulać, chowa się w moje ramiona, gdy ją trzymam.

Oliver

Odkrywca

Samczyk

Brązowo-biały piesek, brązowa mordka, białe łaty wokół pyszczka i na brzuszku. Zawsze oddziela się od reszty.

Sophie

Sportsmenka

Samiczka

Czarno-biało-brązowa z ogonkiem o białym koniuszku. Fascynuje się

zabawkami w zagrodzie, ciągle trąca je i obwąchuje swoim małym noskiem.

Cody

Maminsynek

Samczyk

Jedyny piesek o jednolitym, brązowym umaszczeniu. Nie bardzo ma ochotę oddalać się od Lucy.

Rufus

„Kocham Cody’ego”

Samczyk

Biała mordka z brązową łatą na oku, brązowo-czarny tułów, biały brzusek, ogonek o białym koniuszku. Zawsze sypia z głową na Codym.

Poza Lolą o krótkich i sterczących uszkach wszystkie szczeniaki miały klapnięte uszy i pociągłe pyszczki jak u labradora, a nie krótkie jak u boksera. Ich sierść była krótka, a umaszczenie bardzo przypominało „bokserskie”, z bielą, brązem i dominującą czernią. Najśmieszniej wyglądał Rufus, ze swoją białą mordką i brązową łatą nad prawym okiem. Żadne z nich nawet w jednej setnej wyglądem nie przypominało Lucy, która miała w większości czarny pysk i czujne, sterczące uszy owczarka niemieckiego. Ale weterynarz i Kerri mieli rację: nawet jeśli suczka zorientowała się, że dzieciaki są adoptowane, wydawało się jej to nie przeszkadzać.

Josh cofnął się o krok i spojrzał na arkusz. Zdawał sobie sprawę, że niewiele osób znalazłoby tyle przyjemności w tworzeniu tabelki z psimi imionami, ale jemu przyniosło to czystą satysfakcję. Nie był zadowolony jedynie ze skąpego opisu Rufusa. Zawsze sypia przy Codym? Jednak wiedział, że jeśli nic nie wpisze, to puste okienko będzie go dręczyło i najprawdopodobniej nie zmrzy przez nie oka. Arkusz to nie arkusz, jeśli nie jest wypełniony.

Czy powinien zadzwonić do Kerri, by powiedzieć jej, że wybrał imiona dla szceniaków? To nie wydawało się zbyt dobrym pretekstem. Czemu nie pomyślał, żeby poprosić ją o adres e-mailowy? Wysłanie wiadomości byłoby łatwiejsze niż rozmowa telefoniczna. Dała mu dość jasno do zrozumienia, że nie jest jeszcze gotowa, by podać mu swój prywatny numer, więc nie mógł wysłać jej SMS-a, ale z doświadczenia Josha wynikało, że ludzie chętniej podają adres poczty elektronicznej.

SMS-y przychodzące na jego najczęściej niedziałającą komórkę były automatycznie przekierowywane na skrzynkę pocztową w komputerze, na którym odczytał teraz wiadomość od byłego współpracownika: „Blascoe mówi że inter. to Tw. wi”, co w wolnym tłumaczeniu znaczyło, że kierownik rozpowiada byłym kolegom Josha, że problemy z interfejsem były jego winą.

Josh westchnął z irytacją – a więc nie ma co liczyć na dobre referencje od ostatniego szefa, choć może gdyby zaznaczył, że kierownikiem projektu był

Gordon Blascoe, potencjalni pracodawcy rozumieliby, dlaczego został zwolniony.

Jego CV znalazło się teraz na rynku, a jego obecne zajęcie sprowadzało się głównie do rozsyłania zapytań o możliwość zatrudnienia. To była jego ulubiona część całego procesu – wysyłanie w świat plików z życiorysem jak żaglowców wyruszających na podbój Nowego Świata. Codziennie rano otwierał swoje CV i redagował je od nowa, wiedząc, że gdzieś tam są ludzie, którzy je przeczytają, osoby, którym zaimponują jego osiągnięcia. Tym razem jednak telefon nie zadzwonił od razu, a skrzynka odbiorcza nie zapełniła się ofertami. Być może był to znak, że nastały chude dni, a może to tylko z powodu zbliżających się świąt – niewiele firm informatycznych wdrażało nowe projekty w październiku, kiedy ich roczne budżety były już na wyczerpaniu.

Josh wiedział, że największym niebezpieczeństwem była dla niego stagnacja – w jego świecie stanie w miejscu oznaczało cofanie się. Zapisał się na kilka kursów online i rzucił się w wir nauki programowania aplikacji do smartfonów, tabletów, a nawet bankomatów. Stworzył sobie nową listę zadań.

Nauka

Stworzenie demo aplikacji na smartfona

Piesze wycieczki

Telefon do Kerri

Codziennie uwzględniał wszystkie punkty z listy, oprócz tego na samym końcu. Jakoś nigdy nie udawało mu się zabrać za ostatnie zadanie.

Nie podobało mu się, że musi zostawiać Lucy samą, gdy wychodzi na piesze wędrówki po górach, ale nie chciał pozbawiać dzieci opieki matki. A poza tym jego ulubiony szlak biegł z tyłu działki Ryana i wiedział, że Lucy nie miałyby ochoty tamtędy przechodzić. Josh nigdy nie widział tam oznak życia i nie przechodził przed domem sąsiada.

Szczeniaki miały niespełna trzy tygodnie, gdy po raz pierwszy zaczęły okazywać zamiłowanie do wędrówek. Nie radziły sobie jeszcze dobrze z chodzeniem – przypominało to raczej próby pływania w kojcu, gdy tak odpychały się na brzuszkach albo zataczały na swoich cherlawych łapkach jak mali pijacy. Jednak za każdym razem gdy Lucy z jękiem wstawiała, by zrobić sobie przerwę od macierzyństwa, zaczynały głośno piszczeć i momentalnie były w drodze do ścian kojca, na które próbowały się desperacko wspinać, zupełnie jakby uciekały z więzienia, albo człapały na drugi koniec komory, żeby sprawdzić, czy nie ma tam może mamusi.

Zaczynały się też już krystalizować ich osobowości: Oliver zapuszczał się najdalej z rodzeństwa i wyglądał na najbardziej sfrustrowanego z powodu zamknięcia. Malutka Lola wyłapywała głos Josha, kierując się w jego stronę, jakby była w stanie go znaleźć, i popiskiwała wzburzona, dopóki jej nie podniósł – wyglądało na to, że po prostu kocha być przytulana.

Sophie pragnęła pochwycić w swoje łapki wszystkie możliwe zabawki, a Cody i Rufus zwykle tylko czekali na powrót Lucy, trzymając się razem, by dodać sobie nawzajem otuchy.

Sama Lucy przychodziła często do Josha i kładła mu głowę na kolanach, jakby chciała powiedzieć: „Mam dość”. Wypadały jej całe kępki sierści i straciła trochę na wadze, przez co wyglądała na permanentnie przemęczoną. Bez względu na pogodę zostawała dłużej na podwórku, gdy Josh wypuszczał ją, by załatwić swoje potrzeby – już nie spieszyła się tak z powrotem do swojego przedszkola.

– Lucy, grzeczna sunia – zapewniał ją Josh. Czasami całował ją w pyszczek, a ona w podzięcie lizała go po twarzy. Uwielbiał całować ją z boku mordki, w lekkie wgłębienie między okiem na nosem. Nie był w stanie stwierdzić, czy jej się to podobało, czy nie, ale nie gryzła go ani nie warczała, gdy to robił, więc uznał, że najprawdopodobniej nie ma nic przeciwko temu.

Zmęczony zamknięciem w czterech ścianach przez cztery dni zachmurzonego nieba i przenikliwego wiatru Josh wstawił pudło ze szczeniakami na przednie siedzenie furgonetki i pojechał do Denver, do jednego z sieciowych sklepów zoologicznych, gdzie można było wprowadzać zwierzęta. Niestety plany pokrzyżowała mu informacja przy wejściu, że osobniki poniżej ósmego tygodnia życia nie mają prawa wstępu, a to z powodów sanitarnych. To miało sens – szczeniaki nie były jeszcze zaszczepione. Josh zostawił je w furgonetce i pobiegnął kupić parę gryzaków dla Lucy. Gdy wrócił do samochodu, zastał stłoczone przy jednej z szyb trzy młode kobiety, które zaglądały do środka, zachwycając się szczeniakami, co przejawiało się słodkim gruchaniem. Otworzył drzwi i pozwolił im potrzymać swoje dzieciaki, co wydawało się nieco onieśmielać Cody’ego, ale już Lola była wniebowzięta.

Josh pławił się w tej powszechnej uwadze, zwłaszcza że na odchodne kobiety uściskały i jego.

Przyszła mu do głowy myśl, że człowiek nie potrzebował żadnej Leigh ani żadnego Wayne’a, jeśli miał furgonetkę pełną szczeniaków.

Gdy wrócił do domu, zauważył, że Lucy siedzi w oknie. Jej oskarżycielskie spojrzenie zdawało się mówić: „Spodziewałam się was wcześniej”. Potrzebowała karmić w takim samym stopniu, jak szczeniaki potrzebowały jej mleka, i Josh poczuł lekkie wyrzuty sumienia, kiedy zobaczył, jak wygłodniałe maluchy rzuciły się do jej sutków. Jak każdego dnia, odkąd poinstruowała go Kerri, dopilnował, by Lola, najmniejszy z psiaków, dostała dwa „talerze”.

Lucy jednak szybko mu przebaczyła – wyglądało na to, że psy tak mają. Z miejsca zapominają wszelkie krzywdy i urazy, bo przecież przyjacielskie stosunki są o wiele fajniejsze. Skoczyła na piszczącą maskotkę-krówkę, którą jej podarował, potrząsając nią z taką werwą, że ta zaczęła wydawać z siebie dźwięki, na co zdumione szczeniaki zaczęły się nawzajem obwąchiwać.

Gdy pogodynka obiecała dzień idealny – powyżej dwudziestu stopni ciepła, bezwietrznie, pierzaste chmury – Josh postanowił dać psiakom okazję do pohasania na świeżym powietrzu. Włożył szczeniaki do tego samego kartonowego pudła, w którym pojechały do Denver, i wyniósł je na skąpy trawnik przed domem. Lucy zaniepokojona całą operacją dreptała wokół i ziewała, jakby bała się, że Josh znowu pojedzie do miasta, ale gdy tylko delikatnie położył szczeniaki na trawniku, uspokoiła się i poszła podrzemać na taras.

Maluchy wyglądały na dość zaskoczone faktem, że ni z tego, ni z owego znalazły się na świeżym powietrzu. Wąchając, wystawiały swoje chybotliwe główki na wietrzyk i popiskiwały na siebie, nie chcąc opuszczać chmary rodzeństwa w wędrówce dalej na podwórko.

Josh wycofał się na jakieś dwanaście stóp, zostawiając im swobodę, położył się na plecach z rękami splecionymi na karku i zaczął patrzeć w niebo. Co za piękny dzień! Leżąc i napawając się zapachem spieczonych słońcem igieł, z łatwością mógł sobie wyobrazić, że jest środek lata, dawno temu w odległej galaktyce. Może jakaś niedziela – mama właśnie przyrządza pieczeń, a tata czyta gazetę na tarasie.

W tej rzeczywistości za kilka dni będzie Halloween, którego Josh nigdy nie „czuł”. Odkąd na nowo tu zamieszkał, żadne dziecko nie zapuściło się na jego podwórko i nie zapukało do jego drzwi, by poprosić o cukierki. Ale dla jego matki październik oznaczał początek poważnych przygotowań do świąt Bożego Narodzenia, które w jej mniemaniu zdawały się trwać całe trzy miesiące. Z dnia na dzień przybywało dekoracji – jak kwiatów rozkwitających po letnim deszczu. Dom wypełniał się ciepłem i słodkim zapachem świątecznych ciastek, które piekły się w maminym piekarniku. Mama była dumną posiadaczką niezliczonych kaset wideo z filmami o Bożym Narodzeniu, włączając je bez przerwy zarówno przed, jak i po dwudziestym piątym grudnia.

Josh miał teraz je wszystkie na DVD. Może obejrzy sobie któryś wieczorem, na przykład *To wspaniałe życie*. Uwielbiał ten film, uwielbiał oglądać, jak Jimmy Stewart uświadamia sobie, że nic nigdy nie powinno się zmieniać i że najważniejsze jest, by rodzina trzymała się razem.

Przysnął na chwilę z błogim uśmiechem na ustach. Obudził się nagle, czując na ręce coś wilgotnego. To Oliver Odkrywca wciskał w nią swój czarny nosek. Z bliska biała łata wokół jego pyszczka przypominała groteskowo umalowane usta klauna. Josh przekręcił się na bok i zobaczył, że reszta ferajny maszeruje chwiejnie za braciszkiem, człapiąc gęsiego w jego stronę.

Oliver tymczasem oparł się na nim swoimi maciupęńkim łapkami, by rozpocząć wspinaczkę.

– Cześć, mały kolego – wyszeptał Josh, wciągając sobie Odkrywcę na brzuch.

Wkrótce na miejsce przybyła Lola, za nią Rufus i Cody, a pochód zamykała Sophie. Wszystkie szczeniaki zaczęły cicho popiskiwać, próbując wdrapać się na niego, więc pomógł im i wkrótce na jego piersi leżała już cała piątka – chmara małych, wiercących się piesków, które jednak zaraz zasnęły wyczerpane nową przygodą. Tak spędził całe popołudnie: obleżony przez swoją małą psią rodzinę, ucinając sobie drzemkę.

* * *

Ten dzień wydawał się punktem zwrotnym w życiu szczeniaków. Zapragnęły teraz zwiedzać świat i piszczwały do utraty sił, dopóki Josh nie wyjął ich z kojca. Zostawiały małe niespodzianki na drewnianej podłodze, które jednak łatwo było uprzątnąć, i hasały wokół, obwąchując ściany albo skacząc na siebie nawzajem w komicznych, nieskoordynowanych atakach. Josh trzymał kojec w dawnym pokoju swojej siostry, sterylnie czystej sypialni z łóżkiem i komodą zarezerwowanej dla gości, których nigdy nie miał. Tu zaczynały się wszystkie szczenięce przygody: Josh wyjmował dzieciarnię z kojca i kładł na podłodze w pokoju Janice. Oliver zawsze wędrował najdalej ze wszystkich – jego opiekun wiedział, że wkrótce zażąda wypuszczenia na dwór.

Lola zawsze szukała Josha i biadoliła, dopóki nie wziął jej na ręce. Sophie wynajdywała sobie zabawkę do miętolenia. Cody i Rufus, nierozłączna para, byli zazwyczaj ostatnimi, którzy wyściubiali nos z sypialni.

Pierwszego listopada padał śnieg, a w zasadzie udawał, że pada: roztańczone płatki dryfowały na wietrze i wydawały się kierować bardziej na bok niż w dół. Po pewnym czasie na niektórych polanach ze sterty opału zebrało się nieco białego puchu, który wyglądał na nich jak babcina koronka na podłokietniku fotela.

Telefon zadzwonił, gdy Josh śpiewał szczeniakom. Pobiegł, żeby odebrać, ślizgając się w skarpetkach po podłodze. To była Kerri.

– Zapomniałeś o mnie w całym tym pośpiechu – zauważyła.

– Co? – Josh mocniej chwycił telefon. – **Nie.** To znaczy...

Pozwoliła mu chwilę powiszieć na sznurku niedokończonego zdania.

– Nie zadzwoniłeś do mnie, bo... – zaczęła za niego.

– Nie wiem dlaczego. Nie wydarzyło się nic godnego uwagi – odparł. – Chciałaś... chciałaś, żebym zadzwonił?

– Tylko jeśli ty chciałaś zadzwonić do mnie.

Na to już nie miał odpowiedzi.

– Przyjechałam w odwiedziny, ale w domu zastałam tylko Lucy – ciągnęła pogodnie.

– Przyjechałaś w odwiedziny – powtórzył bezmyślnie, ale z mocno bijącym sercem.

– Do szczeniaków – potwierdziła.

– Aha.

– Gdzie się wtedy podziewałaś?

Josh opowiedział jej o wyprawie ze szczeniakami w kabinie furgonetki, opisując uwagę, jaką na sobie skupiały, ale „zapominając” wspomnieć, że była to wyłącznie uwaga płci pięknej.

– To dobrze, powinieneś to powtarzać – zachęcała Kerri. – Musimy je socjalizować. Wyjść z nimi do ludzi. I do innych psów też. Mam tu czteromiesięcznego teriera z domieszką innej rasy, któremu daliśmy na imię Bob. To prawdziwy słodziak, kocha zabawę. Pomyślałam sobie, że mogę go do was przywieźć.

Josh rozpaczliwie chciał, żeby Kerri przyjechała, ale myśl o tym, że jakiś czteromiesięczny olbrzym miałby się bawić z jego szczeniakami, zatrzymała go w blokach startowych.

– A nie zrobi maluchom krzywdy? Nie umieją jeszcze zbyt dobrze biegać.

Kerri zapewniła go, że nic złego się nie stanie, więc naturalnie zgodził się, żeby przyjechała nazajutrz w porze obiadowej. Rozłączywszy się, otworzył laptop i wpisał w wyszukiwarkę „najpopularniejsze obiady dla kobiet”, ale wyskakiwały tylko przepisy na desery.

Ulubionym lunchem Amandy była sałatka Cezar z kurczakiem plus mrożona herbata. Jej drugą ulubienicą była sałatka z kurczakiem po chińsku. Na szczęście w sklepie spożywczym mieli te dwie sałatki, więc kupił dużą ilość obu. Do kompletu wybrał sześć różnych rodzajów mrożonej herbaty.

Bob okazał się puchatym, szaro-czarnym pieskiem z grzywą nachodzącą na oczy. Lucy warczała na niego z okna, gdy Kerri otwierała klapę samochodu. Suczka wydawała z siebie głębokie pomruki, jakich Josh nigdy wcześniej nie słyszał u żadnego psa.

– Wszystko w porządku, Lucy – szepnął do niej niepewnie.

Kerri miała na sobie sweter, obcisłe dżinsy i wysokie botki. Potrząsnęła swoimi długimi brązowymi włosami dokładnie w ten sam sposób jak wtedy, gdy Josh zobaczył ją po raz pierwszy. Na ten widok przez jego pierś przeszło coś na kształt fali prądu.

Pomachała do niego przez okno, podczas gdy Bob był zajęty obwąchiwaniem krzaków. Josh otworzył drzwi.

– Lucy warczy – zawołał.

– Cześć, też się cieszę, że cię widzę – odpowiedziała.

– Eeee... Przepraszam, ja tylko... – Josh czuł się jak kompletny idiota.

– Suczka po prostu zachowuje się tak, jak przystało na dobrą, opiekuńczą psią mamusię. Wypuść ją.

Lucy przeciskała się przez nogi Josha, chcąc dopaść do drzwi i wybiec za próg. Odsunął się niechętnie, a Lucy wybiegła na zewnątrz ze sztywnym ogonem

i postawionymi uszami, skierowanymi jak rakiety w stronę psiego intruza.

Bob zareagował, jakby ktoś go postrzelił: rzucił się na ziemię, przekręcił na grzbiet i zaczął merdać ogonem. Gdy Lucy pogardliwie schyliła się, żeby obwąchać go od stóp do głów, Bob odkręcił się i polizał ją po pysku. Lucy w końcu odwróciła się od niego z odrazą i poszła przywitać się z Kerri.

– Cześć, Lucy – powiedziała dziewczyna. Bob czołgał się u jej stóp z łbem pochylonym w geście uległości. – Widzisz? – zawołała do Josha. – Słodziak, kocha wszystkie psy.

Gospodarz zszedł z tarasu z rękami w kieszeniach i dopiero w ostatniej chwili zorientował się, że Kerri wystawia policzek do całusa. Udało mu się wylądować ustami gdzieś między jej szczęką a uchem. Poczul delikatny zapach jej perfum – musiał powstrzymać się, żeby nie zamknąć oczu i nie zacząć napawać się ich wonią.

Lucy wróciła do domu i zamarła przy oknie, przyglądając się, jak Bob tarza się na trawniku ze szczeniakami, które obsiadły go jak chmara owadów, podszczypując i popiskując.

– Z każdym dniem coraz bardziej przypominają labradory, z wyjątkiem umaszczenia. Ale co jest z uszami Loli? Ciekawy kształt. Jak chow-chow albo akita – zastanawiała się.

Za każdym razem, gdy Bob przetaczał się po którymś szczeniaku, Josh chciał rzucić się na pomoc, a Kerri kładła mu dłoń na ramieniu, żeby go powstrzymać.

– Nic im nie będzie – zapewniała raz po raz. Wkrótce ciało Josha rozgrzało się od jej dotyku. Można byłoby go oskarżyć o jeden czy dwa udawane ruchy, które markował tylko po to, by raz jeszcze powstrzymała go w ten sposób.

Gdy szczeniaki już się zmęczyły, Josh i Kerri zanieśli je z powrotem do domu. Lucy wróciła do kojca, żeby je nakarmić, a Bob padł na podłogę i natychmiast zasnął.

Kerri aż zaklaskała w dłonie z radości na widok dwóch dużych misek sałatki i sześciu różnych butelek mrożonej herbaty.

– Jesteś przekomiczny – stwierdziła. Cieszył się, że dziewczyna się śmieje, ale nie był do końca pewien, czy nie świadczy to, że zrobił z siebie idiotę. Miał bardziej atrakcyjne cechy do zaprezentowania...

– Masz może szcypce do sałatek-olbrzymów? – zapytała. – Nie, siedź, ja przyniosę – zaoferowała się, gdy poderwał się od stołu – jestem bliżej.

– Szuflada pod tosterem – powiedział. Podobał mu się widok Kerri krzątającej się po jego kuchni, jakby to był jej dom. Otworzyła szufladę, w której trzymał rzeczy wymykające się wszelkim kategoriom, takie jak młotek, korkociąg, szcypce do sałatki czy dziadek do orzechów.

– A właśnie, gdy byłam wtedy u ciebie... – zaczęła Kerri.

- Tak?
- Wpadłam na twojego sąsiada.
- Och – tylko tyle był w stanie wydusić z siebie w odpowiedzi.

Ryan.



10

I jak wam się gawędziło? – sondował Josh, gdy już odzyskał głos. Rozkojarzona Kerri dalej przeczesywała kuchnię.

– Miły gość – rzuciła od niechcenia.

– Naprawdę?

Słyszając jego ton, uniosła wzrok znad szuflady.

– Co, nie jest miłym gościem?

– Nie, jest w porządku. – Josh odchrząknął. – O czym rozmawialiście?

– Prawdę mówiąc, zamieniliśmy tylko kilka słów. Mam szcypce – oznajmiła.

Josh przełknął ślinę.

– To dobrze – powiedział ledwo słyszalnym głosem.

Usiadła przy stole i podniosła na niego wzrok.

– Co się stało?

To był jedyny moment, w którym nie chciał, żeby czytała w jego myślach.

– Nic – odparł, potrząsając głową.

– Powiedział tylko, że poprzedni dzierżawca nie płacił regularnie.

Minęła chwila, zanim Josha oświeciło.

– Ach, mówisz o Jamesie Hatchu!

– Tak, o nim.

– Bardzo miły gość – paplał Josh. – Jego córka była kiedyś naszą nianią. A on był inżynierem, takim, co prowadzi pociągi. A może konduktorem, zawsze się w tym gubię. W każdym razie przeszedł na emeryturę i wciągnął się w wędkarstwo muchowe. Przeprowadzili się z rodziną do Denver, chociaż nie sprzedał domu, tylko zaczął go wynajmować.

– Dobrze wiedzieć – skomentowała wesoło Kerri.

Josh poczuł, że się czerwieni.

– Miły gość – powtórzył zażenowany.

– Dobra, to teraz zjedźmy tę górę sałatki.

Zaczęli przeżuwać chrupiący posiłek. Czemu kupił coś, czego jedzenie tak bardzo utrudniało rozmowę? Powinien był wybrać zupę, pudding albo coś w tym stylu.

Stukanie pazurów o drewnianą podłogę oznajmiło, że Lucy wyszła z tylnej

sypialni i zbliżała się do kuchni. Podeszła do Kerri po pieszczoty, a potem położyła głowę na kolanach Josha. Pogłaskał ją po uszach.

– Wiem, że ci ciężko – pocieszał ją. – One tylko jedzą i jedzą.

– Wiesz? A masz w tej kwestii jakieś doświadczenie? – droczyła się z nim Kerri, unosząc brew.

– To wygląda na ciężki los – poprawił się.

– Zacząłeś je już karmić stałym pokarmem?

– Jakby to powiedzieć... Głównie po nim chodzą.

Lucy poszła obwąchać Boba, który uderzył ogonem i przekreślił się na grzbiet, pokazując całkowitą uległość. Następnie weszła na swoją poduszkę, pokreśliła się po niej trochę, po czym położyła się i zasnęła z ciężkim westchnięciem.

– W przyszłym tygodniu mogę przywieźć kota – zaproponowała Kerri.

– Kota? – powtórzył Josh, a jego żołądek wykonał małą akrobację na myśl o tym, że Kerri znowu przyjedzie.

– Mamy takiego kocurka o imieniu Waldo. Wychowuje wszystkie szczeniaki, które trzeba nauczyć, jak mają zachowywać się w obecności kotów. No i musimy zapoznać je z dziećmi. Znasz jakieś dzieciaki?

– Pewnie, wszyscy znają jakieś dzieciaki, ja też – odpowiedział Josh, mając nadzieję, że nadmiernie na naciąga faktów.

– W mojej kamienicy mieszka dwoje, czasami się nimi zajmuję.

Josh natychmiast uznał, że pomysł, by przyjechała z dziećmi, jest dużo lepszy.

– To byłoby świetne rozwiązanie – podchwycił. – Nie znam wielu dzieci. To znaczy znałem, ale kiedy byłem... w podstawówce. – „O Boże, jaki ze mnie matoł”.

– Jasne – przytaknęła łagodnie. Uśmiechnęła się do niego nieświadoma, jakie spustoszenie w jego wnętrzu czyni tym sposobem. Czuł, jakby jego organy wewnętrzne spadały z dużej wysokości.

– A więc co ostatnio porabiałeś, oprócz opanowywania sytuacji ze szczeniakami? – dopytywała.

– Och. No cóż, lubię chodzić na poranne piesze wycieczki.

– **Uwielbiam** piesze wycieczki – przerwała mu. – Gdy jeszcze mieszkałam w Denver, przyjeżdżałam tu na weekendy, ale teraz mogę po prostu założyć buty i wyjść w góry, kiedy tylko mam na to ochotę.

Joshowi zadrżało serce. Wyobraził sobie ich razem na szlaku któregoś popołudnia. Któregoś popołudnia w niedalekiej przyszłości.

– No i jeszcze zapisałem się na internetowe kursy tworzenia aplikacji na urządzenia mobilne i inne z ekranami dotykowymi – zakończył. Zacerwienił się, uświadamiając sobie, że pewnie wyszedł na skończonego nerda, ale ona tylko

chrupała sałatkę z wyrazem łagodnej aprobaty na twarzy.

Nagle dobiegły ich szczenięce popiskiwanie. Lucy otworzyła oczy, ale nie poruszyła się.

– Dzieciaki chyba odkryły, że nie ma mamusi – zauważył Josh. Odłożył serwetkę i wstał.

– Może lepiej dać im się wypłakać – podsunęła Kerri.

– Nie, umiem je usypiać – odparł Josh. – Chcesz zobaczyć?

Zaciekawiona poszła za nim.

Szczeniaki siedziały przy bliższej krawędzi kojca. Rufus z małą brązową łatą na oku wyglądającą jak piracka opaska cicho zaskowytał – był to pierwszy szczenek, jaki kiedykolwiek wydały gardła szczeniaków Josha. Sophie oparła się o brzeg kojca swoimi białymi łapkami i na widok opiekuna zaczęła merdać równie białym koniuszkiem małego ogonka. Piski stadka przybrały na sile.

– Hej, hej, dajmy mamusi odpocząć – zamruczał Josh. Przyklęknął i oparł się dłońmi o podłogę, a Kerri poszła w jego ślady, klękając tuż obok.

– Idziemy spać, szczeniaczki. Karaluchy pod poduchy.

– Chyba tego nie kupiły – powątpiewała Kerri.

– Daj mi chwilę – poprosił Josh – Już to robiłem. Dobra, wszyscy gotowi? – zapytał, a potem zaczął śpiewać na melodię kolędy *Away in the manger*:

*W swoim małym kojcu
wyścielanym kołderką
małe szczeniaczki
kładą się do snu.*

Pieski jeden za drugim przestały popiskiwać i biadolić. Najmniejsza Lola położyła się, a Oliver (ten z białą obwódką wokół pyszczka) ułożył się mniej więcej na niej. Reszta dzieciarni przewróciła się jak pod wpływem narkozy i zamknęła oczy, pociągając nosami i zwijając się w kłębek.

*Wasza mama Lucy
jest tuż obok
ale nie może spać,
kiedy zaczynacie płakać.
Więc śpijcie, szczeniaczki,
jak jeden mąż,
a kiedy się obudzicie,
zabawy przyjdzie czas.*

Wszystkie szczeniaki spały, Cody i Rufus wtuleni w siebie, a reszta w chmarze, leżąc na sobie nawzajem. Josh i Kerri wciąż byli na czworakach.

– Słowa są mojego autorstwa – szepnął Josh niepotrzebnie.

– Wow, to najbardziej urocza rzecz, jaką w życiu widziałam – powiedziała Kerri równie cicho. Spojrzał na nią. Lekkie wyciągnięcie szyi w jej kierunku

i pocałowanie jej wyczekujących ust wydało mu się tak łatwe, że nagle to zrobił, nie planując ani nie myśląc.

Owiała go woń jej perfum i tym razem przymknął oczy, upajając się nie tylko jej zapachem, ale i dotykiem jej miękkich, ciepłych warg, dzięki któremu po całym jego ciele przeszedł dreszcz ekstazy. W jednej chwili wiedział, że nigdy nie zapomni tego momentu.

Ich pocałunek stał się nieco zbyt entuzjastyczny i wyglądało na to, że w ich głowach pojawiła się jednocześnie ta sama myśl. Kerri odsunęła się.

– Słuchaj, przystopujmy. Przepraszam, ale nie zrobimy tego tutaj. Nie w muzeum Amandy.

Gdy wstawiała, Josh starał się ukryć rozczarowanie. Podniósł się i poszedł za nią do kuchni, czując się niekomfortowo ze świadomością, że ściany są obwieszane fotografiami jego byłej dziewczyny.

– Gotowy do drogi, Bob? – zawołała Kerri.

– Może zjesz jeszcze sałatki? – zaproponował Josh.

– Nie, dzięki, zjadam dziennie tylko jeden las tropikalny. – Posłała mu olśniewający uśmiech.

– To może... weźmiesz na wynos?

– Pewnie, czemu nie. Tylko poproszę mniej niż dziesięć kilogramów.

Josh nie wiedział, co się dzieje. Żartowała i uśmiechała się do niego, ale wcześniej przerwała świetnie zapowiadający się pierwszy pocałunek. Podobał się jej czy nie? Włożył większość sałatki do pojemników.

– Dzięki. Chodź, Bob.

Lucy i Bob skoczyli na równe łapy i podążyli za Kerri do wyjścia. Zakłopotany Josh stał obok, przyglądając się, jak dziewczyna kładzie pudełka z prowiantem na tylnym siedzeniu i otwiera bagażnik dla Boba. Transporter dla psów wyglądał, jakby właśnie wrócił z wojny: jego pęknięte plastikowe boki były sklezione taśmą. Kerri zauważyła, że Josh mu się przygląda.

– Jeden ze schroniskowych wolontariuszy oparł się o niego trochę zbyt ufnie – odpowiedziała na nieme pytanie Josha. – Na szczęście w środku nie było psów.

Bob wskoczył na pakę, wszedł do transportera i przybrał minę nieszczęsnego, niesprawiedliwie skazanego więźnia, patrząc, jak Kerri siłuje się z zamknięciem zakratowanych drzwiczek.

– Bob chyba ma ochotę zająć inne miejsce w samochodzie – zauważył Josh.

– Przynajmniej nie szczeka i nie zawodzi. Jeden pies wył przez całą drogę z Kansas, z Goodland. – Zatrzasnęła klapę, po czym odwróciła się i posłała Joshowi swój cudowny uśmiech.

– Do zobaczenia za tydzień, powiedzmy: w czwartek po pracy? Przyjedziemy z Waldo, niech szczeniaki oswoją się z kotami.

– Pewnie. Mamy randkę – potwierdził Josh. Tyle że to nie była randka.

Randka jest wtedy, gdy ma się szansę na spędzenie paru romantycznych chwil.

Przez chwilę był pewien, że taka szansa mogła się pojawić, a nawet że się pojawiła, ale teraz przestało to tak wyglądać. Zupełnie. Nie rozumiał jej. Dlaczego po prostu nie powie mu, o co chodzi? Patrzył w stronę odjeżdżającej Kerri jeszcze dobrą chwilę po tym, jak jej samochód zniknął, dopóki Lucy nie trąciła nosem jego dłoni.

„Znasz jakieś dzieciaki?” To pytanie go poruszyło, sprawiło, że zaczął odczuwać niepokój, a nawet żal. Nagle wybrał numer siostry – w Portland było tuż po czwartej.

– Halo? – usłyszał ją w słuchawce. Coś w jej głosie mówiło mu, że poznała jego numer na wyświetlaczu.

– Cześć, Janice.

– Josh, wow, jak się masz?

Porozmawiali chwilę, przekazując sobie najświeższe nowiny. Żadne nie rozmawiało z rodzicami od kilku tygodni i zgodnie stwierdzili, że to niedobrze.

– Byłam taka zajęta... Mecze chłopców, chór i tak dalej – wyjaśniała, wzdychając.

Josh nie miał takiej wymówki.

– Wiem – powiedział tylko i odchrząknął. – Hej, zastanawiałem się, czy nie mielibyście ochoty przyjechać do mnie w odwiedziny. Mam szczeniaki...

– Szczeniaki?

Opowiedział jej o Lucy i tym, co znalazł w podrzuconym kartonie.

– Niesamowita historia – wykrztusiła z podziwem.

– Pomyślałem sobie, że chłopcy chętnie je zobaczą.

– Och, na pewno – przytaknęła Janice.

Josh wyczuł jej opór i zaczął mocniej naciskać.

– Nigdy nie przyjeżdżacie. To znaczy, odkąd wykupiłem dom.

– Wiem, ja tylko... – Janice zrobiła wydech. – Czy mogę być szczerą? Naprawdę nie chcę oglądać domu, w którym się wychowywałam.

– Co? Czemu? Tyle radosnych wspomnień...

Janice zaśmiała się krótko smutnym śmiechem.

– Serio? Ja pamiętam tylko kłótnie rodziców.

– No tak, ale poza tym było nam tu dobrze, prawda?

– Nie wierzę – zdumiała się – ty ciągle to robisz.

– Co robisz? – zapytał Josh obronnym tonem.

– Ciągle starasz się wszystko posklejać. Udajesz, że wszystko gra, kiedy tak naprawdę nie gra. Próbujesz sprawić, by „znowu” było tak, jak nigdy nie było.

Josh milczał.

– Przepraszam, nie chciałam cię urazić. Wiem, jak dużo przeszedłeś. Ja tylko... Zapomnij o tym, co powiedziałam, dobrze?

– Jasne – odparł bezbarwnym głosem.
– Słuchaj, a może to ty wpadniesz do nas? Naturalnie razem z Amandą. Są wakacje, mamy dużo miejsca. Super byłoby się zobaczyć.
– Oj. Nie powiedziałem ci. Rozstaliśmy się z Amandą.
Josh zerknął na zdjęcie Amandy na kominku – jej uśmiech zadawał kłam jego słowom.
– Och, nie! O Boże, tak mi przykro. Kiedy?
– Eee... W kwietniu.
– W kwietniu? Dlaczego mi nie powiedziałeś?
– Nie wiem. – „Bo mówienie ci o tym sprawia, że to wydaje się bardziej realne”.
– Mama wie?
– Nie, chyba nie. – „Patrz wyżej”.
– Jak się trzymasz?
– Dobrze. Rozstaliśmy się w przyjaźni. Wciąż się przyjaźnimy. – „Tyle że od tamtego czasu nawet raz nie rozmawialiśmy”.
– Naprawdę mi przykro. Co się stało?
Josh westchnął i zamknął oczy. Właśnie dlatego nie chciał o tym rozmawiać.
– Poznała faceta – zaczął niepewnie.
– Och, Josh, tak bardzo, bardzo mi przykro – wyszeptała łagodnie. – No to może... Przyjedziesz sam? Chłopcy będą wniebowzięci.
– Widzisz, właśnie dlatego dzwonię do ciebie z zaproszeniem. Nie mogę zostawić szczeniaków samych.
– No tak, oczywiście. Nie pomyślałam.
Rozmawiali jeszcze przez chwilę, a potem Janice pożegnała się, tłumacząc się napiętym grafikiem. Obiecali sobie szczerze, że niedługo znowu do siebie zadzwonią.

Muzeum Amandy.

Josh znalazł mocną plastikową skrzynkę i przeszedł się po domu, wkładając do niej fotografie byłej dziewczyny. Nazywanie tego „muzeum” było trochę niesprawiedliwe – w domu nie było wiele zdjęć Amandy, najwyżej piętnaście. Góra dwadzieścia. Zapelnioną skrzynkę postawił na dnie szafy w sypialni rodziców.

Półka nad kominkiem wyglądała bez nich pusto, więc stwierdził, że czas już wyjąć bożonarodzeniowe dekoracje. Wiedział, że matce by się to spodobało. Wkrótce ożyła miniaturowa świąteczna wioska: przed maleńkim kościółkiem stanęli równie maleńcy kolędnicy, domki rozbłysły prawdziwymi światełkami, a na stację zajechał uroczy świąteczny pociąg. Całość otaczały kawałki śniegu z waty, które Josh starannie ułożył tak, by światło lampek padało na nie jak na prawdziwy śnieżny puch.

Włączył świąteczną muzykę, a nad kominkiem zawiesił światełka, popijając herbatę z przyprawami korzennymi, którą jego matka zawsze przygotowywała, gdy rozkładali miniaturową wioskę. Postawił przy kominku nawet ten sam stołeczek, na którym w dzieciństwie musiała stawać Janice, żeby móc przyjrzeć się dekoracji. Bez stołeczka czegoś by brakowało.

Kilka dni później pojechał do miasteczka po zakupy spożywcze. Wybrał drogę obok schroniska, ale nie zatrzymał się.

Dekoracje na Święto Dziękczynienia przypomniały mu, że to już zaraz. Kupił mrożone danie z indyka w sosie i z purée ziemniaczanym, a do tego żurawinowo-jabłkowy deser. Na opakowaniu wyglądał całkiem apetycznie.

W drodze powrotnej minął schronisko.

Następnego dnia przyjechała Kerri. Lucy zaszczekała, gdy opony jej samochodu zachręściły na podjeździe. Josh wyjrzał przez okno: miała na sobie niebieską kurtkę i czerwono-biały szalik. Sięgnęła do koszyka i wyjęła z niego wielkiego popielatego kocura. Lucy jęknęła, jakby chciała powiedzieć: „O nie, tylko nie kot”.

Trzymając suczkę za obrozę jedną ręką, drugą otworzył drzwi.

– Lucy nie jest zadowolona – ostrzegł. Nagle przypomniał sobie ostatni raz, gdy Kerri stanęła w jego progu. – Aa, cześć, Kerri, bardzo miło cię widzieć.

Roześmiała się, a Josh zrobił krok w tył, ciągnąc za sobą Lucy, by dziewczyna mogła wejść.

– Ciebie też bardzo miło widzieć. Lucy, proszę poznaj Waldo.

Kerri opuściła ręce, z których Waldo ospale zsunął się na podłogę, całkowicie niewzruszony widokiem Lucy. Josh puścił obrozę i suczka zrobiła krok naprzód. Ogon miała sztywny, uszy podniesione, a sierść na grzbiecie zjeżoną. Waldo obwąchał jej nos z nieukrywana odrazą.

– Widać, że koty nie są jej obce.

Lucy najbardziej interesowało obwąchiwanie Waldo pod ogonem, na co kocur pozwalał jej przez jakieś pięć sekund, po czym obrócił głowę i syknął. Przestraszona Lucy odskoczyła od niego, posyłając Joshowi oskarżycielskie spojrzenie.

– A nie mówiłam? Waldo nie daje sobie w kaszę dmuchać – zachichotała Kerri. – Czy moglibyśmy zamknąć Lucy w pokoju? Chciałabym, żeby szczeniaki poznały swojego pierwszego w życiu kota bez obecności mamusi.

Josh zaprowadził Lucy do sypialni rodziców. Gdy wrócił, Kerri stała w salonie z rękami na biodrach, zerkając znacząco na bożonarodzeniową wioskę na kominku.

– Widzę, że nieco zmieniłeś wystrój – zauważyła.

– Co? A, to... – Josh oblał się czerwienią.

– Podoba mi się. Co tu postawisz po świętach?

– Mam kilka drewnianych kaczek i drewnianą tabliczkę z napisem „Witamy”, którą zrobiłem jeszcze w podstawówce.

– Jeszcze bardziej mi się podoba. Nie mogę się doczekać, kiedy to zobaczę.

– Uśmiechnęła się do niego, a on nie pozostał jej dłużny. Posłał Kerri najszerszy uśmiech, na jaki tylko było go stać, taki, który uruchomił wszystkie mięśnie twarzy, a może i zahaczył o te w barkach.

– Wypuśćmy szczeniaki – zaproponowała Kerri. Poszli po nie razem.

– Wow, ale szybko rosną! – zawołała.

Gdy szczenięta tylko ją zobaczyły, z ich gardełek popłynął chór popiskiwań. Wyjęli pieski z kojca na podłogę, a kiedy się odwrócili i skierowali z powrotem na korytarz, pieski rzuciły się za nimi, objając się o ściany i skacząc sobie na grzbiety. Josh i Kerri stali w salonie, patrząc, jak zza rogu wylewa się fala rozbrykanych psich dzieci.

I wtedy wszystkie naraz zobaczyły kota.



Przez chwilę wydawało się, że wszystkie szczeniaki doznały nagle stężenia pośmiertnego.

Zamarły jak sparaliżowane, gapiąc się na Waldo szeroko otwartymi oczami. Gdy wreszcie otrząsnęły się z szoku, zbiły się na progu w ciasną gromadkę. Waldo stał na samym środku pokoju, jakby ten cały należał do niego. Kiwając głowami i pociągając nosami, psiaki wyglądały na kompletnie zbite z tropu. W końcu Oliver, który jak zwykle przewodził całemu stadku, zniżył głowę i wpełzł do salonu, choć merdał ogonkiem jak szalony. Waldo przyglądał się jego manewrom bez mrugnięcia okiem, a wręcz z bardzo znudzoną miną. Wkrótce w ślad za bratem poszła reszta szceniąt.

Waldo zrobił dwa kocie kroki do przodu i to wystarczyło, żeby dzieciarnia spanikowała i rzuciła się do chaotycznej ucieczki. Dały nogę na korytarz, dosłownie tratując biednego Cody'ego, który najwyraźniej nie rozumiał, co się dzieje. Waldo rozsiadł się tuż za progiem salonu, blokując do niego dostęp, i spoglądał zimnym wzrokiem na wstrząśnięte szczeniaki, które kotłowały się teraz na drugim końcu korytarza, podrzucając głowami, kręcąc ogonami i zderzając się ze sobą nawzajem.

Instynktownie przywarły do ściany, skotłowane jak po wypadku drogowym.

Kerri zaczęła chichotać. Josh zerknął na nią i poczuł lekkie migotanie przedsiónek na widok jej uśmiechu.

Oliver, wciąż merdając ogonem, stwierdził, że między nim a tym dziwnym niepsem musiało dojść do zwykłego nieporozumienia. Nie było powodów, dla których nie mogliby się zakolegować, prawda? Wysunął się z gromadki, a Lola i Sophie podreptały za nim, udzielając mu wsparcia moralnego, choć na (bezpieczną) odległość. Zagrał ukłonem. „Jest nieźle!” Zrobił jeszcze kilka kroków i ponownie się pokłonił. Waldo był nieruchomy jak posąg. Pozostałe szczeniaki stwierdziły, iż mimo tamtego falstartu wygląda na to, że wszystko dobrze się skończy, i rzuciły się przed siebie. Rufus po drodze nadepnął Sophie na głowę.

Waldo syknął.

Z oczami szeroko otwartymi z przerażenia Oliver zrobił w tył zwrot, w panicznej ucieczce wpadając na nadciągające rodzeństwo. Jego przerażenie udzieliło się pozostałym, które jak jeden mąż pognały z powrotem, jak najdalej od

wroga. W pół drogi zatrzymały się i przegrupowały, aczkolwiek chaotycznie i z psią duszą na psim ramieniu.

– Coś mi mówi, że nie musimy się martwić, że zrobią Waldo krzywdę – zauważył ironicznie Josh. Naturalnie tak naprawdę chciał usłyszeć zapewnienie, że to Waldo nie skrzywdzi ich. Kerri jednak była o to spokojna, więc starał się czerpać otuchę z jej pewności siebie.

Wyglądało na to, że Cody zaczął się nudzić: obwąchując ściany, opuścił pole bitwy i udał się w stronę sypialni i kojca. Rufus nawet na niego zaszczekał, jakby chciał powiedzieć: „Ty dezterterze, wracaj natychmiast!”. Ale Cody zignorował brata.

„Dobra, spróbujmy inaczej”. Najwyraźniej wybrana na ambasadora jako najmniejsza, z gromadki wyłoniła się nieśmiało Lola, szorując brzuchem po podłodze. Za nią podążyła Sophie, machając zapamiętałe swoim małym ogonem. Oliver, podekscytowany, że inne pieski ryzykują życie, wspinał się na Rufusa, żeby mieć lepszy widok na pole bitwy.

Waldo przyglądał się psiej delegacji z całkowitym brakiem zainteresowania. Samiczki obwąchały się, by dodać sobie animuszu, czemu Waldo również przyglądał się bez mrugnięcia okiem. Zachęczone brakiem wrogich sygnałów szczeniacki podpełzły do niego na brzuchach jak rekruci piechoty morskiej czołgający się pod drutem kolczastym. Rufus i Oliver stwierdzili w końcu, że jest bezpiecznie, i zamknęli tyły.

Waldo wyszczerzył kły i to wystarczyło – szczeniaki zaczęły w popłochu uciekać, jakby się paliło.

– Lekcja pierwsza: kociaki mają zęby – ironizowała Kerri.

– Wygląda na to, że Lucy nie chce już karmić. Wstaje, zanim skończą jeść, i tak samo odchodzi, czasami z płaczem – powiedział Josh.

Kerri skinęła głową na jego słowa.

Tymczasem szczeniaki przyjęły, że żadnego kota nie ma. Obecnie próbowały prześlizgnąć się obok niego do salonu, sunąc przy ścianie centymetr po centymetrze i celowo nie patrząc w jego stronę. Ogon Waldo zadrgał. „Tam nie ma kota, tam nie ma kota...”

Nagle kocur skoczył prosto na szczeniaki, które przerwały szyk bojowy i ile sił w łapach przebiegły przez cały korytarz aż do sypialni z kojcem. „O Boże, tam jest kot!”

Zadowolony z wypełnienia powierzonego mu zadania i wzorowej żołnierskiej służby Waldo w nagrodę polizał się po łapie.

– Jak sprawa ze stałym pokarmem? – zapytała Kerri.

– Jedzą, ale wciąż chcą mleka Lucy – odparł Josh. – Pozwalam im ssać rozrzedzoną karmę z palców, jak kazałaś.

– To zazwyczaj matka decyduje, kiedy kończy karmić. Nie panikuj, jeśli

zdarzy się jej warknąć na małe.

Josh zmarszczył brwi.

– Nie zamierzam „panikować”.

– Nie, ja tylko... – zaśmiała się. – Przepraszam, po prostu przypominałam sobie, jak bałeś się, że Lucy zabije szczeniaki, kiedy uświadomi sobie, że to nie jej dzieci.

– Tak, ale na swoją obronę powiem, że nie miałem wtedy internetu, żeby o tym poczytać.

– Na swoją „obronę”? Jesteśmy na sali rozpraw ze mną w roli sędziego? – W oczach Kerri pojawiły się wesołe ogniki.

W tamtej chwili wyglądała tak pięknie, że Joshowi aż zaparło dech w piersi. Zastanawiał się, czy dzięki rozmontowaniu muzeum Amandy może teraz całować Kerri, kiedy najdzie go ochota. To byłby układ idealny.

Uśmiechała się do niego tajemniczo, jakby dokładnie wiedziała, co chodzi mu po głowie, i przytrzymała na chwilę jego spojrzenie.

– Wracając do tematu: niedługo zostaną odstawione od piersi – ciągnęła, przerywając ciszę. – Wolimy odczekać, aż szczeniaki skończą osiem tygodni, zanim oddamy je do adopcji, co w tym przypadku wypadnie w samym środku Bożego Narodzenia. Zabierzemy się za to zaraz po Święcie Dziękczynienia. Ale kilka dni wcześniej i tak możemy wstawić ogłoszenia na stronę internetową. Szczeniaki szybko znajdują domy, zwłaszcza takie słodziaki jak twoje.

Josh zerknął w głąb korytarza, gdzie w progu sypialni zgromadziła się jego wesoła gromadka, jakby czekając na pozwolenie, by wyjść z pokoju.

Stwierdził, że nawet jeśli szczenięta zostaną odstawione od piersi, to i tak wciąż będą potrzebowały matki. I nagle odkrył, że on również jej potrzebuje. Jeśli Ryan przyjdzie ją odebrać, Josh był gotowy stoczyć z nim sądową batalię. Nikomu nie odda swojego psa.

– Możemy już wypuścić Lucy?

– Może najpierw zamknijmy małe w sypialni – podsunęła Kerri. – Nie wiem, jak by zareagowała na widok Waldo terroryzującego jej dzieci.

Ominęli kocura i poszli po szczeniaki. Cody i Rufus byli nieobecni. Pewnie bawili się gdzieś indziej. „Tu nie ma kota”. Josh zgarnął Olivera, który zaczął wić się z radości, merdając ogonem i liżąc powietrze.

– Oliver, gdzie twoi bracia? – zapytał pieska Josh.

– To jakie masz plany na Święto Dziękczynienia? – rzuciła Kerri, podnosząc z podłogi dziewczynki. Lola zamerdęła błogo ogonem, a Sophie położyła po sobie uszy. Kerri pocałowała ją w nos. – Wszystko dobrze, mała.

Tymczasem Josh szukał odpowiedzi na jej pytanie. Nie chciał wyjść na ofiarę losu. Co jej powie? Że będzie świętował przy jedzeniu z mikrofalówki i może kilku puszkach piwa?

- Przygotuję kolację – skłamał.
- Naprawdę? Taką typowo „dziękczynną”?
- Taak, to nie jest trudne.
- Jestem pod wrażeniem.

Wzruszył ramionami, ale w duchu cieszył się, że jej zaimponował.

- Taką na więcej osób? Będzie rodzina, przyjaciele?
- Rodzina nie. Zaprosiłem siostrę, ale w tym roku nie mogą przyjechać.
- O, to szkoda. Czyli masz jedno wolne miejsce?
- Słucham?
- Chcesz, żebym przyszła?

Poczuł przyspieszony puls. Przełknął ślinę.

- Taak, to znaczy... Tak.
- Na pewno?

– Oczywiście, zresztą już wcześniej chciałem cię zaprosić, ale pomyślałem, że pewnie masz inne plany.

– Nie takie, których nie mogłabym zmienić. Chętnie poznam twoich przyjaciół. Mam przynieść swoje słynne ciasto dyniowe?

– Tak! Właśnie zastanawiałem się, co zrobić w sprawie ciasta. – „I całej reszty”.

Co też mu strzeliło do głowy?

Odpowiedź: strzeliła mu do głowy myśl, że dzięki temu zobaczy się z Kerri. Był gotowy na każde szaleństwo, byle tylko się z nią spotkać.

Włożyli szczeniaki z powrotem do kojca. Z na wpół otwartej szafy wyłonił się Rufus i podreptał do nich, żeby się przywitać.

– Mały Rufusie w pirackiej opasce na oku, gdzie jest drugi maluch, Cody? – zaśpiewała spontanicznie Kerri, podnosząc sobie szczeniaka nad głowę.

Josh był całkowicie oczarowany swobodnym zachowaniem dziewczyny i zabawną, pozbawioną melodii „piosenką”.

– Cody? – zawołał.

W odpowiedzi w szafie coś zaszeleściło. Przesuwne drzwi zadrżały. Piesek najwidoczniej na nie wpadł. Dlaczego zamiast atakować ich zamkniętą część po prostu nie wyjdzie przez otwartą połowę, tak jak jego brat? Kerri włożyła Rufusa do kojca, a gdy się pochylała, przed twarzą zawisła jej zasłona pięknych, długich włosów. Rodzeństwo rzuciło się na cudem odnalezionego braciszka, po którym natychmiast zaczęto wspinać się z radości, tak jakby nie widziało go cały miesiąc.

Cody wydał z siebie krótkie, pełne frustracji szczeknięcie. Rufus oparł łapki na brzegu kojca i odpowiedział bratu w podobnym stylu.

Josh podszedł do szafy i zajrzał do środka. Cody siedział obok jednego z pudeł z pyszczkiem skierowanym ku przesuwным drzwiom.

– Cody?... Co ty wyprawiasz?

Na dźwięk jego głosu Cody odwrócił się, po czym uderzył w pudło, idąc w kierunku Josha, który schylił się i go podniósł.

– Co się stało? – zapytała Kerri, gdy wrócił ze szczeniakiem.

– To dziwne – Josh zajął w maleńkie oczy Cody’ego, które odcinały się pustką na tle jego brązowego pyszczka. Postawił szczeniaka na podłodze.

– Zawołaj go.

– Cody! Chodź tutaj, skarbie! – Kerri przyklęła na dywanie, klaszcząc w dłonie. Szczeniaki w kojcu zaczęły piszczeć, starając się do niej przedostać, wspinając się po głowach rodzeństwa.

Cody zrobił kilka chwiejnych kroków w stronę dziewczyny, ale nie w linii prostej. Wyciągnęła do niego rękę, lecz mały nie zareagował. Pochyliła się do przodu i zaczęła do niego machać.

– Cody?...

Cody wreszcie dotknął nosem jej dłoni, obwąchując ją. Natychmiast zaczął merdać ogonem, przywierając brzuchem do podłogi i liżąc jej palce.

– On nie widzi – stwierdził Josh.

– Och, biedny mały – szepnęła Kerri. Porwała Cody’ego w ramiona. – Ale musimy zabrać go do weterynarza, żeby się upewnić. Może coś da się zrobić.

– Ale na to nie ma żadnego przepisu, prawda? Można zatrzymać psa, nawet jeśli jest ślepy?

– Tak, oczywiście. Trudniej będzie znaleźć mu dom, ale ktoś na pewno go przygarnie.

– Albo ja go zatrzymam – zdecydował spontanicznie Josh.

Kerri uniosła brwi.

– Co? – zapytał nieco obronnym tonem.

– Nigdy wcześniej nie miałeś psa. Opieka nad niewidomym czworonogiem będzie nie lada wyzwaniem.

„Ale mam ciebie do pomocy” – miał na końcu języka.

– Na pewno sobie poradzę.

– Porozmawiamy o tym po powrocie do weterynarza. Wiesz, nie cierpię, kiedy ludzie decydują się na opiekę nad psem pod wpływem impulsu. To ogromne zobowiązanie. Zwierzęta tak często kończą jako bezdomne, bo ludzie kupują słodkiego szczeniaka, a kiedy robi się za duży i wymaga więcej opieki, właściciele po prostu go wyrzucają.

– Ale ja nigdy nie zrobiłbym czegoś takiego.

Uśmiechnęła się do niego.

– Wiem.

Ten uśmiech wbił go na chwilę w ziemię. Poczuł, że serce wali mu jak młotem, jak szczeniakom ze strachu przed kocurem.

Wypuścili Lucy z sypialni. Wyszła ze zjeżoną na grzbiecie sierścią,

ewidentnie świadoma, że Waldo „dręczył” szczenięta. Kot spojrział na wielkiego psa bez grama strachu. W końcu Lucy postanowiła wspaniałomyślnie przebaczyć winowajcy, zaś Joshowi posłała nadąsane spojrzenie, najwidoczniej zdając sobie sprawę, że był współwinny tej zbrodni.

Gospodarz odprowadził Kerri do samochodu. Dziewczyna włożyła kota do rozpadającego się transportera, po czym posłała Joshowi swój najpiękniejszy uśmiech, od którego kolana zmiękły mu tak bardzo, że aż musiał oprzeć się o maskę samochodu.

Zastanawiał się, czy może ją teraz pocałować, skoro stoją przy jej „pojeździe ucieczkowym”, ale ona zaskoczyła go pierwsza, zbliżając się, by przytulić go na do widzenia. Przycisnął policzek do jej policzka i zanim się od siebie oderwali, przez krótką chwilę miał okazję poczuć zapach jej włosów.

– Święto Dziękczynienia – zdołał w końcu wymamrotać.

– Och, jestem pewna, że zobaczymy się wcześniej – poprawiła go.

„Tak!”

– Mamy nowego Jack Russell terriera, który ciągle tylko biega i biega. Chciałabym go tu przywieźć. Jest mniej więcej postury twoich szczeniaków, choć ma jakieś dwa lata na karku.

– Dobrze. – A więc zobaczy się z nią z powodu programu socjalizacji czworonogów, a nie dlatego, że miał na sobie swój najlepszy sweter i wyprasowane spodnie. Kerri wciąż uśmiechała się do niego.

– Co? – zapytał.

– Och, nic. – O czym pomyślała? Co mu umknęło?

Gdy odjechała, stwierdził, że pogoda jest wystarczająco ładna, by szczeniaki mogły pobawić się trochę na zewnątrz. Niedługo przyjdzie zima i przykryje okolicę grubą warstwą śniegu, a maluchy zostaną uwięzione w domu. Wypuścił Lucy z sypialni, zgarnął szczenięta i wyniósł je do niej na podwórko.

– Jesteś grzeczną sunią, Lucy – pochwalił ją. W odpowiedzi posłała mu rozgniewane spojrzenie, wciąż rozpamiętując przykry incydent z kotem.

Zadzwoił telefon. Josh wbiegł po schodkach, by go odebrać. Niestety nie była to Kerri, ale jego kumpel, Wayne.

– Stary, zostawiłem ci wiadomość na poczcie głosowej. – W głosie Wayne’a dało się słyszeć pretensję.

– Och. Wiesz, że tu raczej nie włączam komórki.

– Nie mogę uwierzyć, że taki nowoczesny informatyk wciąż używa telefonu stacjonarnego, jakby były lata sześćdziesiąte.

– Może powiedz mi, co to była za wiadomość – podsunął Josh.

– Słuchaj, wiem, co powiesz, ale Leigh ma taką koleżankę, z którą chodzi na jogę...

– Nie.

– Stary...

Lucy zaczęła szczebrać i to w sposób, którego Josh nigdy wcześniej nie słyszał – w jej zaciekłym powarkiwaniu było coś na kształt gniewu. Wayne wciąż mówił, ale Josh go nie słuchał, wpatrując się w otwarte drzwi.

– Po... poczekaj – przerwał przyjacielowi. Rzucił telefon i podszedł do frontowego okna.

Ścisnęło go w gardle z przerażenia, gdy zobaczył, dlaczego Lucy zaczęła szczebrać. Psy zostały zaatakowane.

Canis latrans.

Kojoty preriowe.



Josh rozeznał się w sytuacji w mgnieniu oka.

Były dwa. Dwa młode, smukłe i głodne osobniki, które razem zabrały się za polowanie na szczeniaki. Boże, były naprawdę przebiegłe. Jeden stał po lewej, przy drzewach, i prowokował Lucy, przechadzając się w tę i z powrotem tuż poza jej zasięgiem. To właśnie na niego rzucała się suczka. Na jej pysku malowała się wściekłość, miała obnażone kły, zgarbione plecy i najeżoną sierść. Przy każdym jej manewrze drapieznik odskakiwał nieco, bawiąc się z nią w kotka i myszkę i tym samym odciągając coraz dalej od jej przerażonych dzieci, które siedziały wtulone w siebie tam, gdzie zostawił je Josh. Lucy miała pianę na pysku, szeroko otwarte oczy i kłapała zębami.

W oczach kojota, który prowokował suczkę, by do niego podeszła, było widać złowrogie wyrachowanie, a to dlatego, że na krawędzi lasu czaił się drugi napastnik, krążąc ukradkiem po prawej i czekając, aż Lucy odejdzie jeszcze na kilka stóp, by mógł skoczyć i porwać któreś ze szceniąt.

Tuż przy drzwiach stała strzelba z nabojami na sól. Josh porwał ją i przeładował, wybiegając z domu.

Lucy nie mogła się powstrzymać. Rozwścieczona rzuciła się na kojota, a wtedy drugi wyskoczył zza drzew z otwartym pyskiem, gotowy, by pochwycić zdobycz.

– Hej! – wrzasnął Josh. Potykając się, zeskoczył z tarasu. Kojot był już prawie przy szczeniakach.

Josh wystrzelił w powietrze i huk strzelby wszystko zmienił. Kojot po prawej wzdrygnął się, przerwał atak i pobiegł do lasu, a jego kompan dokładnie w tej samej chwili odskoczył od Lucy, która rzuciła się za nim w pogoń.

– Lucy! Wracaj! – krzyczał Josh, stojąc nad szczeniakami. Ponownie nabił strzelbę. Kojoty lubiły krążyć po tej samej okolicy. Mogło się zdawać, że są w odwrocie, ale wkrótce wracały, żeby sprawdzić, jak mają się sprawy.

– Lucy! Do nogi! – Josh wystrzelił w kierunku lasu, sól wbiła się w korę drzewa.

Zdyszana Lucy pędziła z powrotem. Josh wątpił, by zdołała doścignąć drapiezniki – kojoty były mistrzami ucieczek.

– Dobra sunia. Zostań – nakazał jej. Lucy stanęła przy nim, dotykając

wilgotnym nosem jego dłoni, a u ich stóp popiskiwały szczeniaki. Josh schylił się do nich i właśnie wtedy zauważył, że jest ich tylko trójka.

Lola, Oliver i Sophie wspinały się po Lucy, szukając pociechy. Brakowało Rufusa i Cody'ego.

Zniknęli.

Josh wpadł w niekontrolowaną wściekłość i rzucił się w las w pogoni za kojotami. Zbiegł ze wzgórza, ze wzrokiem zamglonym furją i poczerwieniałą z gorąca twarzą. Załadował kolejny nabój i trzymał strzelbę przy piersi jak żołnierz. Chciał zastrzelić te drapieżniki, chciał je skrzywdzić, pobić, zabić.

Pięćdziesiąt stóp od domu znalazł się w samym środku sosnowego lasu i nie mógł już tak szybko biec, bo musiał omijać drzewa. Spoglądając w dół zbocza, dobrze widział leśną gęstwinę, ale nie dostrzegł w niej ani śladu kojotów czy zaginionych szczeniaków. Zatrzymał się, dysząc ze zmęczenia.

Nagle przeszła go fala strachu. Co on wyprawia? Właśnie tak kojoty pogrywały sobie z Lucy: próbowały odciągnąć obrońcę i pozbawić maluchy ochrony.

Zawrócił i pobiegł z powrotem na wzgórze. Jego serce biło jak oszalone i nie mógł złapać tchu. Gdy wypadł z lasu, zobaczył Lucy z Oliverem w pysku. Przenosiła szczeniaka trzymając go za fałdę skóry na karku. Oliver wyglądał na przestraszonego – uszy miał klapnięte, a ogon podkulony.

Nigdzie nie było śladu pozostałych szczeniaków.

– Lucy! Co się stało? – krzyknął udręczony Josh. Tylko nie to. Czy kojoty wróciły i zabrały też Lolę i Sophie?

Bieg pod górę wyczerpał Josha, jednak znalazł siły, żeby pokonać schody i wpaść do domu. Lucy zniknęła właśnie w głębi korytarza, więc pobiegł za nią. Wszystkie trzy szczeniaki były w kojcu – Lucy przeniosła je w najbezpieczniejsze miejsce, jakie знаła.

Josh zadrżał na myśl o tym, że szczeniaki czekały na zewnątrz, całkowicie bezbronnie, podczas gdy suczka wносиła je po kolei do domu, ale na szczęście nic im się nie stało. Najwyraźniej wystrzały przestraszyły kojoty na tyle, że już nie odważyły się wrócić.

– Zostań z dziećmi, Lucy – poinstruował suczkę Josh, łapiąc powietrze. Oliver, Lola i Sophie przywarły przerażone do boku matki, być może szukając zarówno pociechy, jak i pokarmu.

Josh zamknął drzwi sypialni.

Podszedł do stojaka na broń i załadował strzelbę, żałując, że nie może strzelić do drapieżników czymś więcej niż tylko solą. Wyszedł na podwórko i stanął w miejscu, gdzie szczeniaki zbiły się w ciasną gromadkę przy łapach Lucy.

Nie mógł uwierzyć w to, co zrobił – zostawił maluchy same tu, gdzie mogły paść ofiarą nie tylko kojotów, ale i lisów czy nawet pum, po to tylko, żeby odebrać

telefon od Wayne'a. O czym on myślał?

Przed oczami stanął mu mały Rufus ze swoją brązową łatą na oku i Cody, niewidomy i przerażony. Wyobraził sobie, jak bezwzględne kojoty uprowadzają jego dwa pieski. Nie był w stanie znieść bólu po ich stracie. Opadł na kolana, upuszczając strzelbę, schował twarz w dłoniach i łkając, przełykał gorzki cierpienia. To była jego wina, wszystko jego wina. Był głupi, głupi, głupi.

Nie miał pojęcia, jak długo tak rozpaczał, ale gdy w końcu odzyskał nad sobą kontrolę, wytarł wilgotne od łez dłonie o spodnie. Teraz już to wiedział. Nie odda szczeniaków do adopcji – to były jego pieski i nigdy więcej ich nie opuści. Strata była zbyt bolesna. Nie byłby w stanie przejść przez to raz jeszcze.

Zaczął się zastanawiać, co powie Kerri. Coś mu mówiło, że nie będzie zadowolona z jego decyzji.

Ale w końcu się z nią pogodzi, prawda? Nie, nie tak od razu. Wiedział, że bez sporu się nie obejdzie, ale musiał tak zrobić. Musiał.

Z jakiegoś powodu pomyślał o Amandzie i poczuł przebłysk silnego gniewu.

– Nie ma w tym niczyjej winy – wyjaśniała niezbyt przekonująco, pakując walizki do samochodu. Tak jakby wybór został dokonany za nią, a jej decyzje nie należały do niej.

„To **jest** czyjaś wina. To twoja wina, Amando”.

Wina zazwyczaj leży po czyjeś stronie. Pozostawienie szczeniaków na pastwę kojotów było winą Josha.

Jego gniew zniknął równie szybko, jak się pojawił, jak chmura burzowa, z której pada pojedynczy piorun, po czym odpływa ona za grzbiet gór i znika. Wrócił myślami do Kerri i postanowił, że na razie nie powie jej o swojej decyzji.

Wziął głęboki oddech, spoglądając na żółtawą trawę i rzadkie zarośla porastające krawędzie działki. Będzie musiał zbudować zadaszoną zagrodę dla psów – pумы były w stanie przeskoczyć nawet wysokie ogrodzenie.

Nagle usłyszał ciche popiskiwanie i natychmiast odwrócił głowę. To był odgłos jakiegoś zwierzęcia. O, znowu.

Otworzył szeroko oczy. Czy to możliwe?... Wydawało mu się, że piszczenie dochodzi spod tarasu. Schylił się i zajrzał w ciemną szczelinę, mrużąc oczy.

Najpierw zobaczył ogon Rufusa – w oczy rzucił mu się jego biały koniuszek, a potem powędrował wzrokiem do białej mordki na drugim końcu pieska.

– Hej! – zawołał rozradowany. „Psiaki żyją!”

Szczelina była wystarczająco szeroka, by mógł się przez nią precyzyjnie przesuwać dorosły mężczyzna, i Josh tak właśnie zrobił, dotykając dłońmi zimnego, skalistego podłoża. Szczeniaki zeszywniały, gdy się do nich zbliżał. Cody wyczuł strach Rufusa i zaczął gorączkowo węszyć w poszukiwaniu źródła nowego zagrożenia.

– Hej, Cody! Rufus! Chodźcie tu, pieski! – Josh przytulił szczeniaki do piersi i zaczął się cofać. Każdy z nich ważył teraz już blisko pięć kilogramów. Gdy

wyczołgał się spod tarasu i mógł się wyprostować, przycisnął je do twarzy i wyczałował.

– Och, chłopaki, tak się cieszę, że nic wam nie jest! – zawołał bliski płaczu. Wyglądały na tak samo przestraszone, jak Oliver w pysku Lucy, ale Cody odważył się liznąć Josha po nosie.

Gdy otworzył drzwi sypialni, Lucy podniosła się, a pozostałe szczeniaki puściły jej sutki i upadły, popiskując w wyrazie protestu. Błyskawicznie się otrzępały i ponownie rzuciły ku źródłu mleka, ale Lucy wyszła z kojca i podeszła do Josha, by sprawdzić stan Rufusa i Cody'ego. Obwąchała wijące się szczeniaki od stóp do głów. Merdały ogonami, nie posiadając się z radości. Posłała Joshowi spojrzenie pełne ulgi i wdzięczności.

Włożył synów marnotrawnych do kojca, ale Lucy nie miała chyba ochoty na powrót do „przedszkola”.

– Zrobię wam coś do jedzenia – obiecał maluchom, które zaczęły swój bolesny koncert, gdy tylko poszedł do kuchni z Lucy drepczącą tuż za nim. Pogłaskał sunię, a ona polizała go po dłoni. Czuł, że ich więź jeszcze się pogłębiła. Razem stawili czoło niebezpieczeństwu.

Szczeniaki rzuciły się na miękką karmę bez zwyczajowych dąsów. Zupełnie jakby niedawne niebezpieczne przejścia sprawiły, że poczuły się dorosłymi psami.

Telefon wciąż zwisał na poskręcany kabl, ale połączenie zostało przerwane.

Josh najpierw skończył karmić szczeniaki, a potem oddzwonił do Wayne'a. Zamiast niego telefon odebrała Leigh.

– Czy musiałeś się rozłączyć, żeby mieć czas na wymyślenie jakiejś wymówki? – żartobliwie domagała się wyjaśnień.

– Nie, coś mi przerwało. Czy Wayne powiedział ci, że mam szczeniaki?

– Tak! Możemy przyjechać z Isabellą, żeby je zobaczyła?

– Pewnie, super. – „**Mam** znajome dzieci”.

– Może zobaczymy się po Święcie Dziękczynienia?

– Eee...

– Albo już wiem! Masz plany na ten dzień?

– W sumie to...

– Byłoby świetnie, gdybyś wpadł.

– Ja już tak jakby...

– Chciałabym, żebyś kogoś poznał. Święto Dziękczynienia byłoby idealną okazją.

– Leigh...

– Wiem, co powiesz, ale daj spokój. Nie możesz całe życie siedzieć i czekać na... na... nie wiadomo na co. Musisz rozpocząć nowy rozdział. Nie mogę patrzeć, jak się marnujesz – besztła go Leigh.

– Ciekawe, czy w czasie tej rozmowy będzie mi dane dokończyć choć jedno zdanie. – Lekki ton zadawał kłam jego słowom. Leigh troszczyła się o niego. To było miłe uczucie.

Zapadło milczenie, a potem Leigh zaśmiała się.

– Przepraszam. Po prostu Wayne powiedział, że nie jesteś zainteresowany poznaniem Brooke.

– Nie wiem, kim jest Brooke.

– Chodzi ze mną na jogę.

– Usiłuję nakłonić was, żebyście to wy przyjechali do mnie na Święto Dziękczynienia.

Leigh zamilkła na dłuższą chwilę.

– Serio?

– Tak. Masz rację, muszę zacząć częściej widywać się z ludźmi, zwłaszcza z wami. Czasami przez pracę za bardzo się izoluję. A wasz przyjazd tu to lepszy pomysł, bo nie wiem, jak miałbym zapakować do samochodu całą tę psią dzieciarnię.

– Ale to Święto Dziękczynienia. Kto to wszystko ugotuje?

– Ja.

– Ty?

– Tak.

– Ty przyrządzisz świąteczną kolację?

– Daj spokój, o co tyle hałasu? To tylko kolacja. Sprawdzę wszystko w internecie.

– O mój Boże.

– W każdym razie ciasto będzie wyśmienite. Przyjaciółka upiecze.

– **Przyjaciółka?** – powtórzyła Leigh, rzucając się na tę nową informację jak kot na mysz. – Jaka przyjaciółka? Jak ma na imię?

Josh uśmiechnął się szeroko.

– Kerri. No więc... Co o tym sądzisz?

– Kerri. Gdzie się poznaliście?

– Zajmę się całym gotowaniem, wy tylko przyjedźcie.

– W pracy? Kto to jest? Jak długo się spotykacie?

– Jeśli chcesz poznać Kerri, to musicie przyjechać na świąteczną kolację.

– Josh, naprawdę nie musisz mi tego dwa razy powtarzać!

Postanowili, że Leigh, Wayne i ich pięcioletnia córka Isabella spędzą Święto Dziękczynienia u Josha. Wiedział, że z Kerri jako przynętą miał ich praktycznie w garści.

Na swoją listę zadań wpisał: „Sprawdzić w internecie, jak przygotowuje się kolację na Święto Dziękczynienia”.

Szczeniaki spały w kojcu wtulone w siebie, najpewniej wyczerpane

przerażającym doświadczeniem. Lucy nie poszła za Joshem, żeby sprawdzić, co u nich – stała na końcu korytarza z wyrazem pyska, który wyraźnie mówił: „Nie waż się budzić juniorów”.

Josh stał i przez parę dobrych minut przyglądał się swoim szczeniakom. Miałby je oddać? Nie ma mowy. To były **jego** psy. I nic nie mogło tego zmienić.

Gdy wrócił do salonu, Lucy już czekała tam na niego z grubym patykiem, a w zasadzie polanem w zębach. Musiała je wyciągnąć ze skrzynki z podpałką. Miała wesole i czujne spojrzenie, a uszy postawione.

– Znalazłaś patyk? Patyk? – zapytał Josh.

Lucy stała zeszywniała. Gdy ostrożnie się do niej zbliżył, poruszyła głową, odsuwając od niego patyk, ale nie próbowała z nim uciekać. Co miał teraz zrobić? Rzucić jej to drewnienko, żeby zaaportowała? Na pewno nie w domu. Ale po raz pierwszy, odkąd ją przygarnął, wykazywała ochotę do zabawy.

Chwycił za koniec patyka i wtedy właśnie pojął, czego od niego oczekiwano: Lucy obnażyła pazury i zawarczała, cofając się. Josh chwycił nową zabawkę mocniej, a ona znowu szarpnęła, niemal go przewracając.

Bawili się w „przeciąganie patyka” jeszcze przez jakieś pięć minut, a na koniec Josh puścił swój koniec, dając suczce wygrać. Zniżyła łeb i upuściła zdobycz na podłogę, tak jakby rzucała mu wyzwanie.

– Jesteś taka niemądra – skwitował Josh. Uśmiechając się od ucha do ucha, poszedł do kuchni, a Lucy podreptała za nim, nie mając do niego pretensji, że zakończył tę wspaniałą zabawę. Taka właśnie była: gotowa zaakceptować wszystko, co ją spotykało, od porzucenia przez Ryana po przejęcie opieki nad pudłem pełnym szceniąt. Stanowili zespół – Josh czuł, że ze wszystkich jego bliskich to właśnie Lucy była tym najbardziej niezawodnym towarzyszem.

– Jesteś moją najlepszą przyjaciółką, Lucy – wyznał jej.

Przysiadła z wyrazem pyska mówiącym: „A czyż najlepszym przyjaciółom nie należą się smakołyki?”, więc Josh poczęstował ją kawałkiem sera, resztką kurczaka i bekonem z mikrofali.

Gdy szczeniaki się obudziły, Josh nakarmił je, a potem postanowił przeprowadzić mały eksperyment. Na środku salonu postawił bujany fotel. Lucy zwinięta na swojej poduszce przyglądała mu się z zaciekawieniem. Na fotel narzucił koc, tak że wyglądem przypominał teraz niekształtny namiot. Poszedł po Rufusa i Cody’ego, którzy tręcili się nosami w jednym z kątów kojca.

– Okej, sprawdźmy, czy się nie mylę – odezwał się do piesków. Najpierw postawił na podłodze od strony kuchni Rufusa, a następnie Cody’ego. Sam stanął na drugim końcu salonu, przy frontowym oknie.

– Lucy, chodź.

Wciąż przypatrywała mu się z zaciekawieniem. Najwyraźniej w jej mniemaniu nie działo się nic na tyle zajmującego, by wstawać z legowiska

i porzucać jakże wygodną pozycję.

– Lucy, chodź! – przywołał ją ponownie Josh, klaszcząc w dłonie.

Suczka podeszła do Josha ze wzrokiem mówiącym: „Mam nadzieję, że w tym szaleństwie jest metoda”.

– Dobra. Chodźcie, pieski! Chodźcie! – zawołał do chłopaków.

Rufus przyglądał się Joshowi, a poruszony Cody zaczął stąpać niepewnie w jego kierunku. Josh nie wiedział, czy maluch kierował się w stronę jego głosu, czy zapachu matki, ale zauważył, że Rufusowi nie spodobała się przeszkoda na drodze w postaci przykrytego kocem fotela. Mierzył go wzrokiem, człapiąc tuż przy Codym, który kierował się wprost na fotel, podczas gdy Josh nie przestawał ich wołać.

Gdy zbliżyli się do przeszkody, Rufus dwukrotnie trącił brata na długości całego ciała, korygując jego kurs tak, aby na nią nie wpadł.

– Rufus, mądry piesek! Dalej, Cody!

Cody zwolnił, wahając się, czy może iść dalej, ale Rufus popchnął go lekko do przodu. Obaj ominęli już przeszkodę i czuli zapach Lucy.

– Mądre pieski – pochwalił braci Josh.

Gdy dotarli do matki, zaczęli szaleńczo uderzać o podłogę swoimi krótkimi ogonkami. Lucy pochyliła się i obwąchała swoje szczeniaki.

Jakimś sposobem Rufus postanowił wziąć odpowiedzialność za Cody’ego, naprowadzając brata na właściwy kurs, gdy ten błądził albo kierował się na przeszkodę. To właśnie dlatego znalazł ich dwóch pod tarasem. To dlatego gdy Cody zgubił się w szafie, był przy nim Rufus.

– Jesteś absolutnie niesamowity, Rufusku – zachwycił się Josh, podnosząc pieska z podłogi i całując go w brązową łatkę. W odpowiedzi Rufus obwąchał jego twarz, ale wyglądał, jakby chciał już wrócić do brata, więc Josh podniósł też Cody’ego i zaniósł ich z powrotem do kojca.

– A teraz świąteczna kolacja – oznajmił Josh z większą pewnością siebie niż ta, na jaką naprawdę było go stać w obliczu takiego wyzwania. W wyszukiwarce internetowej wpisał: „kolacja na Święto Dziękczynienia”.

Po prostu sprawdzi, jak przyrządzić indyka i całą resztę.

Co może pójść nie tak?



Radar był małym, białym pieskiem, a w zasadzie pięciokilowym ładunkiem czystej energii. Wszystkie szczeniaki Josha były większe od swojego gościa, ale wciąż biegały nieco nieporadnie, wykonując nieskoordynowane ruchy, więc nie miały najmniejszej szansy, by go dogonić, gdy śmigał po podwórku jak elektron. Niemniej jednak maluchy nie dawały za wygraną, chaotycznie rzucając się za nim w pościg. Za każdym razem gdy Radar wchodził w ostry zakręt, szczeniaki zderzały się ze sobą, turlały po ziemi, po czym rozradowane wstawały, otrzępywały się i ponownie rzucały w pogoń za kolegą.

Josh i Kerri stali na podwórku i przyglądali się tej zabawnej scenie, śmiejąc się z zachwytem. Kerri miała na sobie szarą wełnianą czapeczkę, która podkreślała jej jasne, niebieskie oczy. I ten jej uśmiech – Josh cieszył się z poczynań psów, ale właściwie patrzył jak urzeczony na Kerri.

– Biedny Cody nie wie, co się dzieje – lamentowała.

– O, wie więcej, niż myślisz. No i ma Rufusa – odparł Josh, opowiadając jej o eksperymencie w salonie. Patrzyli, jak szczeniaki, wpadając na siebie, szczelnie zamknęły okrażenie za Radarem, dosłownie drepcząc mu po piętach. Rufus znalazł się na zewnętrznej flance Cody’ego, naprowadzając brata na właściwy kurs jak pies pasterski.

– Masz rację! – Kerri zdumiona wpatrywała się w psiaki.

– Weterynarz mówi, że do oczu Cody’ego dostaje się trochę światła, ale to wciąż nie wystarcza, żeby cokolwiek zobaczyć. Nie wiadomo, dlaczego tak jest. Cody to po prostu niewidomy piesek – wyjaśnił Josh. – A więc Rufus służy mu za oczy.

– Wow, nigdy nie słyszałam o psie przewodniku dla psa – zachwycała się Kerri.

Radar złapał jakiś interesujący trop i gwałtownie zahamował. Prowadzący stadko Oliver i Sophie również dali po hamulcach, w wyniku czego cała szczenięca ferajna wpadła na siebie, piętząc się w mały psi kopiec. Radar pozwolił dzieciakom trochę się na siebie powspinać, po czym znowu ruszył z kopyta.

Przy nodze Josha pojawiła się Lucy, szturchając go patykiem, który trzymała w pysku. Josh chwycił jego koniec, a Lucy zapała się na przednich łapach, ciągnąc „zabawkę” do tyłu. Gdy zaczęła warczeć, szczeniaki zwolniły, z niepokojem

zerkając na matkę. Ale wtedy Radar zawrócił, prowokując je do dalszej pogoni, i cała zabawa zaczęła się od początku.

Gdy Josh puścił patyk, Lucy odskoczyła tanecznym krokiem, po czym natychmiast wróciła, machając mu nim przed nosem. Josh przyklęknął i ją przytulił, a ona polizała go, merdając ogonem.

– Tak dobrze sobie z nią radzisz – zauważyła Kerri. Josh zerknął na nią i znowu zobaczył ten uśmiech. Pożałował, że znalazł się na ziemi, trzymając w objęciach owczarka niemieckiego zamiast Kerri. – Mieliście szczęście, że się nawzajem odnaleźliście.

– Wiem – przytaknął Josh.

Lola zdezerterowała z psiej zabawy i przydreptała do Kerri po pieszczoty, tak jakby widok Lucy w objęciach Josha oznaczał, że oto oficjalnie nadeszła pora przytulania szczeniaków. Kerri potrzyzymała chwilę wtuloną w jej objęcia Lolę, po czym postawiła ją na ziemi i sięgnęła do kieszeni, z której wyjęła mały srebrny aparat.

– Chcę zrobić im kilka zdjęć do ogłoszeń na naszą stronę. Zamieścimy je teraz i napiszemy, że są do adopcji po Święcie Dziękczynienia.

Josh wstał i zaczął otrzepywać ubrania.

– Coś się stało? – zapytała Kerri, patrząc na niego badawczo. – Skąd to dziwne spojrzenie? Ciężko będzie pożegnać się z maluchami? – sondowała, ponownie czytając mu w myślach.

– Taa – odparł. „Tyle że nie mam zamiaru tego robić”.

Nie wiedział, jak dziewczyna zareaguje na wieść, że zasadniczo okłamywał ją, twierdząc, że chce rozdać szczeniaki. Nie miał ochoty o tym myśleć, ale musiał znaleźć jakiś sposób, by jej o tym powiedzieć. I przy tym jej nie stracić.

Kerri poprosiła, by podniósł każdego z pszków i zapozował z nimi do zdjęć. Pięć razy zagrzebał nos w szczenięcym futerku, wdychając ich zapach i czując pod dłońmi szybkie bicie ich serc.

– A może... – zaczął zdecydowanym tonem, stawiając na ziemi ostatniego szczeniaka, Olivera. Piesek pędem wrócił do zabawy w ściganie Radara, który wciąż niezmordowanie biegał wokół podwórka, korzystając ze swojej niespożytej energii. Josh wziął głęboki oddech. – Może zostaniesz na kolacji? – Mimo że niemal drżał z podekscytowania, silił się na jak najbardziej niezobowiązujący ton.

– Och – odparła Kerri.

– Potem możemy włączyć sobie jakiś film online – dodał szybko Josh. – Albo obejrzeć któreś ze świątecznych DVD z mojej kolekcji. *Białe Boże Narodzenie, Cud na 34. ulicy...*

– Nie mogę.

– Spoko.

– Nie, naprawdę z chęcią bym została, ale muszę jeszcze dziś pojechać do

Wyoming.

– Musisz jeszcze dziś pojechać do Wyoming – powtórzył Josh, starając się zrozumieć dlaczego.

Kerri westchnęła.

– To wypadło w ostatniej chwili. Widzisz, w Denver mają przepisy zabraniające trzymania pitbulli, ta rasa jest tam zakazana. To czysta ignorancja, bo pitbulle potrafią być najśłodszymi, najłagodniejszymi stworzeniami pod słońcem, ale niestety doszło tam do kilku ataków, więc teraz jeśli czyjś pitbull ucieknie i zostanie złapany, to z miejsca go usypiają. A więc tamtejsi aktywiści prowadzą swego rodzaju podziemną kolej przerzutową. Wyłapujemy te, które nie zdążyły jeszcze wpaść w macki systemu, i wywozimy je, ratując przed eutanazją. W schronisku w Cheyenne mają miejsce dla dwóch psów, więc za parę godzin jadę tam z tymi dwoma pitbullami i zostaję na parę dni u koleżanki ze studiów.

– Brzmi całkiem fajnie.

Uśmiechała się do niego.

– Nie rób takiej zbolalej miny. Przecież wracam na Święto Dziękczynienia, pamiętasz? Zobaczymy się w przyszłym tygodniu.

– Tak. Nie, naprawdę uważam, że to, co robisz, jest wspaniałe – zaczął kopać ziemię. Czemu nie potrafił powiedzieć tej dziewczynie tego, co musiał jej powiedzieć? Czemu tak się... **zaciął?**

Gdy Kerri odjechała z Radarem, szczeniaki opadły z sił, jakby ktoś odłączył je od prądu. Runęły gremialnie na ziemię, dzięki czemu łatwo było je załadować na koc i zawlec towarzystwo po drewnianej podłodze do kojca. Josh nie musiał im śpiewać – błyskawicznie zasnęły.

Wrócił do salonu. Stół był nakryty białym lnianym obrusem, stały na nim kwiaty i świece. Przy nakryciu dla Kerri, tuż obok wiaderka z lodem, do którego włożyłby butelkę białego wina po nalaniu dwóch kieliszków, leżało małe pudełko czekoladek obwiązane czerwoną wstążką. W mikrofalówce stał zamrożony kurczak w sosie Alfredo, a w delikatesach przygotowano sałatkę i tacę owoców – wszystko w małych, eleganckich porcjach.

Josh opadł na fotel, a Lucy podeszła do niego i położyła mu głowę na kolanach. Jej spojrzenie mówiło: „Może następnym razem”.

Dzień przed Świętem Dziękczynienia Josh wziął piłę łańcuchową i poszedł ku rządowi niebieskawych świerków kłujących, które jego ojciec posadził wzdłuż grani wyznaczającej granicę działki jako osłonę od wiatru. Kiedy Josh był dzieckiem, gromadzili się tu całą rodziną, by wybrać bożonarodzeniową choinkę. Janice i Josh zawsze spierali się, które drzewko jest najlepsze. Teraz stał tu tylko z Lucy, która biegła sobie z nosem przy ziemi, parszkając co rusz. Gdy ponownie na niego spojrzała, zamierdała ogonem, jakby chciała powiedzieć: „Widzisz, jak dobrze możemy się bawić, jeśli raz na jakiś czas urwiemy się szczeniakom?”.

Dobrze było trochę się zmęczyć. Josh widział, jak z ust bucha mu para. W ciągu ostatnich kilku dni liście pokrywał lśniący szron, a temperatura oscylowała w dość niskich rejestrach, wciąż jednak nie spadł ani gram prawdziwego śniegu – co za dziwaczna, sucha zima... Josh miał nadzieję na białe Boże Narodzenie, ale póki co wcale się na to nie zanosilo.

Po powrocie przywitał ich piszczący we frontowym oknie Oliver, rozczarowany, że nie zabrano go na tę wspaniałą wyprawę. Reszta szczeniaków siedziała w kojcu w sypialni, ale przybiegły do Josha, gdy tylko otworzył drzwi. Postawił drzewko w zwyczajowym miejscu i wyjął bombki i łańcuchy ze światełkami, które psiaki uznały za prezenty dla siebie. Sophie chciała pierwsza zapoznać się z zawartością wszystkich pudełek i zakręciło się jej w głowie od patrzenia na bombki zawieszane na choince tuż poza jej zasięgiem. Pieski atakowały girlandy i próbowały gryźć światełka. Gdy skończył, Josh objął wzrokiem całość i stwierdził, że drzewko wygląda komicznie – wszystkie ozdoby wisiały wysoko, by szczeniaki nie mogły ich dosięgnąć.

Nie po raz pierwszy stał i patrzył na swoje skończone dzieło, żałując, że nie ma do dyspozycji wszystkich tych starych ozdób i światełek z dzieciństwa. Zagięły, kiedy ojciec oddał to miejsce w dzierżawę. Nowe dekoracje to już nie było to samo. Przy kominku stał święty mikołaj, który prawie w niczym nie przypominał tego, który niegdyś rozpalał jego dziecięcą wyobraźnię. Obok świętego stał duży bałwan, który poruszał głową i przy wtórze jednostajnego, mechanicznego szmeru monotonicznie podnosił i opuszczał dłoń w rękawicze. Dawny bałwan wydawał z siebie inny dźwięk.

Tej nocy zasnął, powtarzając sobie w myślach plan jutrzejszej kolacji. Wszystko było przemyślane. Indyk z prawdziwym farszem. Chleb bananowy. Pieczone ziemniaki. Ciasto od Kerri. Wino od Wayne'a. Groszek w puszcze. Kukurydza w puszcze. Gruszki w puszcze.

Mama Josha zawsze podawała świąteczną ucztę około południa, tak jakby chciała mieć ją jak najszybciej za sobą, żeby wszyscy skupili się na przygotowaniach do Bożego Narodzenia. Josh skonsultował się z mądrością internetu i ustalił, że zaprosi wszystkich na szóstą. Jako pierwsi przyjechali Wayne i Leigh z córeczką, a Josh wyszedł im na spotkanie.

Wayne wysiadł z samochodu i uśmiechając się od ucha do ucha, rzucił do Josha piłkę do footballu, która poszybowała mu wysoko nad głową.

– Stary! – krzyknął, co miało zapewne oznaczać: „Łap!”. Piłka wpadła pod taras, gdzie, jak stwierdził Josh, miała pozostać przez najbliższe tysiąc lat.

Wayne przeczesał palcami swoje gęste blond włosy, które niepomnie jego nakazów, by posłusznie trzymać się z tyłu, spadały mu na oczy, co było jego znakiem rozpoznawczym nieodmiennie od czasów liceum. Niedbałe uczesanie symbolizowało życie Wayne'a, niezorganizowane, acz interesujące – od zawsze

wciągał swoich przyjaciół w jakieś nowe przedsięwzięcia biznesowe. W swoim czasie Josh miał udziały w jego restauracji, firmie dostarczającej wodę i sklepie z rowerami górskimi. W jakiś tajemniczy sposób Wayne nigdy nie wyglądał ani na splukanego, ani na odnoszącego sukcesy przedsiębiorcę. Po przeliczeniu wszystkich inwestycji Josha w pomysły przyjaciela, można było śmiało założyć, że zarobił na nich na indyka, który właśnie siedział w piekarniku.

Isabella miała pięć lat i planowała wejść w księżniczkowy biznes, gdy dorośnie. Włosy miała w odcieniu nieco jaśniejszym niż blond swojej rodzicielki. Obecnie były związane w kucyk za pomocą czerwonej wstążki znakomicie współgrającej z jej lśniącymi bucikami w stylu Dorotki z *Czarnoksiężnika z krainy Oz*. Błyszczące zielone oczy też odziedziczyła po Leigh – Josh często zastanawiał się, czy to przypadkiem nie instynkt samozachowawczy kazał Isabelli jeszcze w łonie matki wyrzec się jakichkolwiek związków z DNA ojca.

Leigh była ubrana w górskim stylu, na cebulkę. Miała na sobie prosty sweter, dżinsy i porządne buty o gumowych podeszwach. Josh nigdy nie widział jej w makijażu, ale przy tak niesamowitych oczach wcale go nie potrzebowała.

– Jak tam sprawy zawodowe? Wciąż jesteś splukany? – zapytał wesoło Wayne.

Leigh spojrzała na niego, kręcąc głową, a potem zwróciła się do Josha.

– Jest już? – Spojrzała ponad jego ramieniem w głąb domu. Prawie skakała rozgorączkowana.

Josh uściśnął ją i ucałował na powitanie, podczas gdy Wayne podniósł córkę jak walizkę.

– Nie ma jej jeszcze, przestań.

– Wyśmienicie. To możesz mi teraz wszystko opowiedzieć. Ze szczegółami – ponagliła z przejęciem Leigh, uśmiechając się zachęcająco od ucha do ucha.

– A co, jeśli nie ma żadnych szczegółów? Co jeśli po prostu poznaliśmy się i tyle? – zapytał Josh.

– Wykluczone – odparła Leigh. – Zawsze są jakieś szczegóły.

Gdy weszli do środka, szczenięta uznały Isabellę za dar zesłany im przez jakieś psie bóstwa. Piszcząc, opadła na kolana, gdy zaczęły się po niej wspinać, ciągnąc za jej czerwoną wstążkę i liżąc ją po twarzy. Jej chichotanie sprawiło, że cała trójka dorosłych rozpromieniła się.

– Choinka na Święto Dziękczynienia, klasyk – stwierdził Wayne, po czym odwrócił się do żony. – Rodzina Josha jako jedyna rozwieszała świąteczne lampki nazajutrz po wrześniowym Święcie Pracy i zdejmowała je... jakoś przed Wielkanocą? Dniem Niepodległości?

Josh zignorował go.

– To jest Lucy. Lucy, poznaj Leigh, Isabellę i ich pieska, Wayne'a.

Lucy podeszła do Wayne'a z lekką ostrożnością, ale już z Leigh przywitała

się na luzie.

- Chcę tego, tatusiu – zakomunikowała Isabella, przytulając Lolę.
- A nie mówiłem – Wayne rzucił znacząco do Leigh.
- Czeka nas naprawdę świetny wieczór – stwierdziła jego żona, zmieniając

temat.

Josh potrząsnął głową.

- **Przestań.**
- Przyjedzie zaraz?
- Przestań.

Wszyscy odwrócili się, gdy na podjeździe pojawił się samochód. Nawet psy podniosły głowy.

- To ona! – zawołała rozemocjonowana Leigh.
- Leigh, przestań się tak uśmiechać – ostrzegł ją Josh. – Po prostu zachowuj się normalnie, okej?

Jako pierwsza z wnętrza samochodu Kerri wyłoniła się jej noga. Dziewczyna miała na sobie czerwoną plisowaną spódnicę w szkocką kratę i obcisły biały sweterek. Josh musiał kazać sobie przestać się na nią gapić przez frontowe okno. Przywitał się z nią w drzwiach i wziął od niej ciasto. Przedstawił jej Leigh i Wayne'a, którzy nagle postanowili wyrzec się dorosłości i mentalnie wrócili do czasów liceum.

– Tak się cieszę, że mogę cię poznać! – zaświergotała Leigh, porywając Kerri w objęcia.

– Cze... cześć, ja też – odparła Kerri, śmiejąc się lekko. W żywych oczach Leigh pojawiły się radosne błyski, a Wayne aż pokazał Joshowi uniesione kciuki w geście aprobaty. Krzywiąc się na ten widok, Josh odciągnął od nich Kerri i zaprowadził do sofy, za którą na podłodze siedziała Isabella, bawiąc się ze szczeniakami.

– A to jest Isabella. Isabello, poznaj Kerri.

Dziewczynka wskazała na Lolę, która leżała na jej kolanach z błogim wyrazem pyszczka.

– To mój szczeniaczek.

Kerri usiadła przy Isabelli, po chwili dołączyła do nich również Leigh, a szczeniaki obsiadły całą trójkę, rozradowane na widok nowych gości.

- Pójdę po wino albo coś – wybąkał Josh. Wayne poszedł za nim do kuchni.
- Stary! – entuzjasmował się przyjaciel.
- Przestań.
- Ale serio.
- Ale przestań.
- Naprawdę niezły towar. O kurczę.
- Czy możemy o tym pogadać, kiedy nie będzie jej w zasięgu słuchu? I czy

z łaski swojej mógłbyś poprosić Leigh, żeby starła z twarzy ten uśmieszek?

– Nie mogę jej zmusić do niczego. Dlatego właśnie się z nią ożeniłem.

– Ożeniłeś się z nią, bo w promieniu sześciu stanów tylko ona zgodziła się z tobą chodzić. Proszę! Jeśli nie zaczniesz się zachowywać jak normalny człowiek, odeślę cię do domu ze szczeniakiem.

Do kuchni weszła Leigh z szerokim uśmiechem na twarzy.

– O Boże, ona jest fantastyczna – wyszeptała, jak dla Josha zbyt głośno.

– Mówisz o niej, jakby była jakimś swetrem, który wybrałem w sklepie – poskarżył się Josh.

– Bardzo ładnym swetrem. Zwłaszcza z przodu – wtrącił Wayne.

– A jak na ciebie patrzy! Ona cię uwielbia, Josh – rozpływała się Leigh.

– Hej! – zawołała Kerri, wchodząc do kuchni. Wszyscy odwrócili się i spojrzeli na nią. Zatrzymała się, wędrując spojrzeniem od jednego do drugiego.

– Tak, rozmawialiśmy o tobie – potwierdził Josh.

Gdy pojawiło się wino, atmosfera nieco się rozluźniła. Isabella stwierdziła, że pieski potrzebują kąpieli, więc Josh dał jej wilgotną szmatkę, rozbawiony widokiem siedzących nieruchomo Loli i Olivera, które dziewczynka poddawała zabiegom kosmetycznym, cicho sobie podśpiewując. Josh był zaskoczony, że Oliver nie zniescierpliwiał się i nie popędził na jedną ze swoich wypraw badawczych, ale wiedział, że Lola zniesie wszystko, byle tylko być w centrum ludzkiej uwagi. Pozostałe szczeniaki stwierdziły, że kąpiel nie należy do tradycji Święta Dziękczynienia.

Według Josha wszystko szło dobrze, wręcz idealnie. Gdy Wayne i Leigh otrząsnęli się już ze swoich zachwytów nad Kerri, zrobiło się bardzo przyjemnie. Pan domu pilnował indyka i pozostałych dań w kuchni, ale jak mniemał, przed sygnałem timera nie należało spodziewać się niczego nadzwyczajnego. Stał nad otwartym piekarnikiem, z którego płynęła fala smakowitych zapachów, gdy nagle u jego boku pojawiła się Kerri.

– Nie należy go otwierać podczas pieczenia – powiedziała.

– Naprawdę? – Nic takiego nie wyczytał w sieci.

– Boże, co za urocza dziewczynka. Czy jej rodzice nie wymieniliby jej na kilka szczeniaków? – zapytała.

– Raczej nie, ale myślę, że dałoby się namówić Leigh, żeby przehandlowała Wayne'a za kawałek ciasta.

Kuchnia Josha była mała i przytulna. A stała się jeszcze mniejsza i jeszcze bardziej przytulna, gdy Kerri stanęła tuż przy nim, uśmiechając się. Niemal nieświadomie objął ją w talii.

– Ty naprawdę nie masz pojęcia, jaki jesteś przystojny, prawda? – wyszeptała mu do ucha.

Rozległ się dźwięk telefonu, ale przez chwilę nie poruszyli się, wpatrzeni

w siebie. Nagle Josh wzdrygnął się na myśl, że to może być Ryan.

– Chcesz, żebym odebrała? – zapytała Kerri.

– Pewnie. – Josh przypomniał sobie mrozącą krew w żyłach wściekłość, z jaką Kerri zareagowała na jego telefon z pytaniem, czy schronisko nie przyjęłoby nowo narodzonych szczeniąt. Niech teraz Ryan zmierzy się z jej temperamentem.

– Czy mogę powiedzieć mu, kto dzwoni? – zapytała do słuchawki Kerri. Do kuchni przywędrował Wayne, wziął butelkę wina i napełnił swój kieliszek.

– Ładnie pachnie – ucieszył się, dodatkowo rozweselony za sprawą wina.

– Chwileczkę – powiedziała Kerri do słuchawki. Podała telefon Joshowi. – To Amanda – poinformowała go z pozbawionym wyrazu spojrzeniem.

– Och. Okej – odparł smętnie Josh. Zerknął na Wayne'a, ale ten stał jak wryty i zupełnie nie wyglądał na kogoś, u kogo można by szukać ratunku.

– Cześć – odezwał się Josh do słuchawki.

– Dzwonię, żeby życzyć ci wesołego Święta Dziękczynienia – brzmiały pierwsze słowa Amandy.

Josh poczuł ucisk w żołądku. Jej głos wciąż był taki sam: głęboki, wibrujący i seksowny. Obliznął usta.

– Wesołego Święta Dziękczynienia – wychrypiał w odpowiedzi.

– Kto odebrał? – dopytywała.

– Kto?...

– Ta kobieta, która odebrała telefon. Kto to? – spytała.

– Aaa. – Josh zakreślił się wokół własnej osi, zaplątując się w kabel telefonu.

– Nikt. Koleżanka.

Amanda w odpowiedzi rzuciła coś bez znaczenia, ale Josh jej nie słuchał. W jego głowie zaroilo się od panicznych, błagalnych łkań, bo wiedział, że bez względu na to, jak bardzo chciałby cofnąć swoje słowa, nie może tego zrobić.

– Nie sądziłam, że w czymś przeszkodzę – mówiła Amanda.

Gdy Josh uniósł wzrok, zobaczył, że został w kuchni sam z Wayne'em. Drzwi wejściowe wciąż kołysały się w zawiasach, a za nimi błysnęły wściekle czerwone światła cofania. Kerri właśnie wyjeżdżała z podwórka.

Mógł tylko bezradnie patrzeć, jak znika.



Całkiem możliwe, że podczas swojej krótkiej rozmowy z Amandą Josh powiedział coś inteligentnego i na miejscu. Gdy się rozłączył, pamiętał tylko, że poinformował ją, że są u niego Leigh i Wayne, i że zawołał Leigh do telefonu, wymieniając z Waynem grobowe spojrzenia. Zanim Leigh wzięła od niego słuchawkę, przeszła go bezlitosnym wzrokiem, po czym uśmiechnęła się, rozmawiając z Amandą, która była jej starą przyjaciółką.

Josh podszedł do drzwi wejściowych, ale zanim je zamknął, jego kostki owionął podmuch zimnego powietrza.

– Kurczę, stary – odezwał się w końcu Wayne, łącząc swoje dwa ulubione słowa w jedno posępne stwierdzenie. Zaczesał palcami włosy, które wchodziły mu do oczu.

– Co się stało? – zażądała wyjaśnień Leigh, gdy skończyła rozmawiać. – Co powiedziałaś?

Josh potrząsnął niemo głową. Usiadł na podłodze obok Isabelli, a na kolana wgramoliła mu się Lola. Leigh skupiła uwagę na mężu.

– Wayne?

Wayne zachowywał się, jakby przyłapano go właśnie na zjedzeniu ostatniego kawałka ciasta, i wystawił przed siebie dłonie w absurdalnie żalonym geście obrony.

– Hej, mnie nie pytaj.

– Co się dzieje?

– Zjedźmy już tę kolację – wybąkał Josh. Lucy, która zdawała się odczytywać jego nastrój, polizała go po twarzy. Leżąca na kolanach Josha Lola rozszalała się, próbując doskoczyć do pyszczki matki, by dać jej buziaka.

– Rozzłościł ją telefon Amandy? To chyba lekka przesada – zauważyła krytycznie Leigh. – Powiedziałeś jej o Amandzie, prawda?

– Oczywiście.

– Ale wszystko? O waszym związku i tak dalej – ciągnęła Leigh.

– Jasne, ja...

– Bo kobiety nie znoszą, kiedy ukrywa się przed nimi swoją przeszłość.

Josh usiłował zaprzeczyć.

– Nie, ja nie...

– Zwłaszcza były dziewczyny – dodała Leigh.
– Niczego nie ukrywałem! – wybuchnął udręczony.
– No to co zrobiłeś?
– Powiedział, że Kerri jest nikim istotnym, zwykłą koleżanką – nie wytrzymał Wayne. Josh posłał mu zabójcze spojrzenie, a przyjaciel ponownie uniósł dłonie. – Stary, ona zawsze wszystko ze mnie wydusi.

– Tak powiedziałaś? Och, Josh, czemu to zrobiłeś? – pytała błagalnie Leigh.
– Nie wiem, po prostu się zaciąłem. Nie rozmawiałem z Amandą, odkąd przeprowadziła się do tamtego gościa, a słysząc jej głos... Po prostu nie wiem.

Mimo że w internecie nigdzie o tym nie wspomniano, okazało się, że pieczenie chleba bananowego razem z indykiem nie było najlepszym pomysłem.

– Zupa bananowa – orzekł Wayne.

Jakby tego było mało, Josh najwidoczniej nie doczytał, że przed podgrzaniem w mikrofalach ziemniaki należy ponakłuwać – mógłby o sobie powiedzieć, że jest specjalistą od dań z mikrofalówki, gdyby właśnie nie doszło w niej do małej eksplozji, w wyniku której wspomniane warzywa zginęły śmiercią tragiczną.

Sos przypominał, jak poetycko ujął to Wayne, „wypluty tytoń do żucia”, a z indyka, o zgrozo!, po przekrojeniu wyciekł różowy sok.

– Przynajmniej ciasto będzie smaczne – westchnął smutno Josh.

– Jak na moje oko, piekarnik nie jest wystarczająco rozgrzany – zauważyła Leigh. – Przy ustawieniu na 180 stopni powinien być naprawdę gorący. Ile ma lat?

– Nie wiem. Był tu, gdy rodzice kupowali dom – odpowiedział Josh. – Mama cały czas w nim piekła.

– To zabrzmiało, jakby już nie żyła – zauważył Wayne.

Josh wzruszył ramionami.

– Po prostu go lubię.

– Stary, kto trzyma w domu pamiątkowe sprzęty kuchenne tylko dlatego, że używała ich jego **mamusia**? – naigrawał się Wayne.

Leigh posłała mężowi ostre spojrzenie, po którym natychmiast zamilkł. Błyskawicznie uratowała kolację: podgrzała w mikrofalówce pokrojonego indyka, zrobiła purée z wybuchających ziemniaków okraszonych masłem i podała warzywa z puszki – choć wszyscy i tak byli zgodni, że najlepsze ze wszystkiego było ciasto Kerri.

Isabella zasnęła na sofie, przytulając do piersi Lolę. Pozostałe szczeniaki spały zbite w gromadkę na poduszce Lucy, Sophie z małą gumową zabawką wystającą luźno z pyszczka. Lucy siedziała przy Joshu w salonie. Pili z Leigh kawę, natomiast Wayne został oddelegowany do mycia naczyń.

– Zmywasz, bo nie pomagałeś przy kolacji – oświeciła go Leigh.

– Hej, jak to nie pomagałem? – oburzył się Wayne, najwidoczniej uważając,

że kręcenie się po kuchni, podczas gdy Josh psuł świąteczny posiłek i przeganiał z domu atrakcyjne dziewczyny, liczyło się jako istotny wkład. Mimo to potulnie zrobił, co kazała mu żona, a to z tej prostej przyczyny, że na tym właśnie opierał się ich związek.

– Wiesz może, jakie kwiaty lubi? – zapytała Leigh.

– Kto?

– Jak to „kto”? Kerri. Nie posyłaj jej róż, tylko orchidee albo białe tulipany.

Róże są zbyt romantyczne, a ty chcesz przecież przeprosić, za to, że zachowałeś się jak palant, a nie sprawić wrażenie, jakby nic wielkiego się nie stało i miało być po staremu.

– Nie poślę jej kwiatów, wyszedłbym na kretyna – sprzeciwił się Josh.

W oczach Leigh pojawiło się współczucie.

– Wiesz, że pod całym tym pancerzem jesteś świetnym chłopakiem, prawda? Szkoda tylko, że nie jesteś bardziej towarzyski, to wszystko.

Josh zajął ręce poprawianiem polan w kominku. Lucy poderwała się, gdy zobaczyła, jak Josh podnosi kawałek drewna, by wrzucić go do ognia, ale rozczarowana brakiem zaproszenia do zabawy położyła się z powrotem, wzdychając z rezygnacją. Szczeniaki przebudziły się, kiedy kładła się obok nich. Powierciły się trochę i popiszczwały cicho, szukając wygodnej pozycji.

– Jestem prawie pewien, że psuję te garnki! – zawołał Wayne z kuchni, uderzając o siebie dwoma rondlami dla zademonstrowania swojej niezdarności.

– Świetnie ci idzie, kochanie – zapewniła go Leigh. Patrzyła badawczo na Josha, gdy ponownie przy niej usiadł.

– Muszę ci coś powiedzieć – zaczęła. Odczytała pytanie w jego spojrzeniu. – Nie, nie chodzi o spartaczenie sprawy z Kerri ani nic w tym guście. Chodzi o Amandę.

Josh zaczął się jej przyglądać.

– O Amandę? – zapytał w końcu.

– Wyznała mi, że nie jest szczęśliwa w nowym związku. – Leigh potrząsnęła głową. – Martwię się, jak na to zareagujesz. Nie powiedziała, że chce do ciebie wrócić czy coś. Wiesz, jaka ona jest, tak naprawdę sama nie wie, czego chce. Rany, to naprawdę w jej stylu tak zadzwonić ni z tego, ni z owego! Czasem żałuję, że w ogóle was zapoznałam. Chodzi o to, że... No wiesz. Niezbyt często wychodzisz do ludzi i czułam, że muszę coś zrobić. Ale okazuje się, że ona jest zwyczajną egoistką. Nie zdawałam sobie z tego sprawy. – Leigh wpatrywała się w twarz Josha swoimi niemożliwie zielonymi oczami. – W każdym razie chciałam, żebyś to wiedział. Nie jestem pewna, co zamierza zrobić. Ale teraz będziesz przygotowany, gdyby znowu zadzwoniła, kiedy będzie tu Kerri, i nie dasz ciała, mam nadzieję.

– Wkładam kieliszki do wina do zmywarki! – ostrzegał Wayne.

– Umyj je ręcznie! – zawołała Leigh w odpowiedzi, nie spuszczać wzroku

z Josha.

Wzruszył ramionami.

– Chciałaś powiedzieć: „jeśli” będzie tu Kerri. – Był prawie pewien, że dziewczyna już nigdy nie pojawi się w jego domu.

– Jesteście świetną parą. Polubiłam ją, Josh.

– Mogę cię o coś spytać? Wiedziałaś o Amandzie i tamtym gościu? To znaczy, czy wiedziałaś o nich wcześniej?

– Josh.

– Powiedziała ci?

– Nie wiem, nie pamiętam, Josh. Amanda nigdy o niczym mi nie mówiła. Wiedziała, jak bardzo zależy mi na twoim szczęściu. Jest moją przyjaciółką, ale zdawała sobie sprawę, że ciebie kocham bardziej.

– A więc powiedziałaabyś mi, gdybyś coś wcześniej wiedziała? – naciskał.

Leigh zajrzała mu w oczy.

– A chciałbyś, żebym to zrobiła?

Co za pytanie.

– Stary, prawie upuściłem tę szklaną misę! – krzyknął Wayne.

– Świetny chwyt, kochanie! – pochwaliła go Leigh.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Josh patrzył niewidzącym wzrokiem na Isabellę śpiącą na sofie z Lolą.

– A więc – odezwał się, odchrząkując – Amanda zastanawia się nad odejściem od niego?

– Josh. **Serio?**

Przygryzł wargę, uciekając wzrokiem. Leigh poklepała go po kolanie.

– Orchidee. Tulipany. Nie róże.

Wayne zdołał uprzątnąć kuchnię bez uszczerbku na wyposażeniu, choć zanim skończył, jeszcze kilkakrotnie złowieszczo to przepowiedział.

– W kuchni wszystko ogarnięte, z wyjątkiem indyka. Mam go włożyć do lodówki czy zadzwonić po ekipę od usuwania materiałów niebezpiecznych? – zapytał, wchodząc do salonu z ręcznikiem w dłoniach.

Josh zadeklarował, że zajmie się resztą prac. Wayne podniósł śpiącą Isabellę, a Josh równie śpiącą Lolę, które zawisły im bezwładnie w ramionach. Josh trzymał małą przy piersi, stojąc w oknie i machając na pożegnanie odjeżdżającym przyjaciółom. Ogarnął go niewytłumaczalny smutek.

W niedzielę obudził się, rozmyślając o wszystkim, co powiedziała Leigh. „Amanda nie jest szczęśliwa w nowym związku”. Z plastikowej skrzynki schowanej w szafie w sypialni rodziców wyjął jej zdjęcie zrobione podczas wycieczki na Kauai, którą zafundował jej na urodziny. Wtedy była szczęśliwa w związku. Oboje byli szczęśliwi.

„Szkoda tylko, że nie jesteś bardziej towarzyski. Pod całym tym pancerzem

jesteś świetnym chłopakiem”.

– Pod pancerzem... – szepnął Josh.

Szczeniaki wszczęły awanturę, więc wrócił, żeby wypuścić je na dwór. To był kolejny dziwny, zimowy dzień, mroźny, ale tak suchy, że aż szczypała skóra. Pieski nie miały pojęcia, dlaczego każdego ranka po przebudzeniu wynosi się je na zimne podwórko za domem, jeszcze niezdolne skojarzyć faktu załatwiania potrzeb fizjologicznych z przebywaniem na świeżym powietrzu, choć zadziwiająco często obie te czynności miały miejsce jednocześnie. Oliver zazwyczaj rzucał się w kierunku drzew, pragnąc podbijać nowe światy, a Sophie znajdowała kolejny patyk do swojej kolekcji zabawek, choć nigdy nie wyglądała na przejętą, gdy Josh delikatnie wyjmował go jej z pyszczka, zanim zagonił ją z powrotem do środka.

Inne po prostu czekały, aż Josh da im jakąś wskazówkę, o co chodzi. Właściwie wyglądało na to, że chciały, by opiekun o wszystkim za nie decydował. Lucy była ich mamusią, a on tatusiem. Biegły do niego, gdy przyklękał, szukały dotyku jego dłoni. Uwielbiał podnosić je i całować w ich małe noski. Nigdy wcześniej o tym nie myślał, ale teraz musiał przyznać: psy **kochają** człowieka. Nawet przez myśl by im nie przeszło szukanie „nowego związku”. Nigdy nie mówiły o człowieku „dzieciak” z obsesją na punkcie przeszłości, zachowując się tak, jakby to była jego wina, że poznały w pracy jakiegoś faceta i postanowiły zamieszkać z nim w Fort Collins.

Lucy bawiła się ze szczeniakami, trącając je nosem, ale dusiła w zarodku każdą próbę przedostania się do sutka, które wydawały się gwałtownie kurczyć. Josh chichotał, gdy szczeniaki się przewracały, i ze zdumieniem kręcił głową, widząc, jak zręcznie Rufus nakierowuje Cody’ego z powrotem do stadka, gdy ten zbytnio się oddalał.

To było właśnie to, to było coś, czego mógł się trzymać: szczęście, jakiego doznawał w otoczeniu swojej psiej rodziny. Amanda nawiedzała go jak duch, zaprzepaścił wszystkie szanse na związek z Kerri, ale gdy przyglądał się swoim psom, nagle wszystko było w porządku.

„Szkoda tylko, że nie jesteś bardziej towarzyski”. Leigh miała rację. Musi wreszcie wyściubić nos ze swojej nory.

U stóp wzgórza był mały staw, gdzie dzieciaki z okolicy jeździły w zimie na łyżwach, a latem te młodsze i bardziej optymistycznie nastrojone nawet wędkowały. Josh włożył szczeniaki do drewnianej skrzynki, zapakował je i Lucy na przednie siedzenie furgonetki i pojechał nad staw, by sprawdzić, czy jego maluchy będą miały tam jakąś widownię.

Dzień był tak pogodny, że słońce aż szczypało w oczy. Josh zaparkował przy dwóch samochodach stojących na poboczu przy zamarzniętym stawie, ale zmienił plany, gdy pomyślał, jak zareagowałiby dorośli, gdyby podszedł do dzieci i powiedział im, że ma w furgonetce szczeniaki. Podniósł skrzynkę i zdumiony

tym, jak jego podopieczni przybrali na wadze, poszedł w kierunku ślizgających się na lodzie dzieci. Tylko jedno z sześciorga miało łyżwy – mała dziewczynka w śmiesznym olimpijskim wdzianku, która na środku tafli marszczyła brwi, koncentrując się na próbie piruetu. Na prymitywnej drewnianej ławeczce przy brzegu stawu siedziało dwóch mężczyzn. Rozmawiali, a nieopodal garstka chłopców kopała między sobą plastikowy krążek, grając w coś między futbolem a hokejem.

Dyszząc ciężko, Josh podszedł ze szczeniakami do mężczyzn. Lucy była trochę niespokojna i podskakiwała, by zajrzeć do skrzynki, w której gromadka jej dzieci kołysała się w rytm kroków Josha, próbując wspiąć się na siebie nawzajem i zobaczyć, dokąd też idą.

Mężczyźni posłali Joshowi zaintrygowane spojrzenia.

– Mam tu parę szczeniaków – powiedział niezręcznie na powitanie. – Pomyślałem sobie, że dzieciaki chętnie je zobaczą. Trzeba socjalizować pieski od małego, oswajając je z ludźmi.

Mężczyźni wstali i zajrzeli do skrzynki. Obaj byli wyżsi i tężsi od Josha, obaj mieli ciemne włosy, a spod ich burych kurtek wystawały koszule w kratę. Josh zastanawiał się, czy są braćmi.

– W porządku – burknął jeden z nich, gdy wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Hej, chcecie zobaczyć szczeniaki? – zawołał Josh do dzieciaków. Chłopcy porzucili grę i popędzili na brzeg. Na oko wszyscy mieli od ośmiu do dziesięciu lat, a ich nosy zaczerwieniły się z zimna. Zbili się w grupę i wyhamowali na lodzie naprzeciwko Josha.

– Patrzcie! – zawołał jeden z nich.

Podbudowany Josh wszedł na lód i postawił na nim skrzynkę, przechylając ją na jedną stronę. Szczeniaki wylały się z niej jak mała psia fala.

– Można je podnieść? – zapytał jeden z chłopców.

– Tak, tylko ostrożnie – zgodził się Josh.

Chłopiec przyklęknął obok piesków, a Sophie natychmiast złapała zębami jego szalik – nowa zabawka! – i go ściągnęła. Rzuciła się do ucieczki ze swoją zdobyczą, ale łapki rozjechały się jej na śliskim lodzie. Oliver dreptał tuż za nią, ale żadne ze szceniąt nie było w stanie złapać równowagi. Sophie próbowała zmienić kierunek, ale natychmiast upadła, a kiedy Oliver złapał brzeg szalika, siła pędu sprawiła, że zrobił piękny piruet na lodzie.

Do grupki podjechała dziewczynka w olimpijskim wdzianku.

– Uważaj z łyżwami, skarbie – powiedział jej Josh. Rozwiązała problem, przyklękając na lodzie i tak zbliżyła się do Loli, którą podniosła i przytuliła sobie do piersi jak niemowlę.

Siedzący na ławce ojcowie widocznie nie mogli oprzeć się pokusie i również

przyszli pobawić się z pieskami. Josh rzucił Lucy plastikowy krążek, a ona próbowała pognać za nim jak postać rodem z kreskówki, która przebiera bezowocnie łapami na lodzie, nie posuwając się do przodu ani o milimetr. Nabrała jednak rozpędu i wyleciała jak z procy, wbijając pazury w krążek, ale ostatecznie łapy się jej rozjechały i wylądowała na brzuchu. Sophie też pobiegła za krążkiem, choć nie była wystarczająco szybka, by pozbawić mamę jej zdobyczy.

Tymczasem chłopcy wymyślili zabawę, w której ślizgali się wokół stawu, trzymając się jeden drugiego, a szczeniaki rozjeżdżały się i kręciły piruety, starając się dogonić dzieci. Również przyszła olimpijka zdjęła łyżwy i przyłączyła się do zabawy, chichocząc razem z chłopcami.

– Niezła mieszanka ras – odezwał się jeden z ojców – Z beagle'em?

– Nie wiadomo. Może mieszanka labradora, boksera i akity. Porzucone tuż po urodzeniu, więc nigdy się tego nie dowiemy, chyba że zrobimy badania DNA – wyjaśnił Josh.

– Są na sprzedaż?

– Och – wybąkał Josh. – Nie, eee... To po prostu moje szczeniaki.

Mężczyzna spojrzał na niego dziwnie, ale nic nie powiedział.

Gdy Josh zauważył, że pieski dość opieszale podnoszą się po wyjątkowo spektakularnym upadku, stwierdził, że są już zmęczone i pora wracać do domu. Dzieciaki wybłagały jeszcze pięć minut zabawy – to nie były jego dzieci, więc darował sobie naukę o pułapkach związanych z natychmiastowym spełnianiem każdej zachcianki.

W drodze powrotnej śpiewał szczeniakom *Jingle Bells*, co szybko je uspiło. Wjechał na miejsce postojowe przed domem, nieco zaskoczony widokiem znajomego samochodu na podjeździe i osoby, która w nim siedziała, nie wyłączwszy silnika.

Kerri.



Josh otworzył drzwi furgonetki, a wtedy Lucy przeskoczyła przez jego kolana i pobiegła na powitanie Kerri, która także wychodziła już z samochodu. Dziewczyny przywitały się, po czym suczka udała się na podwórkowy patrol. Josh wysiadł z furgonetki, zostawiając śpiące szczeniaki w skrzynce na podłodze przed przednim siedzeniem.

– Cześć – ostrożnie przywitał się Josh, a w mroźnym powietrzu jego oddech natychmiast zamienił się w parę.

– Słuchaj, Josh, przepraszam cię. Przesadziłam wtedy. To było takie niegrzeczne i takie... takie... Nie wiem, czemu to zrobiłam – kajała się Kerri. – Musiałam ci to powiedzieć osobiście.

Josh zrobił krok w przód.

– W porządku – odparł życzliwym tonem, ale gdy zrobił w jej kierunku kolejny krok, ona się cofnęła.

– Nic, co zrobiłeś, co oboje zrobiliśmy, nie świadczy o tym, że między nami coś jest – ciągnęła z brutalną rzeczowością.

– Kerri...

– W każdym razie dzięki za kwiaty. Naprawdę nic złego nie zrobiłeś. To moje zachowanie było nie na miejscu. – Oczy dziewczyny zadawały kłam jej słowom. Posłała mu zranione i dość gniewne spojrzenie.

– Chodzi po prostu o to, że od kiedy odeszła, ani razu nie zadzwoniła i... – zaczął tłumaczyć się Josh.

– Och, nie rozmawiajmy o Amandzie, dobrze?

Spojrzał na nią, szukając w jej spojrzeniu i wyrazie twarzy łagodności, której jednak nie znalazł. Wydawało się, że nic nie było w stanie naprawić sytuacji.

– Tak czy siak... – odezwała się Kerri.

– Może wejdiesz?

– Nie. Przyjechałam, żeby przeprosić, to wszystko. A, i podzielić się dobrą nowiną.

– Dobrą nowiną... – powtórzył bezmyślnie Josh.

– Przyszło mnóstwo podań o adopcję szczeniaków i zdążyliśmy już kilka pozytywnie zaopiniować. To naprawdę pomaga, bo ludzie rejestrujący się na naszej stronie mają też okazję zobaczyć inne psy, nawet jeśli z początku myślą, że chcą

wyłącznie szczeniaka. Dziś niedziela, więc co powiesz na to, żeby przywieźć je do nas w środę? – Posłała mu sondujące spojrzenie. – O co chodzi, Josh?

Jak ona to robiła? Myślał, że ma całkowicie beznamiętny wyraz twarzy, jednak ona zauważyła, że coś go trapi.

– Muszę zabrać szczeniaki do środka – odpowiedział wymijająco. – W furgonetce zaraz zrobi się zimno.

Weszła za nim do domu, ale została w salonie, gdy zaniósł małe do kojca. Lucy leżała zwinięta na swojej poduszce przy kominku. Gdy Josh wrócił, Kerri stała ze skrzyżowanymi ramionami.

– Kawy, herbaty?... – próbował uniknąć tematu.

– Czego tak bardzo nie chcesz mi powiedzieć?

– Nie zrobię tego.

– Słucham?

– Nie oddam szczeniaków.

– Och – szepnęła po chwili. W głosie Kerri było słycać lekkie współczucie, więc spojrzał na nią nieco podniesiony na duchu, że kamienny wyraz twarzy dziewczyny nieco złagodniał. – Wiem, że to trudne. Ale nie możesz być stałym domem tymczasowym dla całego miotu szceniąt. W dodatku to nielegalne.

– Stałym domem tymczasowym?... Mówisz tak, jakby to było coś złego.

– Jeśli w grę wchodzi sześć psów, to tak jest.

– Sześć?

– Pięć szczeniaków plus Lucy.

– Och. Racja. – Z jakiegoś powodu nie przyszło mu do głowy, żeby wliczyć też najstarszą suczkę.

Kerri usiadła w fotelu Josha, zrzucając z siebie kurtkę. Josh przysiadł na sofie i również zdjął wierzchnie okrycie, starając się ukryć przed nią, ile radości sprawił mu jej gest, jak bardzo mu ulżyło na myśl o tym, że nie wypadnie z jego domu jak błyskawica.

– Rozumiem, że to musi być dla ciebie bardzo trudne – powiedziała współczująco.

Te słowa niezbyt mu się spodobały. Tak mu powtarzano po nagłej wyprowadzce matki, co w końcu doprowadziło Josha do wniosku, że ludzie nie mają tak naprawdę zielonego pojęcia, co czuje.

– Nigdy wcześniej nie miałeś psa, więc nie musiałeś przez nic takiego przechodzić – ciągnęła.

– Okej, a więc już ustaliliśmy, dlaczego nie mam o niczym pojęcia.

Zamrugnęła, słysząc jego ton.

– Josh, nie to miałam na myśli. Mówiłam o pożegnaniach. Kiedy przygarniasz zwierzaka, musisz mieć świadomość, że kiedyś jego strata złamie ci serce. Psy są z nami tak krótko... To nasi najlepsi przyjaciele, ale są z nami tylko

dekadę, może półtorej, a potem odchodzą. O tym mówię. Ich strata jest nieuchronna i musimy pogodzić się z nią. Ale posłuchaj, naprawdę wierzę, że jedna z lekcji płynących z ich głębokiej miłości, gdy są przy nas, jest taka, żeby cieszyć się życiem, póki trwa, i że wszystko kiedyś się kończy, a my musimy wtedy rozpoczynać nowy rozdział. Ale póki tu jesteśmy, powinniśmy nie marnować ani chwili. Słuchaj, moja mama spędziła pół życia nieprzytomna. Co to za wegetacja? – Oczy Kerri nabiegły łzami, które pospiesznie otarła. – A kiedy je tracimy, kiedy odchodzą, naprawdę wierzę, że ich ostatnim życzeniem jest, żebyśmy przygarnęli kolejnego psiaka.

Dziewczyna potrzebowała zaczerpnąć kilka głębokich oddechów. Josh wiedział, że to ważny moment ich relacji i że on również powinien czymś się z nią podzielić, ale zajrzawszy w głąb siebie, zobaczył tylko chłód i dystans. Nie był w stanie przejść obojętnie wobec faktu, że Kerri starała się go skłonić do oddania szczeniaków.

– Nie rozumiem, o czym mówisz – odpowiedział w końcu.

– Chcę chyba powiedzieć, że nie możesz ich zatrzymać, bo... no cóż, bo **nie możesz**. Nikt nie może, nie tak długo, jak byśmy tego chcieli. I musimy cieszyć się nimi, dopóki możemy, a potem trzeba iść dalej. Tego właśnie uczą nas psy, że trzeba żyć tu i teraz, a potem zacząć kolejną piękną przygodę.

– Mówisz tak wszystkim? Na przykład opiekunom tymczasowym, którzy nie potrafią rozstać się z psami?

– Coś w tym stylu – przyznała Kerri z lekkim uśmiechem.

– Całkiem niezła mowa.

– Dzięki. Dodaję jeszcze, że pracuję w schronisku głównie ze względu na zwierzęta, ale jest też coś wspianiałego w sprawianiu radości ludziom, którzy wychodzą od nas z nowym przyjacielem. W schronisku zwierzęta są takie zagubione, a gdy podaruje się im nowy dom, ich wdzięczność jest bezgraniczna. Chciałabym, żebyś i ty tego doświadczył.

– Ale w moim przypadku było inaczej. Szczeniaki zostały mi podrzucone. Pudło wylądowało na pace mojej furgonetki – zaoponował.

– Tak, ale Josh, aż sześć psów? Daj spokój. Już jeden szczeniak to dużo pracy. Wyobraź sobie, ile wysiłku kosztowałaby opieka nad całym miotem. Nie wystarcza ci, że będziesz miał Lucy?

– Nie – odparł krótko. Usłyszawszy swoje imię, suczka podniosła głowę, po czym położyła ją z powrotem, bacznie przyglądając się Joshowi, zupełnie jakby wiedziała, jakie emocje nim targają.

– W takim razie zatrzymaj jednego. Dwa psy to dużo, ale do ogarnięcia – przekonywała Kerri. – Będziesz miał mamusię i jej maleństwo.

– Miałbym rozdzielać rodzinę? A może mam wybrać sobie ulubieńca, tak jak moja mama wybrała moją siostrę, kiedy odchodziła? A potem ojciec nagle

oznajmił mi, że jest sekretnie zaręczony z jakąś kobietą z Londynu. Fajnie? – odparował gorzko Josh.

Kerri uniosła ramiona, jakby chciała podejść i go objąć, ale nie poruszyła się.

– Nie wiedziałam.

– To teraz już wiesz. – Josh odwrócił wzrok.

– A więc jaka decyzja? Nie pozwolą ci zatrzymać więcej niż trzy psy, takie jest prawo.

– W takim razie nie wiem, co zrobię – przyznał. Był już zmęczony tymi rozważaniami.

Kerri wstała.

– Czas na mnie.

Odprowadził ją do samochodu. Lucy wypadła z domu, jakby nigdy nie była wypuszczana na podwórko. Merdając zamasyście ogonem, zaczęła obwąchiwać zmarzniętą ziemię.

– No to... – Kerri westchnęła. Josh poczuł barierę między nimi, więc gdy się do niego odwróciła, zatrzymał się kilka kroków przed nią.

– Wesołych świąt, Josh.

– Wesołych świąt – powtórzył drętwo.

– Nie... nie dzwoń do mnie, dobrze? Ja wszystko rozumiem, rozumiem, dlaczego jesteś, jaki jesteś, ale dla własnego dobra chcę się trzymać z dala od ciebie. – Niespodziewanie po policzkach popłynęły jej łzy.

– Kerri...

– Nie, Josh. Mówię poważnie. Żegnaj.

Kerri wślizgnęła się do samochodu, a Josh stał i patrzył, jak odjeżdża. Lucy podeszła do niego z patykiem w zębach, upuszczając go u jego stóp jak podarunek, najwidoczniej starając się go rozweselić.

Wrócił do środka, wiedząc, że przez następne tygodnie, a może nawet miesiące w jego sercu będzie gościła ta sama pustka, jaką odczuwał po odejściu Amandy. Poczucie, że ktoś, kto zajmował w nim należne miejsce, właśnie zniknął z jego życia.

Reszta listopada upłynęła pod znakiem szarych chmur pasujących do nastroju Josha. Zabrał Lucy na kilka spacerów, bawił się ze szczeniakami i oglądał filmy o Bożym Narodzeniu. Narobił zaległości w nauce. Pozwolił, by w kuchennym zlewie zgromadziła się sarta niepozmywanych naczyń. Nie odpowiadał na SMS-y od Wayne'a. Obojętnie patrzył, jak nadchodzi grudzień.

Pewnego ranka, gdy siedział przy komputerze, na ekranie wyskoczyło okienko z prośbą o telekonferencję. Zaakceptował ją i znalazł się twarzą w twarz z jednym ze swoich byłych współpracowników przy projekcie kierowanym przez Blascoe. Był to kolega, do którego zawsze zwracano się po nazwisku: Quincy. Wyglądem bardzo przypominał Josha: krótkie czarne włosy i ciemne oczy, choć

był od niego dużo tęższy, a to dlatego, że jak sam przyznawał, „zbyt często gościł w burgerowniach”.

– Słyszałeś? – zapytał Quincy na powitanie.

– Nie, kompletnie wypadłem z obiegu. Co jest?

– Klient **nie cierpi** nowego interfejsu. Ma jakieś sześć poziomów menu zagnieżdżonego. – Quincy wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Serio? – Jeśli Blascoe zwali całą winę na Josha, odbudowanie tak nadszarpniętej reputacji zajmie mu bardzo dużo czasu.

– Znasz Balscoe. Wciąż dodaje nowe rzeczy. Mogę przysiąc, że nie śpi po nocach, wymyślając nowe sposoby na schrzanienie projektu. No więc mieliśmy to wielkie spotkanie kryzysowe i zgadnij co. Nagle Suni mówi: „Potrzebujemy Josha Michaela”.

Suni Ohayashi był człowiekiem numer dwa przy projekcie. Josh poczuł małoszkową satysfakcję, że wyszło na jego.

– Blascoe patrzy na niego i odpowiada... – Quincy zniżył podbródek i odezwał się monotonnym, burkliwym głosem Blascoe: – Nie ma takiej opcji.

– Ha. – Josh skinął głową.

– Co zrobiłeś, że tak wkurzyłeś Blascoeida?

Josh wzruszył ramionami.

– Żebym to ja wiedział. Czytałeś mój raport?

Quincy pokręcił głową.

– Nie, zniknął, kiedy Blascoe usunął cię z projektu.

– Mógł oszczędzić wszystkim zgryzoty.

– Całkowicie cię rozumiem. Może Suni przycisnie go, żeby przyjął cię z powrotem.

– Nie liczyłbym na to.

– No tak. – Quincy odchrząknął. – Masz już coś nagranego?

– Nie. Idą święta, niewiele się dzieje.

– Wszystko w porządku? To znaczy, jak sobie radzisz bez pracy? – Quincy zrobił cierpiętniczy grymas, jakby bał się, że Josh zacznie mówić o **uczuciach**.

Kątem oka Josh zauważył jakiś ruch. To szczeniaki stwierdziły, że muszą zwinąć chodnik w salonie. Chwyciły w zęby jego brzég i każde zaczęło ciągnąć w swoją stronę, warcząc na pozostałe.

– Wszystko świetnie – odpowiedział Josh bez cienia ironii.

Kilka dni później na jego podjazd wtoczył się olbrzymi SUV, uginając się na sprężynach.

Josh wyjrzał przez okno i rozpoznał jednego z ojców z lodowiska na stawie, a kiedy otworzyły się tylne drzwi, z samochodu wyskoczył jeden z chłopców-hokeistów i dziewczynka, która miała wtedy na sobie strój tancerki na lodzie.

– Czy moglibyśmy zobaczyć szczeniaki? – poprosiła. Wyglądała, jakby cały ranek spędziła na tuningu w warsztacie słodczy i uroku: miała jasnobrażowe kędziorki, wielkie brązowe oczy i policzki zarumienione od zimna i podekscytowania. Jej brat, o kilka lat starszy i dwa razy większy od niej, był na dobrej drodze, by kiedyś dorównać posturą ojcu. Obaj byli potężnie zbudowani. U seniora było znać muskulaturę, podczas gdy atletyczny potencjał juniora potrzebował kilku lat treningów, żeby w pełni się uwidocznic.

Tak uroczej dziewczynce Josh nie mógł odmówić, nawet gdyby przyjechała prosić go o spalenie domu. Wyniósł szczeniaki, które gdy tylko spostrzegły dzieci, w mgnieniu oka rozbudziły się i ni stąd, ni zowąd zaczęła rozpierać je energia.

Dziewczynka miała na imię Juliet, chłopiec Chuck, a ich ojciec Matt. Gdy Josh uściskał jego dłoń, poczuł, że jest splekana i szorstka, ale przy tym mężczyzna miał śnieżnobiały uśmiech, który kontrastował z jego skórą – niczym u kowboja z telewizyjnej reklamy.

Szczeniaki bawiły się i tarzały po ziemi. Cody wziął przykład z Rufusa i chwycił ząbkami palec rękawiczki Chucka, zajadle nią szarpiąc przy akompaniamencie prób powarkiwnia. Chuck rzucił na ziemię gumową piłeczkę – uradowana Sophie skoczyła za nią, a następnie pochwyciła ją w zęby i uciekła ze swoją zdobyczą. Dla małej suczki najfajniejsze w nowych zabawkach było to, że były nowe.

Szczeniaki zakochały się w dzieciakach – nie trzeba było się dłużej martwić sprawą ich socjalizacji – ale to Lola zdawała się najbardziej urzeczona małą Juliet. Wspinała się na dziewczynkę i lizała ją, dopóki ta nie zaczęła chichotać.

– Juliet bez przerwy mówi tylko o małym brązowym piesku z krótkimi uszami – powiedział Matt, dziękując za kawę. Josh już wiedział, co się święci. – Pomyślałem sobie, że może zgodzi się pan mi ją sprzedać. Mieliliśmy już psa, a kiedy Juliet na coś się uprze... – Matt uśmiechnął się do niego wymownie, błyskając oślepiającą bielą zębów.

– Nie wiem... – odparł zakłopotany Josh.

Matt wyczuł jego obiekcje, więc nie naciskał. Siedzieli jeszcze godzinę w salonie, przyglądając się zabawie dzieci i szczeniaków. Chuck położył się na podłodze, pozwalając pieskom wspinać się na siebie jak Guliwer obłączony przez liliputy, ale dla Juliet istniała tylko Lola: wpatrywały się w siebie nawzajem jak w obrazek. Gdy Lola zasnęła w końcu w objęciach dziewczynki, ze swoimi czterema łapkami zawieszonymi luźno w powietrzu wyglądała jak ludzkie niemowlę, natomiast na twarzy Juliet malowała się czysta rozkosz.

Jednak gdy Matt oznajmił, że pora wracać do domu, oddała Lolę bez słowa skargi. Josh wyczuł, że w tej rodzinie dzieci posłusznie wykonywały polecenia ojca.

Matt dał Joshowi wizytówkę z numerem telefonu, na której było napisane, że

jest mechanikiem.

– Na wypadek gdyby zmienił pan zdanie. Wesołych świąt – pożegnał się.

Uśmiechając się, Juliet zamachała do Josha z tylnego siedzenia odjeżdżającego SUV-a. Być może w środku umierała z rozczarowania, ale jej twarz nie wyrażała niczego poza wdzięcznością za te kilka chwil z Lolą.

Kerri powiedziałaaby pewnie, że dziewczynka umie cieszyć się życiem, a kiedy trzeba – idzie dalej. Nauka płynąca od piesków...

Gdy Josh zadzwonił do schroniska, Kerri nie mogła podejść do telefonu, więc zostawił jej wiadomość. Następnym razem włączyła się automatyczna sekretarka, mimo że zadzwonił w godzinach pracy schroniska. Wyobraził sobie, że Kerri jest sama, a rozpoznając na wyświetlaczu jego numer telefonu, postanawia nie odbierać.

Witrynę schroniska udekorowano amatorskimi, ale uroczymi malowanymi bałwanami i ostrokrzewem. Josh zajrzał do środka, ale w recepcji nikogo nie było. Otworzył drzwi i usłyszał znajomy dźwięk dzwonka.

Kerri wyszła z zaplecza i zobaczywszy go, momentalnie posmutniała.

– Josh – powiedziała. Nie mógł znieść, jak jego imię brzmi w jej ustach. Zupełnie jakby zostawiało w nich gorzki posmak.

– Cześć, Kerri.

Przez chwilę stali i patrzyli na siebie. Zakłopotana Kerri uniosła lekko ramiona.

– Poznałem pewną małą dziewczynkę o imieniu Juliet. Chcę, żeby jej rodzina dostała Lolę. Powiedziałaś, że możecie zająć się adopcją.



16

Kerri wpatrywała się w niego przez dłuższą chwilę skonsternowana. „Co jeszcze? – chciał krzyknąć do niej Josh. – Co jeszcze mam zrobić?”

– Właśnie segreguję dary, chcesz mi pomóc? – zapytała, rozładowując nieco napiętą atmosferę. Josh skinął niemo głową i poszedł za nią na zaplecze, gdzie stało kilka otwartych kartonowych pudeł. Kerri poinstruowała go, gdzie odkładać poszczególne rzeczy: karmę w puszkach, karmę w workach, zabawki – „tylko te nowe, nie stare i ohydnie wymiętoszone, które ludzie nam podrzucają z myślą, że będziemy tym zachwyceni”. Josh schylił się i wyjął z pudła coś, co wyglądało jak kostium footballisty dla pieska chihuahua w komplecie z ochraniaczami na ramiona i kaskiem.

– Za to też dziękujemy – powiedziała Kerri.

Josh wrzucił kostium na stertę śmieci. Podobało mu się, że są zajęci tym prostym zadaniem i nie muszą rozmawiać o trudnych rzeczach, choć po dłuższej chwili pracy w milczeniu złapał się na tym, że zerka ukradkiem na Kerri, która tego dnia miała na sobie obcisłe džinsy, a długie brązowe włosy spadły jej na twarz, gdy pochyliła się, by przeczytać etykietę na worku karmy. Ostatecznie stwierdziła, że karma się nadaje.

– Powiedz, co sprawiło, że zmieniłeś zdanie – rzekła, odkładając worek na półkę.

– Odwiedziny małej dziewczynki.

– To wszystko?

– I widok jej razem z Lolą. Było tak, jak w twojej mowie o adopcji.

– Chcesz powiedzieć, że miałam rację? – powiedziała lekko dokuczliwym tonem.

– Staram się tego nie przyznać.

– Ach. Faceci.

– No i może to zabrzmie głupio, ale Lola też tego chce.

Kerri uśmiechnęła się do niego.

– A „czego pragnie Lola”... – pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Słucham?

– Nie znasz tego? To z piosenki. – Kerri zaśpiewała krótki fragment, czekając, aż Josh rozpozna utwór.

– Hmm... *My Fair Lady*?
– *My Fair Lady* – zaśmiała się Kerri. – Damn Yankees, pustelniku z górskiej chatki.

– No cóż, przynajmniej wiedziałem, że to z jakiegoś filmu.

Uśmiechnęła się.

– Ta piosenka chodzi mi po głowie, odkąd postanowiłeś nazwać Lolę Lolą.

– A ja podśpiewuję *Renifer potrącił babcię*.

To ją rozśmieszyło.

– W każdym razie... – zaczęła Kerri. – Posłuchaj, szczeniaki są twoje, ale u nas mamy specjalną procedurę, dzięki której upewniamy się, że psy trafią w dobre ręce. Wiele osób daje psy w prezencie świątecznym, co nam się podoba, bo schroniska pustoszeją, i co jednocześnie nam się bardzo nie podoba, bo niektórzy sądzą, że wychowywanie szczeniaka to bułka z masłem.

Josh skinął głową.

– Tak, niektórzy tacy są.

– No właśnie – potwierdziła Kerri z kamienną twarzą. – A więc czy mamy przyjmować takie świąteczne aplikacje o twoje szczeniaki? Chcę dopilnować, żeby wszystkie maluchy trafiły do dobrych domów.

– Pewnie – przytaknął Josh, przemilczając kwestię „wszystkich” szceniąt. Klękając, sięgnął do pudła z czymś, co przypominało sześciocalowe suszone skóry węży, ale było twarde i sztywne.

– Co to takiego?

– Tchawice bizonów – odpowiedziała zwięźle Kerri.

Josh natychmiast wrzucił je z powrotem do pudła.

– Ohyda.

– Starsze psy za nimi przepadają. Hej, Josh?

Spojrzał na nią. Jej niebieskie oczy miały poważny wyraz.

– Tak?

– Nie sądziłam, że jeszcze kiedyś cię zobaczę.

– No tak. Kazałaś mi nie dzwonić.

– Ale naprawdę się cieszę, że cię widzę. Nic na to nie poradzę.

Była na drugim końcu pomieszczenia i Josh nie wiedział, jak się do niej szybko przedostać, skacząc na równe nogi i pokonując wszystkie te przeszkody w postaci pootwieranych pudeł.

– Ja też – powiedział w końcu w słabym zastępstwie.

– Tak naprawdę to sama miałam do ciebie zadzwonić – powiedziała.

To mu się spodobało.

– Serio?

Zaczęła mu się bacznie przyglądać.

– Tak, ponieważ znaleźliśmy dom dla Cody’ego.

– Och.

– Zgłosiła się do nas pewna rodzina, ich suczka straciła wzrok, gdy miała sześć miesięcy, i jakiś rok temu odeszła w wieku czternastu lat. Wiedzą wszystko o życiu z niewidomym psem, wiedzą, jak się nim opiekować. Mają w tym wieloletnie doświadczenie i postanowili przygarnąć kolejnego niewidomego psa, żeby wykorzystać swoje umiejętności w szczytnym celu. To znaczy uratować od bezdomności psiaka, którego nikt nie chce. To wspaniała szansa, Josh. Jak dar od niebios. Zobaczyli ogłoszenie o Codym na stronie internetowej, wysłali zgłoszenie i wczoraj z nimi rozmawiałam. Josh... Podarujmy Cody'emu dom, dobrze? W tej rodzinie jest dziesięcioletni chłopiec, ogrodzone podwórko i ludzie czekający na niego z otwartymi ramionami.

Patrzyli na siebie, wciąż stojąc na dwóch przeciwległych końcach pomieszczenia, co wyglądało absurdalnie. Uśmiechała się do niego ciepło i życzliwie, a on wiedział już, że zrobi wszystko, co ona zechce.

– Dobrze – zgodził się, robiąc głęboki wdech i wydech. – W porządku.

Na zapleczu pojawiła się kobieta o imieniu Madelyn, żeby zmienić Kerri. Niemal bezwiednie zapytał Kerri, czy może miałyby ochotę coś przekazać. Pojechali każde swoim samochodem do Evergreen Inn spróbować tamtejszej kuchni meksykańskiej. Usiedli w boksie po przeciwnych stronach szerokiego stolika. Czemu zawsze pojawiała się między nimi jakaś bariera?

W odległym kącie stała udekorowana choinka, a pod jej mrugającymi światełkami leżała sterta schludnie zapakowanych „prezentów”. Josh zaczął się zastanawiać, czy były to puste pudełka, które właściciele gospody co roku układali pod drzewkiem. To był dobry pomysł, pod jego własną choinką zawsze było tak skromnie – pojawiały się tam jedynie prezenty dla niego i dla Amandy.

„Już nie ma Amandy. I nie będzie prezentu dla niej” – przypomniał sobie.

– Prowadzimy w schronisku program – zaczęła Kerri, gdy już zamówili posiłek. – Grudniowe adopcje wstrzymujemy do dwudziestego trzeciego i dopiero wtedy wysyłamy psiaki ze świąteczną obrozą na szyi do ich nowych domów. Nazwaliśmy tę akcję „Pieski na gwiazdkę”. To brzmi śmiesznie, ale naprawdę zwiększa zainteresowanie potencjalnych rodzin adopcyjnych. Mamy też program „Koty na gwiazdkę”, ale w ich przypadku zrezygnowaliśmy z obroży.

– Myślałem, że bardzo nie podoba ci się pomysł dawania psów w prezencie.

– Tak, osobiście tak, ale dyrektorze przypadł do gustu.

– A „czego pragnie Lola”... – podsunął Josh.

– Dokładnie.

– W porządku, zatem „Pieski na gwiazdkę”. – Josh skinął głową niezobowiązująco.

– Pomyślałam sobie, że powinniśmy tak zrobić z twoimi szczeniakami. Sprezentować je nowym rodzinom dwudziestego trzeciego grudnia. To daje ci

jeszcze ponad dwa tygodnie, Josh. – Wyciągnęła do niego rękę i ujęła jego dłoń. – Czy tyle czasu ci wystarczy?

Josh wbił wzrok w kraciasty obrus. Kerri cofnęła dłoń, gdy kelnerka przyniosła ich zamówienie, a chłód samotnej, pozbawionej jej dotyku skóry wydał mu się złowieszczy – wiedział, że teraz wiele zależy od jego odpowiedzi. To nie było fair, ale wybór wydawał mu się raczej oczywisty.

– W porządku – powiedział. Sięgnął po gorący sos, zerkając na nią. Uśmiechała się, a na ten widok serce nieomal wyskoczyło mu z piersi.

Gdy po kolacji szli w kierunku parkingu, zaczął padać śnieg. Jego płatki tańczyły w tęczowych barwach światełek zawieszonych w sklepowych witrynach, wirując na lekkim wietrze i zbierając się na dachach budynków. Gdzieś niedaleko z głośników płynęła melodia *Frosty the Snowman*. Przez krótką chwilę Josh znowu był dzieckiem urzeczonym świątecznymi dekoracjami, idącym tym samym chodnikiem, słuchającym tej samej muzyki płynącej prawdopodobnie z tych samych niewidzialnych głośników.

A potem wrócił do rzeczywistości i szedł dalej u boku tej dziewczyny, tak samo urzeczony, jak wtedy.

– Białe Boże Narodzenie! – zawołała wesoło Kerri, wystawiając język, by spadło nań kilka płatków śniegu.

– Może. A może jutro będzie dwadzieścia sześć stopni ciepła – zastanawiał się Josh.

– Wieczny optymista – droczyła się Kerri. Trąciła go ramieniem, wsuwając mu rękę pod ramię.

Zatrzymali się przy jej samochodzie.

– Czy mogłabym przyjechać po Cody’ego w środę? Jutro zadzwonię do tej rodziny.

– Mówiłaś o dwudziestym trzecim – zaproponował Josh.

– Tak, ale sądzę, że w przypadku Cody’ego nie ma sensu odwlekać adopcji, prawda? Im szybciej przyzwyczai się do nowego domu, tym lepiej.

– Pewnie masz rację. Tak. – Josh podjął już decyzję, ale nie był przygotowany na tak szybką rozłąkę ze szczeniakiem. Dzień przed Wigilią był wystarczająco odległy, by te piętnaście dni wydały mu się wiecznością, ale środa?...

– Josh, podjąłeś jedyną słuszną, choć niezmiernie trudną decyzję i jestem z ciebie dumna. – Kerri wspięła się na palcach i musnęła ustami jego policzek, a on ją pocałował, co również było całkowitym zaskoczeniem dla nich obojga. Płatki śniegu na jej włosach topniały mu pod palcami. Przywarła do niego na tym zimnym parkingu, a przez jego ciało przelała się fala ciepła. Gdy ich usta wreszcie oderwały się od siebie, oboje się uśmiechali, choć Kerri lekko szczykała zębami z zimna.

– Zmarzłaś – stwierdził.
– Na kość – przyznała.
– Okej, jedź, rozgrzej się.
– Tak jest! – dała mu jeszcze jednego szybkiego buziaka i wskoczyła do samochodu. – Pogadamy jutro... – rzuciła.
– Jutro? A co będzie jutro?
– ...kiedy do mnie zadzwonisz – zakończyła wesoło. Zamknęła drzwi i odjechała.

Josh poczuł wzbierającą falę nowej, nieznannej energii, która pchała go do zrobienia czegoś impulsywnego, na przykład odwiedzenia baru i wykrzyknienia, że stawia wszystkim kolejkę.

– Wesołych świąt! – zawołał wesoło do przechodniów w centrum miasteczka. Minął kwiaciarnię, zastanawiając się, czy to dobra pora, by kupić róże, ale w końcu postanowił zajrzeć do sklepu z upominkami, czując się jak hojny Scrooge kupujący świąteczną gęś dla rodziny Boba Cratchita. Czy Kerri ucieszy się z kosza pełnego ciasteczek i różnych gatunków herbat? A może podarować jej pozytywkę w kształcie starego gramofonu? Albo mysz, która odgrywa kilka taktów *O Christmas Tree*, gdy naciśnie się jej nos?

Ostatecznie stwierdził jednak, że kartka świąteczna będzie najlepsza. Ta, którą wybrał, miała na okładce wiersz znany mu z liceum. Przypomniał sobie, że podobał się wszystkim dziewczętom, bo mówił o kimś, kto szuka miłości i wreszcie ją znajduje.

Grosik

Wrzuciłem grosik do studni

I przez chwilę miedziak spadał bezdźwięcznie.

A gdy już zacząłem się bać,

że nigdy go nie usłyszę,

cichy dźwięk z dna studni

oznajmił, że moja moneta dotarła do celu.

Poszukiwanie miłości? Według Josha wiersz mówił o kimś, kto wrzuca grosik do studni, ale Kerri była kobietą, a one zawsze widzą w takich rzeczach ukryte znaczenie. W domu wypisał jej imię na kopercie. Kartka była zapisana tylko na okładce, a w środku świeży, kremowy papier czekał niemo na jakieś głębokie słowa.

Dwie godziny później pusta strona wciąż czekała.

Następnego ranka na ziemi leżały już cztery cale śniegu. Był to jeden z najbardziej suchych, puszystych białych całunów, jakie Josh kiedykolwiek widział. Otworzył szczeniakom tylne drzwi – stanęły w progu jak wryte, jakby właśnie zobaczyły kocura Waldo. Biała pokrywa stanowiła dla nich równie onieśmielającą zagadkę.

Lucy ucieszyła się z tej zmiany krajobrazu. Przeskoczyła nad szczeniakami jak koń nad przeszkodą, przy lądowaniu posyłając w górę tabuny białego pyłu i przekręcając się na bark, by w tej pozycji czołgać się przez podwórze niczym odśnieżarka. Ośmielone zachowaniem swojej mamy szczeniaki zrobiły kilka niepewnych kroków. Gdy ich łapy zanurzyły się w śnieżny puch, doznały szoku i przeraziły się raz jeszcze, ale hipnotyczne właściwości matczynego przyciągania przewyciężyły ich lęki.

Sprawdzając łapami dziwny biały proszek, jak ludzie sprawdzają stopami temperaturę kąpieli, zaczęły go podejrzliwie obwąchiwać. Tymczasem Lucy robiła piruety i skakała, cała rozradowana, jakby wołała do nich: „No dalej, właśnie tak w podobnej sytuacji zachowują się prawdziwe psy!”. Popędziły za nią coraz bardziej ośmielone. Każde na własny rachunek odkrywało uroki śnieżnego puchu, przewracając się i tarzając w nim ekstatycznie. Cody też w nim baraszkował, a tuż obok niego znalazł się Rufus – nie żeby go pilnować, ale żeby po prostu być przy nim, gdy wszystkich ogarnęło nagle szaleństwo zabawy.

Josh zmiótł śnieg ze schodków tarasu i przysiadł na nich z kubkiem kawy. Już od dawna nie czuł się taki szczęśliwy. Od czasu do czasu któryś z psów odłączał się od stada i podbiegał do niego, jakby chciał powiedzieć: „Czyż to nie najcudowniejsza rzecz pod słońcem?”. Lucy przypadła do gromadki swoich szczeniaków, żeby być przy nich, a one rzuciły się na nią. Jej sutki były już suche i znacznie zmały, więc teraz interesowała ich tylko zabawa z nią – podskubywały ją, jakby była gryzakiem. Lucy z kolei profesjonalnie rzucała je na łopatki w śnieg, gdzie natychmiast podrywały się na równe łapy i z merdającymi ogonami na powrót ruszały do obleżenia swojej mamy.

Nagle, gdy Josh zbliżył się do nich, wszystkie uspokoiły się, jakby wymieniły między sobą jakiś tajemny znak, i sapiąc oraz unosząc sennie głowy, zaczęły tarzać się w śniegu, którego również nie omieszkały skosztować. Gdy wnosił Lolę i Sophie do domu, ich bracia podnieśli się i z własnej woli poszli za nimi, wdrapując się niezdarnie po schodkach, a już w środku popędzili za Joshem korytarzem, zostawiając na podłodze małe, połyskujące jak klejnoty ślady mokrych łap.

Dały się włożyć z powrotem do kojca bez najmniejszego kręcenia nosem, a Lucy zajęła swoje ulubione miejsce w salonie.

– Dostały istnego szału – Josh opowiadał Kerri przez telefon. – Szkoda, że tego nie widziałas.

Gdy to powiedział, pomyślał nagle: „Właśnie, dlaczego cię przy tym nie było?”.

W jaki sposób mógł skłonić ją, by odwiedzała go częściej i zostawała na dłużej? Przyjrząwszy się dotychczasowym losom ich związku, stwierdził, że opierał się on głównie na pożegnaniach. Kerri powiedziała, że następnego dnia

rano będzie w terenie.

– W takim razie do jutra! – rzuciła wesoło przed kolejnym pożegnaniem.

„Dlaczego nie możemy zobaczyć się dziś wieczorem?” – zastanawiał się Josh. Czemu nie przyszło mu do głowy, żeby zaprosić ją na kolację?

Pamiętał, że kiedy ostatnim razem włożył całe serce w przygotowanie wspólnej kolacji, ona natychmiast dała nogę do sąsiedniego stanu, do Wyoming. Jaki sygnał mu wysyłała, wymawiając się właśnie Wyoming?

Wyjął kartkę, którą dla niej kupił. Wciąż była niezapisana. Dlaczego nie wybrał takiej, która i w środku nie była pusta? Mógłby napisać: „Droga Kerri, proszę, nie jedź znowu do Wyoming”. Albo lepiej: „Nie jedź do Wyoming beze mnie”.

Schował kopertę, wiedząc, że i tak nic nie przyjdzie mu do głowy. Może wyśle ją na Dzień Matki albo coś w tym stylu.

Następnego ranka nisko między drzewami zawisła mgła, tak jakby chmury zostały przyłapanie na spaniu na ziemi i ugrzęzły w gałęziach, próbując wznieść się z powrotem na niebo. Josh nie spał już od kilku dobrych godzin, zdążył wziąć prysznic i się ogolić, a teraz założył nowe, czyste dżinsy, żeby nie wyglądać zbyt oficjalnie, ale wciąż, miał nadzieję, atrakcyjnie.

Do kompletu wybrał koszulę z długim rękawem z logo jednej z firm software’owych, żeby przypomnieć jej, że ma dobrą pracę. No, może akurat chwilowo miał krótką przerwę... Na podjeździe pojawił się samochód Kerri, a Lucy wydała z siebie pojedyncze, leniwe szczeknięcie, jakby mówiła: „Mogłabym ją przegonić, gdybym chciała”.

Josh zmusił się, żeby poczekać, aż dziewczyna zapuka. Szczeniaki wzięły w posiadanie salon i właśnie ćwiczyły chwyt zapaśnicze na jednej z poduszek sofy.

– Okej, Cody, już pora – oznajmił Josh. Szceniak nawet w najmniejszym stopniu nie zareagował na swoje imię.

– Cześć, jak miło cię widzieć! Przyjechałaś po Cody’ego? – zapytał Josh.

– Tak – odparła Kerri.

Miał ją właśnie pocałować, cały ranek to planował, ale coś w jej zachowaniu, jakaś niepewność, powstrzymała go od tego.

– Dzwonił twój znajomy, ojciec tej małej dziewczynki. W sprawie Loli. Wczoraj przyjęliśmy ich zgłoszenie – powiedziała, nie patrząc na Josha. – Cześć, maluchy – przywitała się ze szczeniakami, klękając na podłodze w salonie. Pieski zapomniały o wojnach poduszkowych i tłumnie ją obległy.

– Co się stało? – zapytał Josh.

Dziewczyna wreszcie na niego spojrzała. W jej oczach dostrzegł obawę i niemalże ból. Powoli wstała, wydając z kieszeni złożoną kartkę papieru.

– Wisiało na naszej tablicy, ale pod innymi ogłoszeniami, więc zobaczyłam

to dopiero, gdy Madelyn zrobiła na niej rano porządek. Och, Josh... – westchnęła.

Podła mu kartkę. Było na niej zdjęcie Lucy i kilka linijek tekstu napisanych dużą czcionką:

ZAGINIONY/SKRADZIONY PIES

Lucy

Jest w ciąży/karmi.

Proszę dzwonić do Sereny.

Kocham swojego psa.

Za pomoc w jego znalezieniu czeka **nagroda**.



Wciąż z ogłoszeniem w dłoniach Josh opadł bez sił na fotel. Nogi nagle odmówiły mu posłuszeństwa. Wyczuwszy coś, Lucy podeszła do niego, stukając pazurami o podłogę, i położyła mu głowę na kolanach, spoglądając na swojego pana. W zamyśleniu pogłaskał ją za uszami, wpatrując się w plakat, tak jakby nie rozumiał napisanych na nim słów.

– Tak mi przykro, Josh – wyszeptala Kerri. Stała przed nim ze spuszczoneym wzrokiem i wilgotnymi oczami. – Wiem, że to dla ciebie... szok. Wiem, jakie to musi być trudne.

Zaginiony. **Skradziony.** Josh próbował wyobrazić sobie, jakimi trzeba być ludźmi, żeby w wojnie między sobą używać Lucy jak broni. Ryan utrzymywał, że Serena „zostawiła” suczkę. Teraz okazuje się, że Lucy została „skradziona”.

Kto wie, co naprawdę się stało. Kto oprócz Lucy znał prawdę?

– Tu jest napisane „wrzesień” – zauważył tępo Josh.

– Słucham?

– Widzisz? Wasz faks nadrukował datę. Dwudziesty drugi września. Dziś jest trzynasty grudnia. **Grudnia.**

– Nie bardzo rozumiem – odparła wolno.

– Minęły prawie trzy miesiące.

– Tak, ale czy to zmienia postać rzeczy? Lucy ma właścicielkę.

– Czyli nic z tego, co tu się stało, w ogóle się nie liczy – odpowiedział z goryczą Josh. Wstał z fotela, a Lucy podążyła za nim niespokojnym wzrokiem. Żeby zająć czymś ręce, wrzucił do kominka kolejny kawałek drewna. Ogień trzasnął, wyrzucając w stronę Josha wesołe iskry.

– Wszystko się liczy, Josh. Przygarnąłeś psa, nowo narodzone szczenięta i znakomicie sobie ze wszystkim poradziłeś.

– Jasne.

Kerri przygryzła usta.

– Chyba... chyba nie chcesz powiedzieć, że nie oddasz Lucy?

Josh uciekł od niej wzrokiem.

– Josh?

– Powiedziałas, że zawsze będę miał Lucy.

– Tak, ale wtedy nie wiedziałam o Serenie.

Z jakiegoś powodu przypomniał sobie Amandę zanoszącą do samochodu pudła ze swoimi rzeczami, gdy odchodziła. Nie pomógł jej, patrzył tylko ponuro, jak się z nimi męczyła. Teraz towarzyszyło mu to samo uczucie: bez ostrzeżenia wyrywano mu serce, bo tak chciał los.

Tyle że tym razem mógł temu przeciwdziałać.

Kerri patrzyła, jak jego twarz nabiera zatwardziałego wyrazu, i przyłożyła sobie dłoń do ust.

– Josh. Nie.

Wciąż nie patrzył w jej kierunku. Nastąpiła długa chwila milczenia. Usłyszawszy dziwne odgłosy, w końcu spojrzał na dziewczynę. Kerri płakała.

– Josh, musisz do niej zadzwonić. Musisz. Jeśli nie zadzwonisz...

– To co zrobisz? Co zrobisz? – dopytywał ostrzej, niż zamierzał.

Potrząsnęła gwałtownie głową.

– Nie wiem. Po prostu jeśli nie zadzwonisz, okaże się, że nie jesteś mężczyzną, za jakiego cię mam.

– A więc to kolejny test?

– Test?

– Zawsze prosisz mnie, żebym wybierał między tobą a moimi psami – powiedział z goryczą.

– O, Boże. Josh...

Stali tak, a z Josha powoli schodziło powietrze. Schylił się i podniósł Cody'ego – czuł się teraz tak wyczerpany i pusty w środku, że był w stanie to zrobić. Zbliżył Cody'ego nosem do nosa Rufusa, który uniósł ospale głowę, budząc się z drzemki – wydawało się, że tylko jedno jego oko, to otoczone brązową łatą, nabiera ostrości, drugie pozostało przymknięte.

– Rufus, pożegnaj się z Codym.

Rufus, nie zdając sobie sprawy z powagi sytuacji, położył z powrotem głowę na poduszkę. Cody przez chwilę próbował oswobodzić się z dłoni Josha.

– Będiesz miał dobry dom. Szczęśliwy dom, Cody. W którym wiedzą, jak się opiekować niewidomymi pieskami. A teraz bądź grzecznym szczeniakiem.

Josh poszedł do wyjścia, Kerri ruszyła za nim. Ponury dzień idealnie pasował do jego przygnębienia. Bez słowa patrzył, jak Kerri otwiera bagażnik. Zauważył, że oklejony taśmą, rozpadający się transporter dogorywał teraz po prawej stronie, a nie po lewej. Kerri wzięła od niego Cody'ego, włożyła tę małą ciepłą kulkę do transportera i zamknęła drzwiczki. Cody z zaciekawieniem obwąchiwał nowe miejsce.

– No dobrze – odezwała się Kerri. – To na razie.

– Na razie.

Nie dotknęli się ani nie spotkali wzrokiem, a Josh nie patrzył, jak jej subaru cofa i wyjeżdża z jego podwórka.

To była ostateczna broń wszystkich kobiet, nieprawdaż? W końcu zawsze mogły po prostu odejść.

Gdy po południu szczeniaki się obudziły, tylko Rufus zdawał się zauważać, że brakuje Cody'ego. Obwąchiwał wszystkie kąty w domu, od salonu, przez korytarz, aż po sypialnię, szukając małego zaginionego pieska.

– Odszedł, Rufusie, Cody odszedł – wyjaśniał Josh ze ściśniętym gardłem. Rufus naturalnie nie zrozumiał. Opiekun podniósł małego i zaczął kołysać go w ramionach, spoglądając nań ze smutkiem. Rufus odwzajemnił spojrzenie, w którym Josh dostrzegł ból i wyrzuty.

Czemu Joshowi wydawało się, że to jakiś rodzaj skryptu, który bezustannie powtarza się w jego życiu? Rozstanie, rozpad związku, który miał być wieczny, i on – pozostawiony pośrodku skorup, które po nim zostały.

Tej nocy przyniósł sobie do łóżka pozostałe szczeniaki, na co Lucy patrzyła z surową dezaprobatą. Chciał się do nich poprzytulać, by ukoić smutki, ale pieski były tak zachwycone okazją do zabawy w pościeli, że Josh zaczął się śmiać wbrew sobie i całej sytuacji. Oto kolejna rzecz, jaką psy robiły dla człowieka – swoimi dzikimi wybrykami potrafiły poprawić nawet najgorszy nastrój, bez względu na wszystko.

Następnego ranka obudził go sygnał prośby o zaakceptowanie telekonferencji. Dzwonił do niego Suni Ohayashi, człowiek numer dwa w projekcie Blascoe. Suni, mimo że nieco chłodny i sztywny, był znany ze swojego profesjonalizmu.

– Wesołych świąt, Josh – przywitał się.

– Wesołych świąt, Suni – powtórzył automatycznie.

– Nie wiem, czy już słyszałeś, ale zostałem szefem projektu – oznajmił Suni.

– Nie, nie wiedziałem. A więc Blascoe?...

Suni skinął głową.

– Zastąpiłem Gordona Blascoe.

– Och.

– Czy wróciłbyś do nas po Nowym Roku? Ruszamy wtedy pełną parą.

Josh uśmiechnął się.

– Oczywiście – odparł.

– Twój raport trafił w samo sedno. Potrzebujemy twojej prostoty, umiejętności znajdowania właściwych rozwiązań.

– Dziękuję.

– W takim razie załatwione. Do zobaczenia po pierwszym styczniu. Jeszcze raz wesołych świąt.

– Wesołych, Suni.

Gdy się wylogował, poczuł nagłą chęć podzielenia się dobrymi wieściami z Kerri, ale ostatecznie do niej nie zadzwonił.

Z ponurą miną zaczął odhaczać bożonarodzeniowe zwyczaje jak licealista zadania domowe. Ciężkim krokiem poszedł kupić prezenty dla matki i pasierbów Janice – wszyscy inni mieli dostać kartki. Stał i popijając cydr, beznamyślnie przyglądał się śpiewającym przed sklepem żelaznym kolędnikom. Zamówił też prezent dla Kerri – podaruje go jej bez względu na to, czy będzie chciała go widzieć czy nie.

Za każdym razem, gdy o niej myślał, wzbierały w nim uraza i upór. Oddał Cody'ego i zgodził się rozstać z resztą szczeniąt, ale dla niej to wciąż było za mało. Chciała też Lucy.

– Mój pies, Lucy. Jesteś moim psem – zapewnił suczkę. W odpowiedzi spojrziała na niego tak, jakby chciała powiedzieć: „Ależ naturalnie”.

Wiedząc, że niedługo je straci, Josh rzucił się w wir zabawy ze szczeniakami. Ciągnął je po podłodze, uczepione ręcznika i powarkujące. Turlał się z nimi na łóżku i rzucał piłkę. Ganiały za nią tylko dziewczyny, Sophie i Lola – chłopcy zdawali się myśleć, że skoro Josh ją wyrzucił, to nie była godna zabawy.

Podczas tych harców Rufus nieodmiennie wyglądał na przygaszonego. Szarpał ręcznik, po czym nagle go puszczał, podchodził do drzwi wejściowych i obwąchiwał szparę pod nimi albo wracał do kojca, zaglądając we wszystkie jego kąty. Ucinał sobie więcej drzemek od pozostałych szczeniaków, a Lucy jakby w odpowiedzi na jakiś podświadomy sygnał, zaczęła go obwąchiwać i lizać, mimo że generalnie po odstawieniu od piersi przestała pomagać szczeniakom w dbaniu o czystość.

– Dobrze się czujesz, Rufus? Może jesteś chory? – zapytał Josh, unosząc szczeniaka i bacznie mu się przyglądając. Jednak wiedział, że nie zaatakował go żaden wirus. – Tęsknisz za nim, prawda? – szepnął. – Ja też, Rufusku, ja też. – Bez Cody'ego Rufus stracił sens życia. To samo spotkało Josha po odejściu Amandy. – Też się tak czułem. Dokładnie tak samo – pocieszał pieska.

Tydzień przed Wigilią, gdy na zewnątrz rozpętała się prawdziwa burza śnieżna, a wiatr gwizdał w drzwiach i huczał w kominie, zamieniając węgle w palenisku w żarzące się bryły, do Josha zadzwoniła Janice.

– Myślałam o naszej ostatniej rozmowie – powiedziała. – O tym, że musimy się częściej spotykać.

– Taak? – Dzień wcześniej kurier przyniósł zamówiony prezent dla Kerri w ogromnym kartonowym pudle niemalże wielkości piekarnika, które psy atakowały z taką zaciętością, jakby w środku były steki, i zawzięcie obgryzały jego rogi. Wszędzie w salonie walały się gryzaki, za które zapłacił łącznie jakieś sto dolarów, ale od przybycia pudła szczeniaków nie interesowało nic innego.

– Może przyjedziesz do nas na święta? Albo w Nowy Rok? Chłopcy mają dwa tygodnie wolnego od szkoły i, dzięki Bogu, od hokeja. Moglibyśmy wyskoczyć na narty albo sanki.

- Brzmi świetnie, ale mam problem z psami – wykręcał się Josh.
- Ze szczeniakami? A nie są już przypadkiem wystarczająco duże, żeby je rozdać?
- Tak, dwudziestego trzeciego idą do adopcji. Ale chodzi o ich przybraną matkę, Lucy. Myślę, że zostawienie jej tu samej tuż po zabraniu szczeniaków byłoby dla niej bardzo dezorientujące.
- Och. A więc zatrzymujesz matkę?
- Na to wygląda, tak. – Josh powędrował wzrokiem do ogłoszenia o zaginionym psie. Wciąż leżało na stoliku.
- Porozmawiali jeszcze o kilku innych rzeczach.
- Dostałam bardzo ładną kartkę świąteczną od Amandy – powiedziała w końcu Janice swobodnym tonem.
- Tak? – Josh zastanawiał się, czy to właśnie dlatego siostra dzwoniła.
- Rozmawiacie ze sobą?
- Co napisała na karcie?
- Och, wiesz, „wesołych świąt” i tak dalej, ale wspominała też wspaniałe bożonarodzeniowe poranki w twoim domu, gdy parzyłeś kawę i podgrzewałeś bułeczki. To było takie... Sama nie wiem. Nieco melancholijne.
- Josh spojrzął na Rufusa, który jak zwykle pierwszy przestał atakować pudło i leżał teraz samotnie na podłodze z przymkniętymi oczami.
- Hm – bąknął Josh.
- Wspominała, jak jej powiedziałaś, że uratowała Boże Narodzenie. Co miała przez to na myśli?
- A, wiesz... – odparł niezręcznie.
- Nie wiem, naprawdę – naciskała Janice. Usłyszał w jej głosie przecucie, że odpowiedź jej się nie spodoba.
- No cóż, odeszłyście z mamą tuż przed świętami. – Ciężko przełknął ból, który podchodził mu do gardła. – Więc bożonarodzeniowy poranek spędziliśmy tylko we dwóch z tatą. Czekaly na was wszystkie wasze prezenty, ale wy nie przyjechałyście. To było dość okrutne.
- Boże, wiem. Tata nie pozwolił nam przyjechać. Tamte święta spędziłyśmy w hotelu.
- Jak to „nie pozwolił”? – zapytał ostro Josh. – To wy odeszłyście.
- No, tak – przyznała mu rację z wahaniem. – Wyjechałyśmy po tej wielkiej awanturze. Ty chyba byłeś wtedy na nartach, więc tego nie widziałeś, ale gdy zaczęli okładać się pięściami, stanęłam między nimi. To było naprawdę straszne, Josh. Ale sam przecież wszystko wiesz.
- Nie, nie wiem. Bili się? – zapytał z niedowierzaniem.
- Tak, musiałyśmy się stamtąd wydostać.
- Pamiętam tylko, że gdy koledzy podrzucili mnie do domu po wycieczce,

wy właśnie wyjeżdżałyście.

– Tak, ale ty przecież nie chciałeś z nami jechać – przypominała mu Janice.

– Nie chciałem, żebyście wy jechały – odparł przez zaciśnięte zęby. – Jest różnica.

– To było straszne – szepnęła Janice na tamto wspomnienie.

– Potem tata chodził wściekły i milczący – powiedział jej po chwili Josh. – Nie chciał ze mną rozmawiać. Odezwał się dopiero w świąteczny poranek po otwarciu prezentów. To wtedy powiedział mi o Pameli i że zamierzają się pobrać, gdy tylko sfinalizuje rozwód.

– Tak bardzo mi przykro, Josh. Chyba nigdy nie myślałam o tym, przez co musiałeś przechodzić. Skupiłam się wyłącznie na sobie.

– To mi zniszczyło Boże Narodzenie na długo. To, co się wtedy stało. Aż nie spotkałem Amandy.

– Potem spędzaliśmy miłe święta – oponowała Janice.

– Nie ja – odparował Josh. – Nigdy więcej świąt z całą rodziną. Nigdy więcej w miejscu, które mógłbym nazwać domem.

– Josh, miałeś wtedy siedemnaście lat. Chodzi mi o to, że byłeś wystarczająco dorosły...

– Wystarczająco dorosły, żeby mieć rodzinę rozerwaną na strzępy? – rzucił wyzywająco.

Po chwili milczenia Janice westchnęła ciężko.

– To nie było... Boże, wiem, że czułeś się w obowiązku trzymać nas wszystkich razem. Ale czasami trzeba po prostu odpuścić.

Josh powędrował wzrokiem do Lucy.

– Jasne – odpowiedział z goryczą.

– Tak bardzo, bardzo mi przykro. Wiem, jak to na ciebie wpłynęło. W tamtej chwili tego nie rozumiałam, pewnie nikt nie rozumiał, ale widziałam, jak się z tym męczysz. Po prostu... przepraszam. Za wszystko.

– Wesółych świąt, Janice.

Po tym prztyczku zrobiła głęboki wdech.

– Okej, wesółych świąt. Kocham cię, Josh.

– Nie, nie, zaczekaj – powiedział pospiesznie. – Ja... ja też cię kocham, Janice. I też przepraszam. – Ścisnął słuchawkę, nie ufając w moc swoich słów.

Janice czekała, aż jej brat powie coś jeszcze, a kiedy tego nie zrobił, zaproponowała pogodnie, by w niedalekiej przyszłości pomyślał o wizycie w Portland. Josh zdołał wydusić z siebie tę obietnicę.

Następnego dnia wiatr uspokoił się, ale wciąż śnieżyło. Zadzwonił jego nowy znajomy, mechanik Matt, by podziękować za zgodę na adopcję Loli.

– Najbardziej podekscytowana jest Juliet. Aż spać nie może, a do Wigilii jeszcze daleko.

– Tak naprawdę to nie był mój wybór – przyznał Josh. – Te decyzje należą do schronisk.

– Powiedzieli, że chciałeś, żebyśmy to my dostali Lolę. Jestem ci za to bardzo wdzięczny. Gdybyś kiedyś potrzebował jakiejś przysługi, to dzwoń.

– To się dobrze składa, bo chciałbym... chciałbym wpadać od czasu do czasu z wizytą. Do Loli. Oczywiście jeśli się zgodzisz – odparł Josh nieświadomy, że gdyby trzeba było, prosiłby o to do skutku.

– Ależ naturalnie! – zawołał Matt.

Josh rozłączył się, zastanawiając się, dlaczego ta rozmowa nie poprawiła mu nastroju.

Potem odebrał telefon ze schroniska. Rzucił się do słuchawki, gdy tylko rozpoznał numer na wyświetlaczu, ale z drugiej strony usłyszał głos Madelyn.

– Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że zatwierdziliśmy wybór domów dla wszystkich twoich szczeniaków – zakomunikowała radośnie.

Josh tak naprawdę jej nie znał, ale teraz zaczęła w nim zbierać gorycz i niechęć do tej kobiety.

– Dla wszystkich pozostałych – poprawił ją cierpko.

– Słucham?

– Jest Kerri?

Milczenie Madelyn było tak wymowne, jak warknięcie Lucy.

– To ona poprosiła mnie, żebym do ciebie zadzwoniła – oznajmiła w końcu sztywno.

– Rozumiem. Proszę jej powiedzieć, że Rufus jest jakby przygnębiony, dobrze?

– Rufus jest przygnębiony – powtórzyła Madelyn, zanim się rozłączyła, co zabrzmiało, jakby uważała Josha za idiotę.

Potem zadzwonił Wayne, bo jak mówił, trwała śnieżycy i chciał się upewnić, że Josh nie poszedł w ślady „pionierów-kanibali”.

– A może przyjedziecie z Leigh na kolację, żeby to sprawdzić? – odparował Josh głosem złego bohatera kreskówki, choć wcale nie był w nastroju do żartów. Wayne odpowiedział, że jadą na dwa tygodnie do szurniętych rodziców Leigh.

– Więć śledź wiadomości, bo mogą podać, że kogoś zabiłem.

– Bawcie się dobrze.

– Chcesz z nami jechać?

– Tak. Tak, chcę – odpowiedział Josh.

Wayne zaśmiał się szaleńczo.

– Wesołych świąt, stary – powiedział.

Josh codziennie kilka razy sprawdzał na wyświetlaczu, czy dzwoniła Kerri, nawet wtedy gdy cały dzień spędzał w domu i nie mógł nie słyszeć dzwonka telefonu. Dziewiętnastego grudnia, niespełna tydzień przed świętami, pojechał do

miasteczka po zapasy. Gdy był w sklepie, przestało prószyć i wyszło słońce, więc przy białych zaspach szosy wyglądały na śliskie i czarne, jak ciepły czekoladowy syrop na lodach waniliowych.

Na mokrej nawierzchni spod opon samochodu dobiegały łącie rozrywające dźwięki, przypominając Joshowi odgłos odrywanego rzepu.

Po powrocie do domu zauważył, że ma dwa nieodebrane połączenia, ale to nie Kerri próbowała się do niego dodzwonić. To była Amanda.

Nie zostawiła żadnej wiadomości.

Josh nie miał pojęcia, po co do niego dzwoniła, ale fakt, że to zrobiła, nie poprawił mu nastroju – poczuł tylko niejasną zapowiedź kłopotów. Wciąż była w stanie go zranić, to wiedział na pewno. Co też chodziło jej po głowie?

Dwudziesty grudnia był pogodny i ciepły, a topniejący śnieg, który zebrał się na konarach drzew, spadał teraz rzęsim deszczem ogromnych brył bezgłośnie uderzających o ziemię.

„Zawsze znajdujesz właściwe rozwiązanie” – przypomniał sobie słowa Suniego. Czyżby? Czy naprawdę można to było powiedzieć o Joshu Michaelisie? „Wiem, że czułeś się w obowiązku trzymać nas wszystkich razem” – powiedziała jego siostra.

Zatem czyj to był obowiązek? Kto miał to robić, jeśli nie on?

Josh wiedział, że ma do wykonania jeden telefon, i to właśnie było powodem jego grobowej miny. Próbował wyobrazić sobie, jak będzie wyglądała ta rozmowa i w którą stronę się potoczy, ale nie był w stanie tego zrobić, nie przy tak nieprzewidywalnym temacie. Gdy mężczyzna dzwoni do kobiety, bez względu na powód, bardzo szybko traci kontrolę nad kierunkiem rozmowy. A przynajmniej tego nauczyło go doświadczenie.

„Dobra, miejmy to już za sobą”. Pora zadzwonić.

Josh wybrał numer, przygotowując się psychicznie na usłyszenie jej głosu.

– Halo – powiedział ostrożnie na powitanie. – Czy rozmawiam z Sereną?



18

Przepraszam, kto mówi? – odparła Serena miło, choć również ostrożnie.

– Eee... Dzwonię w sprawie zaginionego psa.

Słyszając, jak wstrzymała oddech, Josh przymknął na chwilę oczy.

– O Boże, znalazł ją pan? Znalazł pan Lucy? – pytała nagłoco łamiącym się głosem.

– Nie jestem pewien. Pani ogłoszenie wisi chyba od września?

– Ona... Ona ma czarny nos i brązową sierść, z wyjątkiem czarnego grzbietu – paplała Serena. – I była w ciąży. Czy suczka, którą pan znalazł, wygląda na karmiącą matkę?

„Już nie” – pomyślał Josh.

– Proszę po prostu opowiedzieć, co się stało – odpowiedział spokojnie.

– Słucham?

– Na plakacie napisała pani „zaginiony/skradziony”. Co to znaczy?

– A jaka to różnica? – dopytywała Serena.

– Zwyczajnie staram się zrozumieć sytuację.

Serena powoli zaczerpnęła powietrza.

– Przepraszam. Chodzi o to, że czasami wyjeżdżam w podróże służbowe. Niezbyt często, ale zdarza się. Wyjechałam, zostawiając Lucy pod opieką sąsiadki. Pewnego dnia poszła ją nakarmić i zobaczyła otwartą furtkę. Lucy po prostu zniknęła. – Zachlipała znowu, niemal bezgłośnie. – Wsiadłam w pierwszy samolot powrotny. Wiem, powinnam była ją zachipować, miałam to zrobić, ale byłam po prostu zbyt zajęta.

– Dlaczego napisała pani, że suczka zaginęła bądź została skradziona?

– Hm, nie jestem w stanie tego udowodnić, ale byłam kiedyś z pewnym mężczyzną, Ryanem. Rozstaliśmy się i nie przyjął tego zbyt dobrze. Do tego stopnia, że zaczęły się groźby. A mniej więcej w tym samym czasie, kiedy zaginęła Lucy, ktoś widział go w okolicy. Myśli, że widział. I że kręcił się w pobliżu mojego domu. A potem Ryan nagle wyparował. Tuż po zniknięciu Lucy trzy razy pukałam do jego drzwi i zostawiłam mu wiadomość. Niedawno znowu u niego byłam i zobaczyłam kłódkę na drzwiach wejściowych oraz wezwanie do zapłaty od właściciela domu. A jego komórka jest cały czas wyłączona.

Josh przymknął na chwilę oczy, wyobrażając sobie, jak Serena podjeżdża

pod wynajmowany przez Ryana domek, tuż obok posesji Josha. Działki w tej okolicy były dość duże – Josh posiadał sześćdziesiąt akrów ziemi – ale i tak w pewnej chwili Serenę od Lucy dzieliło nie więcej niż sto jardów. Jak zmieniłoby się jego życie, gdyby się wtedy u niego pojawiła, w czasie gdy suczka karmiła? Czy szczeniaki w ogóle jeszcze by żyły?

– Czyli nie zostawiła pani psa pod opieką tego Ryana? – sondował.

– O Boże, nie. Skąd takie pytanie? – zapytała podejrzliwie.

– Próbuję tylko zrozumieć, co zaszło w tej konkretnej sytuacji – odpowiedział, grając na zwłokę przy pomocy rozwlekłych zwrotów.

– Kiedy znalazł pan psa? Czy myśli pan, że to może być Lucy?

– Nazywam się Josh Michaels, czy to coś pani mówi?

– Josh Michaels... Nie, przykro mi. A powinno?

– Nie. Boże. – Josh przysiadł na kuchennym taborecie, zakrywając dłonią twarz. Siedząca w dali Lucy obserwowała go, jak mu się zdawało, zaniepokojonym wzrokiem. – Jestem prawie pewien, że to pani pies.

– O mój Boże. Naprawdę? Nawet pan nie wie, ile to dla mnie znaczy!

– Sęk w tym, że Ryan zostawił ją pod moją opieką.

– Co? Jesteś przyjacielem Ryana?! – krzyknęła.

– Nie, ja...

– Posłuchaj mnie uważnie – przerwała mu Serena ochrypłym głosem, krztusząc się. – On ukradł mojego psa, co znaczy, że ty ukradłeś mojego psa, i dzwonię na policję, żeby cię aresztowali...

– To wcale nie było tak – odpowiedział ostro wyprowadzony z równowagi. Słyszał, jak po drugiej stronie Serena aż dyszy ze zdenerwowania. – Wysłuchaj mnie. Powiedział mi, że oddałaś mu psa.

– Nie oddałam mu swojego psa – wyrzuciła z siebie.

– Wiem. Teraz już wiem. A więc było tak... – Opowiedział jej o wieczorze, kiedy na jego progu pojawił się Ryan z Lucy. Gdy doszedł do fragmentu, kiedy zauważył ciężą suczki, Serena znowu mu przerwała.

– Urodziła? Szczeniaki zdrowe?

Josh ostrożnie wyjaśnił jej sprawę porodu i cud w postaci znalezienia podrzuconych w pudełku szceniąt.

– A kilka dni temu przyjaciółka ze schroniska przyniosła mi twoje ogłoszenie – zakończył.

– Dziękuję. Dziękuję za uratowanie Lucy i opiekę nad nią – łkała Serena. – To najwspanialsza rozmowa telefoniczna w moim życiu. Niech cię Bóg błogosławi.

– Nie ma sprawy – odpowiedział słabo Josh.

– Mam w Parker siostrę. Mogłaby przyjechać po Lucy. Wracam dopiero dzień przed Wigilią, mogłabym... Naprawdę nie mogę wrócić wcześniej.

– Słuchaj, spokojnie mogę się nią zająć do tego czasu.

– Chcę z powrotem mojego psa!

– Tak, ale może lepiej zaczekajmy do twojego powrotu? – Josh powiedział jej o akcji „Pieski na gwiazdkę”; powiedział, że wszystkie szczeniaki trafią do swoich nowych domów dwudziestego trzeciego grudnia, czyli tego samego dnia, kiedy ona wróci do domu. – Pomyślałem sobie po prostu, że będzie łatwiej, jeśli Lucy nie wyjedzie przed maluchami. Wyobrażam je sobie odprowadzające wzrokiem odjeżdżającą mamę i myślę: po co mają przez to przechodzić? Jak sądzisz, czy to byłoby w porządku?

We własnym umyśle Josh zobaczył siebie stojącego obok wielkiej sosny na podwórku i patrzącego, jak odjeżdża jego własna matka, a obok niej siedzi Janice i macha mu na pożegnanie. Josh nie odpowiedział jej podobnym gestem.

– Masz takie czułe serce – pochwaliła go Serena niemalże figlarnym tonem.

– Tak, naturalnie. To dla jej szczeniaków? Cudowny pomysł.

Josh podał jej swój adres – wtedy zorientowała się, co to za okolica.

– O Boże, byłam tak blisko. Myślałam nawet o zapukaniu do któregoś z sąsiadów. Szkoda, że tego nie zrobiłam.

– Tak, ale wtedy szczeniaki wciąż potrzebowały pokarmu Lucy – zaproponował Josh.

Nastąpiła chwila ciszy, po której oboje stwierdzili, że nie warto o to kruszyć kopii.

Po skończonej rozmowie Josh podszedł do poduszki, na której leżała Lucy, i schował twarz w jej sierści. Suczka westchnęła i z powrotem położyła głowę.

Następnego ranka zadzwoniła Madelyn ze schroniska.

– Cześć, Josh! – zawołała radośnie, jakby byli starymi przyjaciółmi.

Odburknął coś w odpowiedzi, zbywając jej wesołe powitania i czekając, aż powie, z czym dzwoni.

– Chciałabym dziś do ciebie wpaść – powiedziała w końcu.

– Po co?

– Pomyślałam, że dziś byłaby najlepsza pora. Jutro będziemy naprawdę zajęci przygotowaniami do piątkowej akcji adopcyjnej.

– Co masz na myśli?

– Mówię, że najlepiej byłoby odebrać od ciebie szczeniaki już dziś, bo jutro będziemy zawaleni robotą. „Pieski na gwiazdkę”.

– Pewnie, przyjeźdź i zabierz szczeniaki. – Poczul się nieważny, zlekceważony. Kobieta, której nawet nie znał, informowała go radośnie, że chce odebrać mu jego psią rodzinę dzień wcześniej, bo tak jej wygodnie.

– Czy popołudnie ci pasuje?

– Nie.

W jego głosie wyczuła żelazną determinację kryjącą się za tym jednym

słowem.

– Och, okej. Rozumiem. To kiedy mogę po nie przyjechać? – zapytała ostrożnie.

– Nie możesz – padła krótka odpowiedź.

– Rozumiem – odparła Madelyn, najwyraźniej nie rozumiejąc.

– Dzięki za telefon – powiedział Josh. Rozłączył się z zimną satysfakcją, nie odchodząc nawet od aparatu.

Nie minęło kilka minut, a telefon ponownie zadzwonił. Josh podniósł słuchawkę.

– Co się dzieje? – zażądała wyjaśnień Kerri.

– Ciebie też miło słyszeć – przywitał się.

– Przestań. Mamy rodziny, którym obiecano te szczeniaki, Josh. Nie możesz się teraz wycofać.

– Czy ja tak powiedziałem?

– Słucham?

– Nie powiedziałem, że się wycofuję. Ale dlaczego nie mogą przyjechać tutaj? Czemu to musi być w schronisku? Nie sądzisz, że pieski byłyby szczęśliwsze, gdyby wszystko przebiegło w ich domu? Myślę, że tu łatwiej im będzie patrzeć na odjeżdżające rodzeństwo. A jeśli będą potrzebowały pociechy, znajdą ją u Lucy.

– Nie sądzę, by to miało jakieś znaczenie.

– No cóż, a ja wręcz przeciwnie.

Kerri westchnęła, poddając się.

– Madelyn chyba będzie mogła zabrać papiery.

– Nie, chyba nie.

– Josh.

– Nie wycofuję się, Kerri, ale zrobimy po mojemu. Szczeniaki nie znają Madelyn, znają ciebie, okej? Ty zajmiesz się papierkową robotą. Zapraszam na wielką świąteczną wyprzedaż, otwarte cały piątek.

– Będziemy musieli do wszystkich zadzwonić i upewnić się, że dadzą radę tam dojechać – oponowała Kerri.

– Dobry plan – potwierdził miło Josh.

Kerri milczała przez chwilę.

– W porządku. Do zobaczenia w piątek rano – odparła chłodno.

Ładna pogoda szybko odarła Denver z jego śnieżnego okrycia, choć ku uciesze Josha biały puch topniał dużo wolniej i nie zniknął z zacienionych miejsc, gdzie z puszystego proszku przemienił się w krupiate, ziarniste sągi lodu. Josh pozwolił szczeniakom pobawić się na nim, rzucając w drzewa ciężkimi śnieżkami, co Lucy uznała za ekscytujące, choć dosłownie i w przenośni przerastała szczeniaki o głowę. Na kanale pogodowym zastanawiano się, czy słaby front burzowy,

którego nadejście przewidywano na piątkowy wieczór, przyniesie wystarczająco dużo wilgoci, by podarować okolicznym mieszkańcom białe Boże Narodzenie.

Josh spędził swój ostatni dzień z psami, jakby był jednym z nich. Tarzał się z nimi po podłodze, bawił się z nimi ich zabawkami, wyciągnął się obok szczeniaków na dywanie, gdy postanowiły uciąć sobie drzemkę. Lucy nie przestawała go obwąchiwać w poszukiwaniu przyczyny niepokoju, przez który tak dziwnie się zachowywał, ale dla Josha to był dzień idealny, który chciał na zawsze zachować w pamięci.

Gdy wieczorem odkładał szczeniaki do kojca, zaśpiewał im do snu *Cichą noc* i mógł przysiąc, że tuż przed zamknięciem sennych oczu, wszystkie posłały mu dziękczynne spojrzenia.

– Dobranoc, szczeniaczki. To ostatnia noc. W porządku, Rufus? – Josh pogłaskał małego pieska z łata wokół oka, który zwinął się w kłębek obok drobnej Loli, ale tylko udawał, że śpi.

– Wiem, że tęsknisz za Codym – powiedział Josh – ale jutro dostaniesz nową rodzinę. Pielęgnuj wspomnienie o chwilach, które razem spędziliśmy, zamiast żałować, że minęły, jak to mówią.

Te słowa zabrzmiały w jego uszach pusto i, no cóż, głupio. To był idealny dzień z psami, a jutrzejszy już taki nie będzie. Taka płynęła z tego nauka.

Następnego ranka obudził się wcześniej, wziął prysznic, ogolił się i wysprzątał dom.

Nie spędził całego poranka, czekając w oknie, ale Kerri nie mogła tego wiedzieć, ponieważ gdy podjeżdżała pod jego dom, Josh właśnie w nim stał. Wysiadła z samochodu z podkładką do pisania w ręku i spojrzała na Josha, nie machając mu na powitanie.

– Zaczyna się – westchnął.



Rozłożyłam zapisy w czasie – oznajmiła, gdy jej otworzył – ale ludzie nie zawsze pojawiają się o umówionej godzinie, co oznacza, że kilka rodzin może przyjechać jednocześnie. Jeśli tak się stanie, to czy mógłbyś pomóc mi z papierkową robotą? Chodzi tylko o podpisywanie formularzy – wszyscy przeszli już cały proces.

– Ciebie też miło widzieć, Kerri – mruknął pod nosem Josh. Naprawdę miło było ją widzieć; miała na sobie biały sweterek, który założyła na Święto Dziękczynienia, i czarne spodnie i wyglądała olśniewająco.

– Słucham?

– Nie, nic. – Podeszedł do niej, a ona przyłożyła do piersi podkładkę do pisania, zasłaniając się nią jak tarczą. Przesłanie było jasne, więc Josh utrzymał między nimi kilka stóp dystansu, choć przypadkowy powiew wiatru pozwolił mu poczuć lekką woń jej perfum.

„Znudziła się mną w tym całym pośpiechu” – pomyślał.

– Pierwsza jest Sophie – powiedziała Kerri zdawkowym i rzeczowym tonem właściwym dla spotkania w interesach. Sięgnęła do torebki i wyjęła z niej zieloną obrozę z małą czerwoną kulką.

– To właśnie gwiazdkowa obróżka. Prawda, że urocza?

– Mam wpuszczać ludzi do domu czy wynosić szczeniaki tutaj?

– Może gdy pojawi się dana rodzina, po prostu idź po ich pieska – zaproponowała Kerri. – Obrozę możesz im założyć na sam koniec. Z doświadczenia wiemy, że szczeniaki ściągają je sobie zębami, jeśli zbyt wcześnie im je założymy.

– W porządku. – Josh wcisnął ręce do kieszeni. – Myślisz, że czeka nas białe Boże Narodzenie?

Kerri posłała mu chłodne spojrzenie, na co odwrócił wzrok, nie mogąc ścierpieć mdłego uczucia w żołądku wywołanego przez jej zimne oczy.

Na szczęście właśnie wtedy na podwórko wjechał samochód. Siedząca z przodu para w średnim wieku zerkała niepewnie na dom, jak ludzie, którzy nie bardzo wiedzą, czy dobrze trafili.

– Państwo Sherwood? – zapytała Kerri.

– Tak, czy to tu czekają szczeniaki? – odpowiedział mężczyzna.

– Jestem Jody, a to Andy – rzekła kobieta, wskazując męża spojrzeniem. Wszyscy uścisnęli sobie dłonie na powitanie, a Josh zlustrował gości od stóp do głów. Wyglądali elegancko, ale skąd pewność, że będą dobrymi rodzicami dla Sophie?

– Nasze najmłodsze dziecko właśnie wyjechało na studia – wyjaśnił Andy, tak jakby odczytał pytanie w umyśle Josha. – A więc zostaliśmy z pustym gniazdem, że tak powiem.

– Myśli pan, że będzie wolała zabawkę mysz czy piłkę? – zapytała Jody, zaglądając do torby.

– Najprawdopodobniej i jedno, i drugie. – Josh uśmiechnął się na wspomnienie całego mnóstwa zabawek, które przywiózł dla Lucy po swojej pierwszej wizycie w sklepie.

– Państwo przyjechali po Sophie – poinformowała Josha Kerri, a jej oficjalny ton pasował do biurowej podkładki do pisania, którą wciąż trzymała w ręku.

– Pójdę po nią – odpowiedział jej równie oficjalnym tonem.

Tymczasem szczeniaki najwyraźniej stwierdziły, że najwyższa pora przypuścić atak na półkę z książkami, z której ściągnęły powieść T. Jeffersona Parkera, by rozerwać ją na strzępy.

– Hej, maluchy – zbeształ je łagodnie. Powieści Thomasa Perry’ego i Michaela Connelly’ego również były dość mocno nadgryzione. Widać, że szczeniaki miały dobry gust, jeśli chodzi o kryminały.

– No, Sophie – szepnęła łagodnie. Podniósł wierzącą się suczkę. – Pożegnaj się z siostrzyczką i braciszkami. – Założył jej obrożę, a Sophie zaczęła kręcić głową, starając się dostać do tej nowej zabawki.

Pozostałe szczeniaki były zbyt zajęte bijatyką o rozdartą obwolotę, by zauważyć odejście siostry. Ich matka leżała na poduszce w salonie. Na pożegnanie Josh przystawił Sophie nosem do nosa Lucy. Mała polizała mamę i skubnęła ją zębami, ale zdegustowana Lucy odwróciła głowę. Jednak gdy Josh otworzył drzwi wyjściowe, zerwała się na równe łapy i pobiegła przywitać się z Kerri i obwąchać Sherwoodów.

– Wszystko gotowe – zawołała Kerri, machając do Josha swoją podkładką.

– Jest i nasze maleństwo – zagruchała Jody. Wyjęła Sophie z ramion Josha i pocałowała ją w pyszczek. – Uwielbiam ten jej biały koniuszek ogonka, mały biały koniuszek. – Zaśmiała się. – Spójrzcie na jej obrożę, czyż nie jest przeurocza?

– Bardzo urocza – potwierdził radośnie Andy.

Josh przełknął ślinę i skinął głową, słowa więzły mu w gardle. Jody dała Sophie zabawkę kangura. Kangury w Kolorado wydawały się dość szalonym pomysłem, ale małej suczce to nie przeszkadzało. Gdy odjeżdżali, siedziała na kolanach Jody, wpatrując się w Josha i Kerri w kompletnym oszołomieniu, jak

wydawało się jej byłemu panu.

Odwrócił się od Kerri, żeby nie widziała jego łez. U jego boku pojawiła się zaniepokojona Lucy, obwąchując mu dłoń.

– Josh... – odezwała się miękko Kerri.

– Dlaczego musimy to robić? – odpowiedział zachrypniętym głosem. – Widziałaś ten wyraz pyszczka Sophie? Dlaczego wydaje nam się, że mamy prawo rozbijać rodziny?

– Nie rozbijamy rodzin, tylko je tworzymy – odparła Kerri.

Josh próbował zapanować nad sobą, biorąc kilka głębokich haustów powietrza. Kerri przyglądała mu się pewnie swoimi wyrazistymi niebieskimi oczami.

– Wiem, że teraz rozstania szczeniaków wydają ci się smutne, ale przysięgam, że Sophie będzie bardzo, bardzo szczęśliwa. One wszystkie są szczęśliwe.

– Skąd możesz to wiedzieć?

– Bo towarzyszenie nam, ludziom, to sens życia psów, Josh. Właśnie pod tym kątem je hodowaliśmy, po tysiącach lat mają to dosłownie we krwi. Gdybyś zobaczył niektóre dzikie psy, które znajdujemy, zrozumiałbyś. Życie z dala od ludzi, nawet w sforze psów, nie jest zgodne z ich naturą. Nie są szczęśliwe.

– Czy to też jedno z twoich przemówień?

Zamrugnęła, jakby właśnie próbował wymierzyć jej policzek.

– Nie – odpowiedziała cicho.

Na podjeździe pojawił się znajomy SUV. To był Matt, nowy znajomy Josha, który przyjechał ze swoją córeczką, Juliet. Kerri podała Joshowi kolejną gwiazdkową obrozę.

– Pójdę po Lolę – powiedział im. Na widok tych nowych gości Lucy zamerdała ogonem, po czym usiadła i pozwoliła Juliet się pogłaskać.

Gdy Josh wyszedł z domu, coś podpowiedziało mu, żeby postawił suczkę na trawniku, a kiedy to zrobił, Juliet przykłękała i Lola puściła się pędem przez pożółkłą trawę, wskakując wprost w ramiona dziewczynki. Rozżalenie Josha nieco zelżało, gdy zobaczył ich radosne spotkanie. Cokolwiek by się tego dnia nie działo, ta chwila była piękna.

– Jak reklama psiej karmy – stwierdził Josh, dołączając do dorosłych. Matt właśnie podpisywał dokumenty dla Kerri.

– Mała tylko ją chciała na gwiazdkę – odpowiedział Matt. Oddał podkładkę Kerri i uścisnął Joshowi rękę. – Jestem ci bardzo wdzięczny.

– Nie ma za co – powiedział Josh.

Gdy odjechali, Josh skrzyżował ręce na piersiach. Zrobiło mu się chłodniej.

– Mam przecucie, że następne czterdzieści osiem godzin Lola spędzi na byciu przytulaną – zawyrokowała radośnie Kerri.

Josh nie odpowiedział.

– Czy to pomogło? Widok tej małej dziewczynki i tego, jak są razem szczęśliwi?

Josh nie był w stanie wymyślić odpowiedzi, która nie miałaby w sobie jakiegoś kolca. Nie cierpiał, gdy ktoś traktował go protekcjonalnie. Przecież ma swój rozum.

– Psy trafiają do nas przez cały rok – ciągnęła dziewczyna. – W każdej chwili możesz jednego adoptować. A nawet dwa albo trzy.

– Nie chcę innych psów, chcę moje psy – odparł smutno. „Nikt tego nie rozumie”.

– Następny jest Rufus – powiedziała Kerri po dłuższej ciszy. Wrogość pojawiła się między nimi jeszcze raz.

Jak się okazało, to nie Rufus był następny. Długo i bezowocnie czekali na jego nową rodzinę, ale zamiast niej pojawił się nowy właściciel Olivera, starszy mężczyzna, którego pobrużdżona twarz rozjaśniła się w szerokim uśmiechu, gdy Josh przyniósł pieska. Wyglądem bardzo przypominał typowego mieszkańca Evergreen: był ubrany na cebulkę i nosił ciężkie buty. Jego SUV był zaopatrzony w wielofunkcyjny bagażnik dachowy z zaciskami na narty i kajak, a przez tylną szybę było widać duży ciężki plecak.

– Chodzi pan po górach? – zgadywał Josh.

– Tak – odpowiedział mężczyzna, z uwagą skupioną na swoim nowym szczeniaku. – Ten maluch i ja wyruszymy na szlak, gdy tylko wystarczająco podrośnie.

Josh zerknął badawczo na Kerri, która w odpowiedzi uniosła lekko ramiona.

– Żegnaj, Oliver – szepnął Josh, przekazując szczeniaka nowemu właścicielowi. Miniaturowa bombka zakołysała się na jego obroży.

– Jest na emeryturze, a jego żona zmarła niedawno na raka – powiedziała Kerri, gdy mężczyzna odjechał z Oliverem.

Josh spojrział na nią.

– Nowy tata Olivera – wyjaśniła. – Będzie go kochał, obaj będą dla siebie centrum wszechświata.

– Jesteś w tym całkiem niezła. To znaczy w znajdowaniu odpowiednich ludzi. Zakupoholiczka dla Sophie i obieżyświat dla Olivera.

– No cóż, praktyka czyni mistrza.

Skinął głową i zerknął na frontowe okno domu, w którym zobaczył ostatniego szczeniaka, Rufusa, który się im przyglądał. Josh zacisnął usta. Biedny maluch, został całkiem sam.

– Josh – szepnęła Kerri. Chciała go dotknąć, ale powstrzymała się, przypominając sobie, że spisała go na straty. – Strasznie mi przykro.

– Taa. – Josh schylił się i pogłaskał Lucy po głowie. Wydawało mu się, że

w jej oczach widzi coś na kształt współczucia. Psia mamusia wyglądała na osobliwie nieprzejętą całą tą serią pożegnań. Czyżby nie opłakiwała straty swoich dzieci? Czy tylko Josh się tym przejął?

– Nie mogę złapać zasięgu – poskarżyła się Kerri, spoglądając ze zmarszczonymi brwiami na swoją komórkę.

– Taki urok tego miejsca. Z tyłu jest pagórek, na którym można czasem złapać zasięg. Mogę cię zaprowadzić.

– A czy mogę po prostu skorzystać z twojego telefonu stacjonarnego? Może dodzwonię się do ludzi, którzy mają przyjechać po Rufusa.

– Pewnie. Chodź, Lucy.

Gdy otworzyli drzwi wejściowe, Rufus już na nich czekał. Zaczął podskakiwać i lizać mamę po pyszczku. Lucy wytrzymała całe dziesięć sekund tych pieścizot, po czym odwróciła się do niego ogonem.

– Hej, Rufusku – zawołał go Josh, podnosząc pieska. Szczeniak wpatrywał się w niego wzrokiem pełnym wyrzutów. – Jeszcze chwila i ty też pojedziesz do nowej rodziny.

– Nikt nie odbiera – powiedziała Kerri, wracając. – Nie włączyła się też poczta głosowa. Myślałam, że już wszyscy ją mają.

Josh postawił pieska na podłodze, a ten pomaszerował z powrotem do sypialni z kojcem.

– Zastanawia się, gdzie się podziała jego rodzina – szepnął Josh. Wiedział doskonale, jakie to uczucie, jak ogłuszająca potrafi być cisza wśród pustych ścian.

Nagle Lucy odwróciła gwałtownie głowę. Zaskomlała cicho i podreptała do okna z postawionymi uszami.

– Lucy, o co chodzi? – zapytała Kerri. Josh nie odezwał się, choć znał odpowiedź na jej pytanie.

Na podjeździe obok samochodu Kerri zatrzymał się jeep, a Lucy dopadła do drzwi i zaczęła skrobać ościeże i obwąchiwać szparę, zza której wdychała głęboko powietrze, drżąc przy tym, skomląc i cicho, niespokojnie szczekając. Josh podszedł do drzwi i je otworzył, a Lucy wypadła z domu jak rakieta, kilkoma susami przeskoczyła przez podwórko i dosłownie rzuciła się na kobietę o długich czarnych włosach, która stała teraz przy swoim samochodzie.

– Luce! Luce! – wołała kobieta ze łzami w oczach.

W niepowstrzymanym szale radości Lucy płakała, łkała, biła ogonem, przywierając do ziemi, przekręcała się na grzbiet, po czym znowu podrywała się na równe łapy, podskakiwała i lizała kobietę po twarzy.

– Lucy, moja Lucy – szlochała Serena, opadając na kolana i przytulając suczkę.

Z dłonią przy ustach Kerri stanęła obok Josha na tarasie.

– Mój Boże – szepnęła.

Josh nigdy czegoś takiego nie widział – euforia Lucy, jej ekstaza, były doskonałym ucieleśnieniem czystego szczęścia.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś? – zapytała Kerri.

Josh wzruszył ramionami.

– Nie chciałem, żebyś pomyślała, że robię to dla ciebie. Robię to dla Lucy.

Milczała przez dłuższą chwilę.

– Tego właśnie pragnie Lucy – powiedziała cicho.

Josh zadrżał i zamknął drzwi, żeby ciepło nie uciekało z domu. Razem zeszedli ze schodków.

– Już dobrze, Luce, już dobrze – uspokajała suczkę Serena, śmiejąc się.

Gdy się wyprostowała, Lucy zaczęła podskakiwać, starając się dosięgnąć jej twarzy.

– Siad, głuptasku. Siad.

Lucy próbowała usiąść, ale przeszkadzał jej dziko merdający ogon. Liziała dłoń Sereny, jakby dziewczyna wcześniej trzymała w niej kawałek bekonu.

– Josh? – zapytała Serena.

– Tak. To Kerri ze schroniska.

Serena miała piękne oczy i karmelową skórę. Odrzuciła z twarzy swoje gęste włosy i uściśniła obojgu rękę na powitanie.

– Mój lot był opóźniony, oczywiście. Przyjechałam prosto z lotniska. Nie wiem, jak ci dziękować za opiekę nad moją Lucy!

– Nie ma sprawy. Gdyby nie ona, szczeniaki by nie przeżyły – powiedział Josh.

Suczka zerknęła na niego, jakby rozumiała, że o niej mówi.

– Schronisko? – Serena spojrzała na podkładkę w dłoni Kerri. – Czy muszę coś zrobić, żeby odzyskać psa?

– Nie, nie. To jasne, że Lucy jest twoja.

Wszyscy się roześmiali, ale gdy śmiech ucichł, pojawiło się między nimi dziwne napięcie. Josh wiedział, w czym rzecz: Serena chciała zabrać Lucy i odjechać, ale zdawała sobie sprawę, że to dla niego trudne.

– Pewnie chcesz już jechać – zachęcała Kerri. Potrafiła też czytać w myślach Sereny.

– Och, tak, to znaczy... Moja siostra przychodzi z dziećmi na imprezę powitalną – odpowiedziała Serena, lekko unosząc kąciki ust.

– Czy dałabyś mi chwilę z Lucy? – poprosił Josh.

Nikt nie uznał tej prośby za dziwną.

– Pewnie – zgodziła się Serena.

Lucy jednak nie chciała ruszyć się od niej na krok, dopóki Kerri nie wpadła na pomysł, by otworzyć drzwi jeepa. Suczka radośnie wskoczyła na przednie siedzenie, gotowa do powrotu do domu znajomym pojazdem ze swoim

człowiekiem. Josh stanął przy otwartych drzwiach i objął suczkę, a ona polizała go po uchu.

– Jesteś takim grzecznym pieskiem, Lucy – szepnął. – Uratowałeś szczeniaki. Byłaś wspaniałą psią mamą. Dzięki tobie jadą teraz do dobrych domów. – Josh spojrział w jej głębokie brązowe oczy i zdawało mu się, że widzi w nich zrozumienie. – Tak bardzo będę za tobą tęsknił. Kocham cię, Lucy. Żegnaj. Jesteś takim dobrym, dobrym pieskiem. – Wycofał się, zamykając drzwi samochodu. Lucy jeszcze przez chwilę patrzyła mu w oczy, po czym wróciła wzrokiem do Sereny, która wciąż stała z Kerri. Josh dał sobie dłuższą chwilę na uspokojenie, a następnie odwrócił się z zaciśniętymi ustami, na których drżał lekki uśmiech.

– Czy mogę zapłacić ci za...? – zapytała Serena.

– Och, nie, nie trzeba – odparł Josh.

– Dobrze. Jeszcze raz dziękuję. Wesołych świąt!

– Wesołych świąt. Szerokiej drogi – powiedziała Kerri.

– Zaczekaj – zatrzymał ją nagle Josh.



Kerri patrzyła na Josha tak, jakby bała się, co zaraz powie. Josh odwrócił się i zerknął na Lucy – przyglądała się im cierpliwie z przedniego siedzenia samochodu – po czym wrócił wzrokiem do Sereny.

– Tak? – zapytała.

– Powiedziałas, że czasami wyjeżdżasz... Pomyślałem sobie, że następnym razem możesz zostawić Lucy u mnie. Jeśli chcesz, oczywiście. – Josh uniósł lekko ramiona.

– Och, pewnie! – zawołała Serena. – Byłoby super!

– Super – powtórzyła Kerri z ulgą.

Skłonienie Lucy, żeby przestała lizać ją po ręce i wskakiwać swojej pani na kolana, zabrało Serenie całą minutę. Potem jeep ruszył, a Josh widział, jak Lucy patrzy na niego przez szybę. Kiedy samochód wyjeżdżał z podwórka, uniósł rękę, by im pomachać.

– Do widzenia, Lucy – szepnął.

Odwrócił się do Kerri, a ona zbliżyła się do niego, objęła go i położyła mu głowę na piersi.

– Jesteś mężczyzną, za jakiego cię miałam – szepnęła stłumionym głosem. – Tak bardzo się cieszę.

Weszli razem do domu.

– Rufus! – zawołał Josh.

Klasnął w dłonie, zagwizdał i jeszcze kilka razy zawołał imię szczeniaka. W końcu z sypialni wyłonił się Rufus poirytowany, że go budzą. Wszedł do salonu, obwąchując kąty i rozglądając się dookoła.

– Wszyscy odeszli, maluchu. Tak mi przykro – oznajmił Josh.

Kerri trzymała przy uchu telefon, sprawdzając pocztę głosową. Po chwili rozłączyła się i odwróciła do Josha z dziwnym spojrzeniem.

– Muszę iść.

Joshowi opadły ramiona.

– Jak to? Dlaczego? Miałem nadzieję, że... – Uniósł dłonie, nie wiedząc, czy powinien wyartykułować to, co chciał powiedzieć.

– Schronisko jest niby zamknięte, ale ktoś właśnie przyprowadził psa, a Madelyn musi wracać do domu.

– Co? Przecież jest wigilia Wigilii. Nie możecie po prostu powiedzieć, żeby wrócili później?

– Nie robimy tak, Josh. Nie ma sprawy.

– Nie ma sprawy, że ludzie podrzucają wam swoje psy? A więc tamta rodzina porzuca nagle własnego psa? W Boże Narodzenie?

– Nie, oczywiście, że to nie jest okej. Chodzi mi o to, że nie ma sprawy, żebym pojechała do schroniska. Madelyn ma dzieci, ja nie. Jest przedświąteczny weekend.

– Pojadę z tobą.

– Ale przecież musisz zostać i czekać na ludzi od Rufusa.

Josh zerknął przez ramię na śpiącego szczeniaka.

– Jeśli w ogóle się pojawią.

– Tak... Nie wiem, co się stało. – Kerri uniosła lekko ramiona.

– Może przywieziesz tu tego nowego psa?

– Może. – W jej oczach znowu pojawiło się to dziwne spojrzenie. Co ono znaczyło?

– Bo wiesz, miałem nadzieję, że... Słuchaj, wrócisz?

Kerri uśmiechnęła się do niego.

– Pewnie. Jutro będę w terenie.

– Jutro – powtórzył Josh mocno rozczarowanym tonem.

– Dam ci numer komórki – powiedziała. – Żebyś mógł zadzwonić.

– Och, czy na pewno jesteś na to gotowa?

Przyjrzała się jego twarzy i uśmiechnęła się.

– Umiesz żartować... – stwierdziła.

Informacja, że może już nigdy nie zobaczyć Kerri, nie zrobiła na Rufusie żadnego wrażenia, nawet wtedy, gdy Josh podniósł drzemiącego szczeniaka i przyłożył jego nos do policzka dziewczyny.

– Niedługo ktoś się po ciebie zgłosi, Rufusku. A teraz pożegnaj się z Kerri.

Zaśmiała się.

– Wygląda na sennego.

– Przepraszam za niego.

– Nie, w porządku. Naprawdę. Nie każde pożegnanie musi być dramatyczne.

Josh poczuł, że Kerri miała właśnie wygłosić jedną ze swoich wyuczonych mów, ale się powstrzymała. Wyszła i odjechała, machając lekko na pożegnanie.

– Nic tylko odchodzi i odchodzi – poskarżył się Josh szczeniakowi w swoich ramionach. – Muszę zrozumieć, co robię nie tak, i to zmienić, żeby chciała zostać.

Przez resztę dnia Josh chodził spięty, czekając na rodzinę, która miała przyjechać po Rufusa. Słońce szybko opuściło niebo, kryjąc się za horyzontem przysłoniętym od północnego zachodu przez górski łańcuch. Nad częścią wzgórz, na której mieszkał Josh, zapanowała noc. Po Rufusa nikt nie przyjechał.

– Po prostu świetnie – bąknął Josh, poirytowany, że spędził całe popołudnie jak na szpilkach, czekając na coś, co nie nadeszło.

Rufus ziewnął i podszedł do drzwi, więc Josh go wypuścił, a piesek przykucnął na podwórku, oglądając się na Josha, tak jakby prosił go o zauważenie ważnego faktu, że sam chciał wyjść za potrzebą.

– Tak, zrozumiałem, jesteś psim geniuszem – zachwycił się Josh.

Przez chwilę Rufus obwąchiwał trawę, być może wyczuwając zapach swojej rodziny, po czym podreptał do Josha, który wziął go na ręce i wniósł z powrotem do środka.

Podgrzał sobie makaron z serem i ugotował parówkę do hot doga. Rufus spał na poduszce Lucy, nie okazując najmniejszego zainteresowania kucharskimi umiejętnościami swojego pana. Po kolacji Josh usiadł z książką, a Rufus ułożył się wygodnie na jego piersi i od razu zasnął.

Zanim sam położył się spać, Josh poszedł na „pagórek łączności”, żeby wysłać Kerri SMS-a: „Zatrzymam Rufusa”. Nie odpisała, więc nie wiedział, czy wiadomość doszła, ale nie zadzwonił, by to sprawdzić. Nie chciał o tym mówić.

Gdyby wysłał wiadomość z komputera, prawdopodobieństwo, że dotarła do adresatki, byłoby większe. Nie miał ochoty zastanawiać się, dlaczego zamiast komputera użył komórki.

Następnego ranka wziął młotek i zaczął rozbierać kojec. Starannie usunął wszystkie gwoździe, aby użyć desek jako opału i nie musieć potem wybierać z popiołu kawałków metalu. Deski odłożył do wyniesienia na stertę drewna, ale koc zostawił na miejscu, w razie gdyby Rufus potrzebował czegoś znajomego dla poprawy humoru. A w każdym razie tego właśnie potrzebowałby Josh na jego miejscu.

Właśnie kończył, gdy z salonu dobiegł jego uszu cichy dźwięk. Przerwał pracę, podnosząc głowę. Usłyszał go znowu i uśmiechnął się szeroko. Rufus szczekał, uruchamiając najgłębsze czeluście swojego gardła, żeby zabrzmieć jak najgroźniej, co wyszło przekomiczne.

– Już dobrze, strózu! – zawołał Josh.

To pewnie Kerri. Josh wpadł do łazienki, poprawił włosy, umył zęby i przepłukał usta. Powąchał się pod pachami i uznał ich stan za satysfakcjonujący, ale dla pewności popsikał się jeszcze dezodorantem. Lekko spryskał szyję wodą kolońską, ale skrzywił się, czując jej zapach, więc zaczął dziko ścierać go z szyi wilgotnym ręcznikiem.

Przez cały ten czas myślał, że zaraz usłyszy wchodzącą po schodkach Kerri i pukanie do drzwi, ale nic takiego nie nastąpiło.

Rufus jeszcze raz zawarczał, po czym porzucił groźny ton i zaczął niecierpliwie szczekać, żeby wypuścić go na dwór.

– Hej, kolego, czy to Kerri? Kerri przyjechała? – zapytał Josh, wychodząc

z łazienki. Rufus stał przy frontowym oknie i merdał sztywno ogonem. Josh podszedł bliżej i stanął za nim, żeby zobaczyć, czemu szczeniak tak się przygląda.

Na końcu podjazdu stały obok siebie dwa wozy i dwie osoby. Obie były kobietami. Jedną z nich była Kerri.

A drugą Amanda.

Josh myślał, że zaraz dostanie zawału. Przełknął ślinę, nie wierząc własnym oczom. Serio?

Amanda zmieniła fryzurę – nie miała już grzywki i skróciła włosy, które teraz sięgały jej tylko do ramion. Poza tym w jej wyglądzie nic się nie zmieniło. Josh rozpoznał nawet czarny sweter, który jej kiedyś podarował, a który miała teraz na sobie, i kurtkę narciarską, którą kupił jej na ostatnim wyjeździe do Breckenridge. Obie z Kerri uśmiechały się do siebie, gawędziły i kiwały głowami, co wydało mu się całkowicie nienaturalnym stanem rzeczy.

– Ratuj mnie, Rufusku – jęknął cicho. Szczeniak nie patrzył na niego, jego uwaga była skupiona na dziewczynach. Wzdychając ciężko, Josh otworzył drzwi, a Rufus precyzyjnie się między jego nogami i cały rozradowany popędził schodkami w dół, niemalże się przy tym przewracając.

– Cześć, Rufus! – zawołała Kerri. Jednak szczeniak najpierw podszedł do Amandy, obwąchując jej wyciągnięte dłonie.

– Jaki uroczy! – krzyknęła. Potem wyprostowała się, odrzuciła włosy z twarzy i uśmiechnęła się do Josha.

– Cześć, nieznajomy – przywitała się łagodnie.

– Cześć – odpowiedział zmieszany Josh.

Rufus podbiegł do Kerri i zaczął obsesyjnie obwąchiwać jej kozaczki, najprawdopodobniej wyczuwając wszystkie schroniskowe zapachy. Kerri schyliła się i pogłaskała szczeniaka, ale nie odrywała wzroku od Josha.

Śmiejąc się cicho, Amanda wyciągnęła ręce i podeszła do Josha, a on sztywno ją objął. Wystawiła policzek, ale gdy zbliżył się, by ją pocałować, poruszyła się, tak że musnęli się ustami.

– Przyjechałyśmy jednocześnie. Patrzyłam w lusterko, zastanawiając się: czemu ten samochód mnie śledzi? No cóż. To najbardziej uroczy szczeniak, jakiego kiedykolwiek widziałam! – mówiła Amanda. Nie oderwała się od niego od razu, obejmując go jeszcze przez kilka sekund po tym, jak opuścił ramiona.

– Uroczy, też coś – odparł Josh. Poczuł, jak jego ciałem wstrząsa silny dreszcz, zupełnie jakby znalazło się pod ogromnym napięciem i miało zaraz wybuchnąć. Zauważył, że tylne siedzenie samochodu Amandy było pełne kartonowych pudeł, bardzo podobnych do tych, w które zapakowała swoje rzeczy, gdy się od niego wyprowadzała.

Co to znaczyło?

Oczywiście dobrze wiedział co. Od tamtego pamiętnego kwietniowego dnia,

gdy odeszła, wyobrażał sobie tę scenę niezliczoną ilość razy.

Poczuł mdłości. Chciał zamknąć oczy, a gdy je otworzy, znaleźć się gdzie indziej.

Amanda była piękna. Wszyscy tak twierdzili – i mieli rację.

I czy to nie jej kaprysy i zachcianki kochał w niej najbardziej? Może i była ciągle niezadowolona, ale czy to nie dzięki jej niegasnącemu zamiłowaniu do wędrówek przeżyli tyle wspaniałych przygód?

Wszystko to przetwarzał w swojej głowie, zupełnie jakby ktoś wysyłał wiadomość tekstową bezpośrednio do jego mózgu. Przyglądał się jej z czymś na kształt wyrzutów sumienia w sercu.

– Twoja koleżanka opowiadała mi właśnie, że przygarnąłeś szczeniaki. To naprawdę wspaniałe – pochwaliła go Amanda, błyskając uśmiechem.

Josh odchrząknął.

– Szkoda, że nie widziałam ich wszystkich – ciągnęła pogodnie. – Wiesz, jak bardzo kocham psy. Czy opieka nad szczeniakami sprawiła, że zmieniłeś zdanie w sprawie psa, Josh? – zerknęła przez ramię na Kerri. – Chciałam mieć psa, ale jak dotąd bronił się przed tym rękami i nogami.

– Naprawdę? – odpowiedziała grzecznie Kerri.

– Amando – przerwał jej, w końcu odzyskując mowę.

Spojrzała na niego wyczekująco. Wskazał głową Kerri.

– Kerri nie jest tylko moją koleżanką.

Obie nie odrywały od niego wzroku, czekając na to, co dalej powie.

– Kerri to moja dziewczyna.

Amanda i Kerri wyglądały na równie zszokowane tą informacją.

– Och – odezwała się w końcu Amanda.

Josh popatrzył na Rufusa, który wciąż obwąchiwał nogi Kerri, a potem uniósł wzrok i spojrzał na dziewczynę. Uśmiechała się, a on odwzajemnił jej radość.

– Przepraszam – zwróciła się do Kerri speszona Amanda.

Kerri machnęła ręką.

– Nie ma sprawy.

Amanda wskazała głową dom.

– A więc czy wy...

– Nie, nie mieszkam tu – odpowiedziała Kerri.

„Póki co” – chciał powiedzieć Josh, ale tego nie zrobił.

– Rozumiem. – W oczach Amandy pojawił się błysk wyrachowania. Gdyby Josh nie znał jej tak dobrze, zapewne nawet by go nie zauważył. Ale zauważył, a kiedy zerknął na Kerri, zrozumiał, że i w tym wypadku uaktywniła się jej zdolność czytania w myślach.

– No cóż, to jest... – Amanda zaśmiała się, jakby zgadywała, że oboje

wiedzą, co chce powiedzieć, i Josh zdawał sobie sprawę, że do pewnego stopnia tak właśnie jest. – Tak jakby się wyprowadzam. A właściwie to już się wyprowadziłam. Z Fort Collins – wyjaśniła.

Josh spojrział na nią. Amanda przygryzła usta, a w jej oczach zatańczyły figlarne iskry, takie same jak te, które pojawiały się, gdy w sobotnie popołudnia proponowała powrót do łóżka na „drzemkę”.

– Pozwolisz starej znajomej przespać się na kanapie? – zapytała.

Josh czuł, że Kerri na niego patrzy.

– To nie jest najlepszy pomysł – powiedział.

Amanda wyglądała na zranioną.

– Josh, jest Wigilia, a ja... Ja naprawdę nie mam gdzie pójść.

– Och, naturalnie – odparł Josh. – Gdzie ja mam głowę!



Josh sięgnął do kieszeni po portfel.

– Mam dwieście dolarów – powiedział, przeliczając banknoty. – To powinno wystarczyć na dwa noclegi w jakimś hotelu.

Wyciągnął do niej rękę z pieniędzmi, podczas gdy ona sięgnęła po swoją popisową minę zranionej sarenki. Był gotowy na wszystko, byle tylko zniknęła.

– Jest Wigilia – powtórzyła.

– Na twoim miejscu wybrałabym Brown Palace – podsunęła usłudźnie Kerri, mając na myśli jeden z najstarszych okolicznych hoteli, który tak się składa, znajdował się hen, po drugiej stronie wzgórza, w centrum Denver. – W święta mają pięknie udekorowane lobby.

– Nie potrzebuję pieniędzy, Josh – powiedziała Amanda, starając się ukryć gniew, co nie do końca jej się udało. Celowo nie patrzyła na Kerri. – Chciałam się z tobą zobaczyć.

– Ciebie też miło było zobaczyć, Amando – odparł grzecznie.

W odpowiedzi posłała mu skąpy uśmiech i zimne spojrzenie. Josh przyjął to ze spokojem i nie poruszył się, wiedząc, że dziewczyna czeka, aż złoży broń. Nagle poderwał się wiatr, kołysząc drzewami, których konary aż zatrzęszczały, ale oni stali w milczeniu.

– Będę się zbierać – oznajmiła w końcu Amanda, nie spuszczać oczu z Josha.

– Wesołych świąt – powiedziała wesoło Kerri.

Amanda odwróciła się i otworzyła drzwi samochodu, zaciskając mocno usta. Josh podniósł Rufusa i stanął obok Kerri, patrząc, jak Amanda zapala silnik i odjeżdża. Zamachał jej na pożegnanie, ale nie odwzajemniła tego gestu.

Gdy jej samochód ostatecznie zniknął z zasięgu ich oczu i uszu, Kerri odwróciła się do Josha, kręcąc głową.

– Jedno ci powiem: z tobą nie można się nudzić – stwierdziła z podziwem.

– Powiedziałas mi kiedyś, że nic nie świadczy o tym, że między nami coś jest. Chciałem to zmienić – wyjaśnił.

Odrzuciła głowę, patrząc na niego.

– A więc jestem teraz twoją dziewczyną? Bo jakby to powiedzieć... Pierwsze słyszę.

– Przepraszam za zuchwałość – odparł Josh, ale wcale nie było mu przykro.
– W porządku. Podobało mi się to. – Uśmiechnęli się do siebie. – Amandę zatkało, gdy to usłyszała – zauważyła Kerri.

– Och, nie rozmawiajmy o niej – poprosił.

Roześmiała się.

– Chodźmy do środka – zaproponował. – Mam dla ciebie prezent gwiazdkowy i nie wytrzymam do jutra.

– Ja też, ale zaczekaj. – Podeszła do bagażnika swojego samochodu i podniosła klapę. Otworzyła rozpadający się transporter i wyjęła z niego szczeniaka.

To był Cody.

Gdy postawiła go na ziemi, Rufus zerwał się z miejsca i pognał do braciszka, wpadając na niego z impetem. Zaczęli się razem tarzać, nie posiadając się z radości.

– Cody! – zawołał Josh, uderzając dłońmi o kolana. – Do nogi, piesku!

Cody i Rufus byli zbyt zaaferowani powitaniem, żeby zwracać jakąkolwiek uwagę na Josha. Kerri wyjęła z samochodu małą paczuszkę, schowała ją do kieszeni kurtki i cała czwórka – dwoje ludzi i dwa psy – skierowała się w stronę domu. Cody szedł krok w krok za prowadzącym go Rufusem, potykając się jedynie na pierwszym i ostatnim z drewnianych schodków tarasu.

– Dostałaś mojego SMS-a? – zapytał Josh.

Marszcząc brwi, Kerri sięgnęła po telefon.

– Nie, nie dostałam. Kiedy wysłałeś?

– Wczoraj wieczorem. Pewnie siedzi jeszcze w mojej komórce i dostaniesz go, gdy tylko zjadę ze wzgórza i złapię zasięg.

– Nie odebrałam też telefonu od ciebie.

– Hm. A miałem zadzwonić? – Spojrzał na nią z ukosa.

– To co było w tej wiadomości?

– Co się stało? – odpowiedział pytaniem. – To znaczy z Codym.

– Och. Rodzina, która go adoptowała, tak naprawdę nie była na to przygotowana. Nie wiedzieli, jak wielka jest różnica między psem, który stracił wzrok, a takim, który jest niewidomy od urodzenia. Suczka, którą adoptowali, miała ponad sześć miesięcy, gdy oślepla, więc znała już układ domu, wiedziała, gdzie stoją meble, i była nauczona czystości. Biedny Cody spędził ostatnie dwa tygodnie, wpadając na wszystkie sprzęty, i ciągle płakał. Nie był w stanie znaleźć podkładek dla szceniąt, które mu rozłożyli, i ciągle się gubił. Cała rodzina była pewnie jednym wielkim kłębkim nerwów. Nawet nie zadzwonili, tylko pojawili się z nim wczoraj w schronisku i oddali go Madelyn, jakby zwracali do sklepu jakąś parę butów. Nie rozumiem ludzi...

– To co teraz?

Kerri wypuściła powietrze.

– A więc teraz zrobimy dla niego chyba nowe ogłoszenie. Jest taki uroczy, wiele osób o niego pytało. Musimy je tylko wszystkie przejrzeć i znaleźć kogoś, kto umie zajmować się niewidomym psem.

– Niestety tak nie zrobimy.

Na ustach Kerri zatańczył lekki uśmiech.

– Co masz na myśli?

Josh wskazał miejsce na podłodze, gdzie bawili się Rufus i Cody.

– Rufus ani przez chwilę nie był taki szczęśliwy od chwili, gdy Cody odszedł. Nie sądziłem, że szczeniak może dostać depresji, ale teraz, gdy znowu są razem, widzę, czego mu brakowało. Rufus potrzebuje Cody'ego, a Cody Rufusa.

– Mnie też się wydawało, że o to właśnie chodzi.

– Co do mnie, to uważam, że ludzie, którzy mieli się wczoraj tu pojawić i nawet nie zadzwonili, stracili swoją szansę. Nie interesuje mnie, czy zostali porwani przez kosmitów... Są skreśleni.

– Tak. Ale czy jesteś pewien, że podołasz zadaniu? Dwa szczeniaki, z czego jeden niewidomy?

– A będę miał pomoc?

– Masz na myśli Rufusa?

– Mam na myśli ludzką pomoc.

Kerri posłała mu szeroki uśmiech.

– A chcesz ludzkiej pomocy?

– Tak, chcę. Chcę mnóstwo ludzkiej pomocy.

– Okej.

– Takiej nieprzerwanej.

– Zrozumiano.

Teraz oboje się uśmiechali.

– Hej, pora żebyś otworzyła swój prezent! – wykrzyknął.

Pod choinką leżało duże, zapakowane w ozdobny papier pudło, wielkości przynajmniej ośmiu chlebaków.

– To dla mnie?

– Tak.

– Co to, lodówka?

Josh zaśmiał się.

– Po prostu rozpakuj.

Kerri zdjęła kurtkę, rzuciła ją na sofę i pochyliła się nad prezentem. Słyszając szelest rozrywanego papieru, szczeniaki porzuciły zapasy i przybiegły sprawdzić, co się dzieje: Rufus przyciśnięty do lewego boku Cody'ego.

– Hej! – zawołała uradowana Kerri. To był nowy transporter dla psów. – Właśnie tego potrzebuję!

– Och, wiem – zapewnił ją Josh.

Pieski przystąpiły do rwania papieru, szarpiąc nim, jakby rozprawiały się z węzłem.

– A teraz coś dla ciebie – powiedziała Kerri. Podeszła do sofy, sięgnęła do kieszeni kurtki i wyjęła z niej pięknie zapakowaną paczuszkę wielkości małej książki w twardej oprawie.

Josh odwinął papier i otworzył pudełko. W środku były dwie smycze i dwie obroże z zawieszkami. Na jednej widniało imię „Rufus”, a na drugiej „Cody”.

– Robimy je od ręki w schronisku – wyjaśniła Kerri – więc to bardziej symboliczny prezent.

– A więc wiedziałas, że zatrzymuję Rufusa? Myślałem, że nie dostałaś mojego SMS-a.

– Wiedziałam, bo nie zadzwoniłeś. Stwierdziłam, że może być tylko jeden powód, dla którego nie chcesz ze mną rozmawiać, że jest tylko jedna rzecz, o której nie chcesz mi powiedzieć.

– Jakbyś mi w myślach czytała.

– Dokładnie tak.

– Cóż, lepiej przestań.

Roześmiała się.

– Ale poważnie, jesteś jakimś medium?

– Nie, nie jestem żadnym medium. Nie miałam pojęcia, co się dzieje, gdy na drodze pojawiła się blondynka za kierownicą, jadąc jakieś dziesięć jardów przede mną, od centrum Evergreen aż pod twój dom. A kiedy okazało się, że to Amanda... Myślałam, że to znowu się stanie.

– Co? Co miało się znowu stać?

– Że gdy już zaczęło się idealnie układać, znowu wydarzy się coś, co wszystko zepsuje.

– Tak, przez sekundę i ja tak myślałem.

Uśmiechnęli się do siebie, wpatrzeni w swoje oczy.

– A więc nigdy nie pozwólmy, by znowu wydarzyło się coś, co wszystko zepsuje – powiedział Josh.

Stali przy choince, całując się, podczas gdy szczeniaki kontynuowały swój zabójczy atak na ozdobny papier. Kerri tak idealnie wpasowywała się w jego ramiona – dla Josha nie istniało na świecie nic wspanialszego.

– Wiesz, na co mam ochotę? – zapytała.

Josh mimowolnie spojrział w stronę swojej sypialni, na co Kerri ponownie się roześmiała, odpychając się od jego ramion.

– Nie na to – zbeształa go przekornie.

– Prosiłem, żebyś przestała czytać mi w myślach.

– Pomyślałam sobie, że moglibyśmy wziąć szczeniaki, pojechać do centrum

i po prostu cieszyć się duchem świąt. Przechodniami, kolędnikami, światełkami – nie sądzisz, że to właśnie jest najlepsze w mieszkaniu w małym miasteczku?

Tak, to rzeczywiście było najlepsze. Na ulicach pojawili się kolędnicy, a wszystkie sklepy były oświetlone pięknymi świątecznymi iluminacjami jak ogromne reprodukcje wioski z kominka Josha. Na początku szczeniaki nie były pewne, czy smycze im się podobają. Wykręcały się i wyszarpywały spod nieznanej kontroli, ale po jakimś czasie ją zaakceptowały. Szły tuż obok siebie, wężąc dziko za wszystkimi nowymi zapachami.

Zatrzymali się przy Jeziorze Evergreen, by poprzyglądać się wirującym na lodzie łyżwiarzom. Josh zamrugał, gdy zobaczył przejeżdżającego obok nich Chucka, brata małej Juliet. Odwrócił głowę i przesunął wzrokiem po ławkach wokół jeziora. Najpierw dostrzegł małą dziewczynkę, a potem szczeniaka siedzącego na jej kolanach. Zaprowadził Rufusa i Cody'ego na spotkanie z Lolą.

– Lola! – zawołał. Juliet postawiła suczkę na ziemi i cała trójka wpadła w szal radości, skacząc na siebie i dokazując. Juliet zachichotała, zakrywając usta dłonią w rękawiczce.

– Nie przypuszczałem, że to się kiedyś stanie – powiedział Josh, patrząc na bawiące się szczeniaki.

– I będzie się jeszcze nieraz zdarzało – odparła Kerri. Josh zaczął się jej badawczo przyglądać.

– Nawet o to nie spytałeś, ale wszyscy, którzy adoptowali twoje szczeniaki, mieszkają tu, w Evergreen. Możecie umawiać się na wspólną zabawę. To był jeden z warunków adopcji.

– Wow. – Josh zamyślił się.

W końcu Lola stwierdziła, że woli wracać na kolana Juliet, która podniosła swoją małą suczkę, trzymając ją w ramionach jak niemowlę. Josh pomachał na pożegnanie Mattowi, który stał nieopodal, by mieć dzieci na oku, a on odpowiedział mu tym samym gestem.

Poszli dalej. Gdy zaczął padać śnieg, łyżwiarze zaczęli wiwatować.

– Białe Boże Narodzenie – szepnął Josh. Przyciągnął do siebie Kerri i pocałował ją, a potem zatrzymał w objęciach, by móc wpatrywać się w jej piękne niebieskie oczy.

– Wiesz co, Kerri? Jesteś moim Rufusem – powiedział.

Zerknęła na niego badawczo.

– Czyli jestem psem z brązową łatą wokół oka – rozwinęła.

– Ja jestem jak Cody. Nie zawsze wszystko widzę, nawet to, co mam tuż przed nosem. Ale ty naprowadzasz mnie na właściwy kurs. Tak jak ze sprawą oddania Lucy Serenie. Rozstania się ze szczeniakami. Odłożenia zdjęć Amandy do pudła. Pomagasz mi odnaleźć się w świecie.

Jej usta ułożyły się w lekki uśmiech.

– Wszystkie dziewczyny częstujesz tym tekstem?

– Tak, to mój klasyk – skinął głową.

Uśmiechnęła się szerzej.

– Całkiem niezły.

Zaproponował, by wstąpili do sklepu spożywczego, gdzie czekało jego zamówienie – gotowa kolacja z indyka.

Wciąż padał śnieg, w świetle lamp parkingowych pobłyskiwały jego wielkie płatki.

– Wracajmy do domu – powiedziała Kerri. Były to najpiękniejsze słowa, jakie Josh kiedykolwiek słyszał.

Szczeniakom naprawdę podobały się zapachy w samochodzie, ale gdy wjeżdżali na wzgórze, szybko zasnęły w nowym transporterze.

Josh włożył indyka do piekarnika, by nie wystygł, otworzył butelkę wina i usiadł na sofie, a Kerri oparła się o niego. Objął ją ramieniem. Nigdy wcześniej nie było mu tak dobrze. Szczeniaki się obudziły i nie minęła chwila, a już wróciły do zapasów na podłodze przed kominkiem.

Musiał coś zmienić, kiedy mówił Rufusowi, żeby została.

– Wiesz, Kerri – zaczął. Spojrzała na niego. – Wciąż próbuję przypomnieć sobie ostatnie szczęśliwe święta w tym domu i nigdy mi się to nie udaje. Ale teraz, z tobą, chcę tylko nowego Bożego Narodzenia. I nowych wspomnień. Nic nie uczyniłoby mnie szczęśliwszym, niż gdybym mógł obudzić się jutro z tobą u boku. Czy mogłabyś nie jechać dziś do domu?

– Hmm... – wymruczała, co mogło oznaczać tak, ale mogło też oznaczać nie.

– To dość... Jak to ująłeś? Zuchwałe. Zakładasz, że zostanę tu na noc, bo nazwałeś mnie swoją dziewczyną? I to wystarczy?

W kominku strzelił ogień, na chwilę skupiając na sobie ich uwagę. Josh poruszył się niespokojnie. W czym tkwił jego błąd?

– W porządku – powiedziała w końcu. – W takim razie chyba musisz iść do samochodu po moją walizkę. Rano spakowałam do niej tyle rzeczy, że ledwie mogłam ją unieść.

Skinął powoli głową, obawiając się, że jego szeroki uśmiech zdradzi krzyczące w jego głowie „tak!”.

– To gdzie będę spała? – zapytała po chwili.

– Och, no tak. Możesz zająć główną sypialnię.

– A ty? Będziesz spał u siebie?

– Naturalnie.

Uśmiechnęła się do niego, a jemu serce zaczęło walić jak młotem.

– No, może niekoniecznie – zastanawiała się na głos.

Siedzieli w błogiej ciszy, ona oparta głową o jego ramię, on trzymając ją

mocno w objęciach.

– Jesteś tą jedyną, Kerri – wyszeptał, a słowa same popłynęły z jego ust. – Tą, na którą czekałem. Tą, której potrzebuję.

Westchnęła w jego objęciach, jeszcze mocniej się do niego przytulając.

Nie był w stanie tego wyjaśnić, ale kobieta, którą trzymał teraz w ramionach, w jakiś cudowny sposób zdołała nie tylko uratować dla niego Boże Narodzenie, ale i wszystko inne. Była jego wybawieniem. Życie wcześniej pozbawione sensu teraz błyskawicznie go nabierało.

Po kilku minutach przytulania na sofie, Josh zaczął śpiewać. Dwa bawiące się u ich stóp pieski natychmiast porzuciły swoje harce i odwróciły głowy do swojego pana.

*W swoim małym kojcu
wyścielanym kołderką
małe szczeniaczki
kładą się do snu.*

Szczeniaki przysiadły, skupiając na nim całą swoją uwagę.

– Dlaczego nie zasypiają? – zapytała Kerri.

– Nie wiem. Zawsze działało. – Spojrzał na nią. – Wiesz, kocham cię.

– Ja ciebie też kocham, Josh.

Uśmiechnęli się, patrząc sobie głęboko w oczy. Po chwili Josh odwrócił się do szczeniaków, które kontynuowały przerwana zabawę.

*Wasza mama Lucy odjechała,
ale będzie was odwiedzać.
Więc śpijcie, szczeniaczki,
jak jeden mąż,
a kiedy się obudzicie,
zabawy przyjdzie czas.*

– Ostatnie wersy są improwizowane? – zapytała Kerri.

– Tak – odparł z dumą Josh.

– Tak myślałam – stwierdziła.

Roześmiali się oboje. Psiaki wciąż nie chciały zasnąć, więc Josh i Kerri zaintonowali *Cichą noc*. I tak właśnie spędzili wieczór: śpiewając do snu gwiazdkowym pieskom.

PODZIĘKOWANIA, WYJAŚNIENIA I PRZEPROSINY

Ta powieść nie powstałaby, gdyby nie Linda Quinton z Tor/Forge, której opowiedziałem o swoim pomysle wydania zbioru opowiadań o człowieku, który adoptuje gromadkę szczeniąt. Linda wykrzyknęła wtedy: „Chcę o tym książkę!”. Lindo, dziękuję Ci za inspirację i zaufanie.

Moja redaktorka, Kristin Seveck, pomogła mi znaleźć kierunek pisania – wielkie dzięki za twoje pomysły i sugestie. Wszystkie były znakomite, Kristin.

Scott Miller u boku jest jak wujek, który okazuje się Batmanem. Scott, jesteś najlepszym agentem na świecie.

Moja wieloletnia przyjaciółka, dr Deb Mangelsdorf, weterynarz, służyła mi radą podczas pisania książek o psach. Udzieliła mi wskazówek dotyczących ciąży i porodu u suczek, a także o wielu innych rzeczach, o których nigdy nie pisałem. Dziękuję za wszystko, Deb.

Świat ratowania zwierząt był mi zupełnie obcy aż do chwili, gdy moja córka, Georgia Lee, nie wyjaśniła mi, że możemy pomóc zwierzętom, które nie z własnej winy zostały zgubione bądź porzucone, a także tym dręczonym i niekochanym. Life is Better Rescue, dziękuję Wam za wspaniałą pracę, którą wykonujecie, ratując życie tym biednym, nieszczęśliwym zwierzętom.

Chelsea, nigdy nie powiedziałaś o nikim złego słowa. Eloise, Ty również.

Nie czułbym się pisarzem, gdyby nie moi czytelnicy. Nigdy nie przestanę powtarzać: dziękuję za Wasze wsparcie i miłość do zwierząt, o których piszę.

Dziękuję też całemu swojemu zespołowi: Charliemu, Chase'owi, Trishii i Elliottowi. Kochani, wielkie słowa uznania.

Dziękuję Leslie Rockiter za stworzenie zwiastuna książki i Dinie Zaphiris za wytresowanie występujących w nim aktorów.

Dziękuję geniuszom z FlyHC.com za zaprojektowanie i aktualizowanie moich stron internetowych. Przekonajcie się, jak świetną pracę wykonują, odwiedzając brucecameron.com i adogspurpose.com!

Dziękuję przyjaciołom z Cypress Inn za niemeldowanie gości, którzy nie przeczytali przynajmniej jednej mojej książki.

Przemawiam w imieniu wielu osób i wielu wdzięcznych zwierząt, dziękując osobom publicznym wspierającym sprawę ratowania i adopcji zwierząt. Szlak przetarły takie sławy jak Tippi Hedren, Doris Day, Betty White i Mary Tyler Moore – to one wskazały drogę innym. Nowe pokolenie to ludzie, którzy oprócz atrakcyjności mają także piękne wnętrza: Teri Austin, Elaine Hendrix, Ellen Laventhal, Katherine Heigle i Elayne Boosler.

Chciałbym również wspomnieć, że miasteczko Evergreen istnieje naprawdę, a w czasach, gdy w nim mieszkałem, w Evergreen Inn można było skosztować wyśmienitej kuchni meksykańskiej. Przepraszam za wszelkie nieścisłości na temat

tego miasteczka, jeśli takowe pojawiły się w mojej książce. Przysięgam, że pewnego grudniowego wieczoru usłyszałem kolędy płynące z zawieszonych gdzieś głośników, ale nie byłem w stanie znaleźć nikogo, kto by to potwierdził. I przepraszam, jeśli obraziłem Wasze jezioro, ale pochodzę z Michigan i małe zbiorniki wodne naprawdę nie robią na mnie wrażenia. Jeśli chcecie, przyjedźcie kiedyś ponaszmiewać się z naszych gór.

Dziękuję Moritzowi Bormanowi, który uparcie nie pozwalał, by działa się niesprawiedliwość. Dziękuję moim chrześnikom, Carolin i Annie, za udawanie, że nie jestem za stary, żeby z nimi rozmawiać, i Steve'owi za to, że nie młodnieje. Dziękuję Hayesowi Michelowi, że stoi w moim narożniku i nie pozwala, bym się poddał.

Dziękuję ekipie i aktorom Muffin Top za propozycję wyprodukowania ich filmu, a tym samym zapewnienie mi rozrywkowego roku. Szczególne podziękowania należą się Mitzi Druss i Lydii Fantini, które tak wspaniale poradziły sobie z moją fryzurą i makijażem, że Cathryn wycięła scenę z moim udziałem. June, odwaliałaś kawał dobrej roboty przy mojej garderobie – dosłownie wszyscy nabrali się na to, że jestem starszym białym mężczyzną. Napisałbym Twoje nazwisko, ale nie mogę. Dziękuję Tinie Young za to, że przyjechała z drugiego końca kraju, żeby wystąpić w mojej scenie. Dziękuję Tomowi Rookerowi za przypilnowanie mojego dawnego domu.

Do wychowania dziecka może i nie jest potrzebna cała wioska, ale rodzina już tak. Dziękuję moim rodzicom, Billowi i Monsie, za to, że nigdy we mnie nie zwątpili i zawsze mnie wspierali, nawet w momentach, gdy byłem rozłożony na łopatki.

Dziękuję moim siostram, Julie i Amy, za dopilnowanie, by wszyscy ich znajomi mieli w posiadaniu przynajmniej po jednym egzemplarzu każdej mojej książki.

Wielkie podziękowania należą się również mojemu psu, Tuckerowi, którego los jest inspiracją dla tej książki. Tuż po narodzeniu został porzucony w kartonowym pudle wraz rodzeństwem – szczeniaki znaleziono dopiero rano przed drzwiami schroniska. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności moja córka stworzyła wówczas dom tymczasowy dla suczki owczarka niemieckiego, która właśnie wykarmiła swoje szczenięta, więc Tucker i spółka bez mrugnięcia okiem zostali przygarnięci przez swoją nową mamę – pewnie pomyślała sobie po prostu, że w weekend nieźle zaszalała.

Na koniec dziękuję osobie, która czyta wszystkie wersje robocze moich książek i zawsze pomaga mi je poprawić: Cathryn, jesteś partnerką, o której marzy każdy pisarz. A teraz, gdy zostałaś moją żoną, dostaję te porady za darmo!

TYTUŁ ORYGINAŁU:
The Dogs of Christmas

Redaktor prowadząca: Aneta Bujno
Redakcja: Justyna Yiğitler
Korekta: Ewa Popielarz
Projekt okładki: Studio projektowe & Visual/www.andvisual.pl
Zdjęcie na okładce: © Eric Isselee (Shutterstock.com)

Copyright © 2013 by W. Bruce Cameron

Copyright © 2017 for Polish edition by Wydawnictwo KobiECE,
an imprint of ILLUMINATIO Łukasz Kierus
Copyright © for Polish translation by Edyta Świerczyńska

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne

Białystok 2017

ISBN 978-83-65740-78-6



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

www.facebook.com/kobiece



Wydawnictwo KobiECE

E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie

www.wydawnictwokobiece.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

The logo for Woblink features the word "woblink" in a bold, lowercase, sans-serif font. Above the letters 'o', 'b', and 'l' are three small, colored dots: a blue dot above the 'o', a purple dot above the 'b', and an orange dot above the 'l'.

woblink.com

